

Almanach Łącki

*Rócznik pod patronatem
Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej
wydawnictwo historyczno-kulturalno-społeczne*

*Nr 13
Rok 2010*

Kolegium Redakcyjne

prof. Julian Dybiec - przewodniczący
prof. Barbara Wagner - z-ca przewodniczącego
prof. Bolesław Faron
ks. prałat Józef Trzópek
mgr Zbigniew Czepelak

Redakcja

Jadwiga Jastrzębska - sekretarz
Paweł Szczodrowski - opracowanie graficzne
Jan Dziejna - kontakty ze szkołami
Andrzej Urbaniec - kontakty ze stowarzyszeniami (zastępca sekretarza)
Rozalia Kulasik - finanse
Grzegorz Olszewski - opracowania regionalne

Almanach Łącki - półrocznik wydawany społecznym wysiłkiem autorów i redakcji.

Druk i papier finansowany ze środków:



Starostwa Sądeckiego



Urzędu Gminy w Łącku

prywatnych darczyńców i środków własnych TMZŁ

Egzemplarze archiwalne dostępne w: Bibliotece Narodowej w Warszawie, Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego, Miejskiej Bibliotece Publicznej im. J. Szujskiego w Nowym Sączu, Gminnej Bibliotece w Łącku (i jej filiach), Bibliotekach Szkół w Gminie Łącko, Towarzystwie Miłośników Ziemi Łąckiej, Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Krakowie, Bibliotece Uniwersytetu Wrocławskiego, Centralnej Bibliotece PTTK, Centralnej Bibliotece Górskiej oraz u autorów artykułów.

Projekt okładki: Paweł Szczodrowski
Skład: Wydawnictwo "Koliber"
Druk: Flexergis Sp. z o.o.
Nakład: 750 egzemplarzy

Redakcja Almanachu Łąckiego:
33-390 Łącko 512
tel. 502 520 123
e-mail: tmzl@elacko.pl

Jaki jest numer 13 Almanachu Łąckiego? Ocena należy do czytelników. Kolegium i redakcja starają się, by każdy numer był ciekawy, zawierał różnorodne materiały i ciekawostki, o których tylko w Almanachu Łąckim można przeczytać.

Również i w tym numerze znajdują Państwo wiele ciekawych informacji o ludziach i historii regionu zapomnianych lub nieznanymi, szczególnie młodszym mieszkańcom naszej gminy.

Ponieważ jednak Almanach Łącki dociera w różne regiony Polski, Europy, Australii, Ameryki Północnej to jest szansa, że bardzo wiele osób ma okazję poznania naszego regionu, jego historii, kultury materialnej i duchowej, osobowości i wielkie postaci minionych wieków i lat współczesnych.

Nie o wszystkim wspomnę, by nie zabierać Państwu przyjemności czytania i odkrywania nowych „makro i mikrokosmosów”.

Polecam *Z domowego archiwum* Andrzeja Urbańca, który mieszkając od kilku dekad w Łącku, utrwalił na kliszy filmowej życie, jakiego już nie ma i tylko na starych fotografiach zobaczyć można „zawody”, o których pamięć zupełnie znikła.

Nie zabrakło w tym numerze ciekawych biografii, pamiętników i wspomnień.

„... *Szkic Rozalii Kulasik bardzo dobry, ponieważ porusza zagadnienie prawie w ogóle nie znane – wyjazdów i powrotów powojennych. Przyda się też do monografii. Namawiałem parę osób by zebrały materiały do wyjazdów na Ziemię Zachodnie...*” – Julian Dybiec.

Polecam wspomnienia ks. Henryka Majkrzaka w 25lecie święceń kapłańskich.

Szczególnie ciepło zachęcam do przeczytania opowiadania Barbary Faron *O służebnej co...*, Jest to jedno z opowiadań znajdujących się w książce *Ballady Beskidzkiego Dziada*, którą polecam do przeczytania w całości.

Bronek z Obidzy – poeta autentyczny, sami muszą Państwo ocenić Jego wrażliwość i warsztat.

W tym numerze Almanachu Łąckiego jest również wiele ciekawych fotografii, które towarzyszą zamieszczonym tekstom.

Staramy się także, by Kalendarium zawierało możliwie wszechstronny ogląd spraw dziejących się w naszej gminie.

Nigdy nie dość podziękowań dla darczyńców wspomagających wydanie każdego numeru Almanachu Łąckiego, trudno byłoby zgromadzić wystarczające środki na druk, bez ich finansowego wsparcia.

Jak zawsze, serdecznie zwracamy się do naszych czytelników o listy i polemiki dotyczące materiałów zawartych w Almanachu Łąckim.

Czas to nie trwanie, to uciekanie – Jalu Kurek

Jadwiga Jastrzębska – redaktor

O Brzynie, Łazach Brzyńskich i Obidzy, czyli o południowym rejonie gminy Łącko

Zarówno Brzyna jak i Obidza nie powstały w początkowej fazie osadniczej w Sądecczyźnie. Dlatego też wioski te nie mogą poszczycić się zbyt starymi wzmiankami w dziejopisarstwie historycznym i dokumentach.

Brzyna (dawniej Brzana) i Obidza swoimi początkami sięgają początku XV w. Jednak nie wspomina jeszcze o nich Jan Długosz w swoim wielkopomnym dziele *Liber beneficiorum*. Łazy Brzyńskie powstały po 1572 r. i były pokaźnych rozmiarów wsią, rozwijającą się o kolejne zarębki. Powstawały nowe budynki mieszkalne i gospodarcze, a także poszerzały się użytkowane arealy. Wsie te współtworzyły dawny klucz jazowski. Stanowiły one od zawsze własność szlachecką. Właścicielami tych ziem byli zazwyczaj te same osoby, które władały Jazowskiem. Poświadczono jest w dokumentach, iż Obidza była w drugiej połowie XV w. własnością rodu Gabańskich. W 1491 r. władanie nad tym terenem objął ród Szalowskich. W połowie XIX w. Konstanty z rodu Fihauserów posiadał w tym rejonie Łazy Obidzkie¹.

O Łazach Brzyńskich wzmiankuje się dopiero w 1662 r.

Znaczny rozwój tej części klucza jazowskiego nastąpił w wieku XVIII, kiedy to powstały 22 zarębki i zagrody, a które w kolejnych latach stały się przysiółkami Łazów Brzyńskich, Brzyny czy Obidzy. Wówczas powstały: Biedroniówka, Bieryty, Chudobówka, Fałtynówka, Grabka, Grodkówka, Jamówka, Jastrzębówka, Jurówka, Krupówki, Ligasówka, Lizonie, Majerz, Musołówka, Pierzchały, Poboiska, Popardówka, Pultowskie, Sworniówka, Tobiaszówka, Walkowiec, Warzechy. Nie wszystkie jednak utrzymały znaczenie i nie zdołały przekształcić się w przysiółki².

W czasach przedwojennych tak w Brzynie, jak i w Obidzy, znajdowały się karczmy, gdzie niemal obowiązkowo, po niedzielnej sumie, wstępowało spore grono mieszkańców³. Oczywiście jest, że rozwój wsi postępował z roku na rok. Przybywało mieszkańców. Na łąkach obidzkich wypasano stada owiec (szczególnie znaczące były wzniesienia Skalki i Dzwonkówki). W Jazowsku działała niegdyś huta szkła, ale trzeba szczerze powiedzieć, że jej lokalizacja była raczej już we wsi Obidza. Huta ta sięgała swoimi początkami połowy wieku XVI w. Od początku XVII w. ich właścicielem był niejaki Kasper, który handlował szkłem ze znanym sądeckim kupcem, Janem Tymowskim. Później huta systematycznie zmieniała swojego właściciela. Ostatnim znanym hutnikiem był Kasper Rempalski, lecz niestety około 1801 r. zbankrutował, a jego majątek przeznaczono na pokrycie długów. Jeszcze w początkach w. XIX wyrabiano szkło

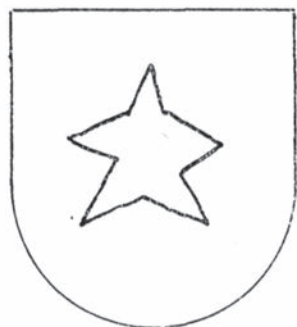
¹ G. Olszewski, *Jazowsko; dzieje wsi*, Nowy Sącz 2009, s. 27–34.

² H. Stamiński, *O nowożytnej akcji osadniczej w Sądecczyźnie (l. 1573–1800)*, „Rocznik Sądecki”, t. 10/11, 1969–1970, s. 194.

³ A. Skąpski, A. Filipowski, S. Krzyżanowski, *Nadziei promienie. Trzy pamiętniki z XIX wieku*, WL, Kraków 1978, s. 70–71.

w niniejszej hucie, jednak końcem tego stulecia znany sądecki dziejopis, Jan Sygański, oglądał już tylko jej ruiny. Zaś liczba ludności w latach 1662–1663 przedstawiała się następująco: w Obidzy zamieszkiwały 246 osoby, w Brzynie – 106, a w Łazach – 63.

W Obidzy znajdowała się niegdyś mała warowna budowla, zwana zameczkiem Lemiesz. Strzegł on zejścia do doliny Dunajca od strony pasma Radziejowej, lecz jego głównej lokalizacji do dziś nie udało się wskazać (poza domysłami oczywiście).



Pieczęć z XIX w.

Od zarania dziejów omawianych wsi, należały one do parafii w Jazowsku. Jednak przynależność do parafii została poświadczona dopiero od 1728 r. (Łazy i Obidza). Dopiero w XX w., w wyniku starań proboszcza Jana Nowińskiego, doprowadzono do utworzenia nowej parafii w Obidzy. 19 lutego 1982 r. nastąpiło erygowanie tejże parafii. Nieco wcześniej, w 1935 r., staraniem proboszcza jazowskiego, Juliana Piskorza, oddano kaplicę

w Brzynie (pod wezwaniem św. Andrzeja Boboli).

Ciekawą wiadomością dotyczącą Obidzy jest to, że wieś ta dysponowała swoją indywidualną pieczęcią (rys. obok). Posiadała ona godło przedstawiające dużą, pięcioramienną gwiazdę. Napis: GMINA OBIDZA (33 mm). Pieczęć ta pochodziła z końca XIX w. Zachowała się na aktach Wydziału Powiatowego w Nowym Sączu⁴.

W połowie XIX w. rząd cesarski przeprowadził w Galicji akcję uwłaszczeniową, czyli uwolnienie gruntów od powinności poddańczych. Wykonano wówczas stosowne obliczenia, które służyły potem za źródło do sporządzenia operatów uwłaszczeniowych. Wyciąg z tej statystyki prezentuje poniższa tabela.

Tabela 1. Przebieg reformy uwłaszczeniowej w dominium jazowskim.

| Miejscowość | Dominium | Gospodarstwa chłopskie objęte uwłaszczeniem | | Znoszone powinności feudalne | | | | | | | | | | |
|-------------|----------|------------------------------------------------------|--------------|------------------------------------------------------------------------------------------|-----------------------|----------------|-----|-----------------|------|-------------|--------------|---------|--------|----|
| | | | | Bez odszkodowa- nia; w tym pańszczy- zna piesza – ilość, wartość | Za odszkodowaniem | | | | | | | | Czynsz | |
| | | Ilość | Powierzchnia | | Pańszczyzna i przędza | | | | | | | | | |
| | | | morgi | | sążnie | Natura- lia | | Sprzę- żajna | | Pie- sza | Przę- dze | Wartość | | |
| złr | kr. | dni | dni | motki | złr | kr. | złr | kr. | | | | | | |
| Jazowsko | Jazowsko | 39 | 232 | 1222 | 0 | 4 | 43 | 624 | 1690 | 99 | 345 | 0 | 16 | 0 |
| Gruszów | Jazowsko | 28 | 463 | 139 | 0 | 8 | 40 | 1404 | 182 | 54 | 421 | 0 | 11 | 33 |
| Brzyna | Jazowsko | 100 | 1058 | 209 | 0 | 11 | 3 | 1404 | 1664 | 234 | 434 | 12 | 31 | 5 |
| Łazy (B.) | Jazowsko | 45 | 690 | 1102 | 0 | 44 | 27 | 1872 | 1352 | 189 | 532 | 47 | 11 | 8 |
| Obidza | Jazowsko | 175 | 1846 | 834 | 0 | 13 | 0 | 1248 | 5731 | 285 | 814 | 34 | 51 | 31 |

Źródło: K. Ślusarek, *Uwłaszczenie chłopów w Galicji zachodniej*, HI, Kraków 2002.

Skróty: złr. – złoty reński; kr. – korona.

⁴ M. Gumowski, *Herby i pieczęcie wsi województwa krakowskiego*, „Małopolskie Studia Historyczne”, r. 4, 1961, z. 1, s. 43.

Przed II wojną światową tereny brzyńsko-obidzkie należały do właściciela Jazowska, Michała Adera, a po jego śmierci (1911 r.) – do jego synów. Rodzina ta korzystała w znacznej mierze z lasów obidzkich, prowadząc fabrykę mebli w Jazowsku. W latach 20. XX w. Aderowie wybudowali sobie willę-schronisko na Obidzkich Skałkach. Leśniczym w Obidzy był wówczas niejaki Hans Sikora.

Po wybuchu II wojny światowej, Obidza została dość znacząco wciągnięta w wir wojny i wydarzeń w regionie. Okupant od początku wojny rozpoczął grabieżczą eksploatację lasów obidzkich. Wspomniany H. Sikora, sudecki Niemiec, objął wtedy zarząd nad majątkiem jazowskim. W lasach Obidzy, trudno osiągalnych dla Niemców, stacjonowały całe grupy partyzantów i bojowników. W drugiej połowie wojny, kiedy w Sądecczyźnie pojawili się także partyzanci ze Związku Radzieckiego, także i oni znajdowali tu schronienie i korzystali z wyżywienia, jakim dysponowali miejscowi gospodarze. Jednym z dowodzących oddziałami radzieckimi był Iwan Zołotar, który zamieszkał w domu Józefa Ramsa na Marasiówce, a po sąsiedztwie ulokował się sztab zgrupowania. Reszta oddziału kwaterowała w różnych przysiółkach Obidzy. Do połowy 1944 r. nie było większych problemów z żywnością, ale w miarę przybywania kolejnych grup partyzantów, zaczęło dochodzić do kradzieży i wymuszeń, co powodowało ochłodzenie na linii polsko-radzieckich relacji.

Niemcy nie byli dłużni Obidzy, Brzynie i Łazom, posyłając tam ekspedycje karne, obławy, rabując te wsie, porywając ludność do robót. W końcu bieda zaczęła dotyczyć tę ludność. Józef Bieniek, łącznościowiec AK, wspominał: *Chodząc tędy wiosną 1945 r. (...) widziałem ludzi, którzy żywili się korzonkami. Tu też po raz pierwszy w życiu jadłem „chleb” upieczony z mieszaniny... trocin, otrąb i kilku ziemniaków. Drewnianego smaku tego chleba, który przecież w warunkach ówczesnych uchodziła za luksus, nie zapomnę do końca życia*⁵.

W domu Zofii Pogwizd w Łazach Brzyńskich redagowano pismo konspiracyjne „Ku Wolności”. Technik, Stanisław Psonak „Juhas”, ścigany od początku wojny przez gestapo, a ukrywający się przez cały czas jej trwania, zgromadził znaczną ilość broni i amunicji, którą przekazał działaczom ruchu oporu. To zagęszczenie antyniemieckich działaczy i partyzantów było dobrze znane Niemcom. Spowodowało to nawet, że określano Obidzę mianem Banditendorf.

Obidza znana też była wojennym kurierom, którzy zajmowali się prowadzeniem uchodźców za granicę. Przechodzili oni m.in. przez Obidzę, w kierunku Szczawnicy i dalej na Słowację.

8 grudnia 1944 r. miał miejsce w Obidzy przykry wypadek. Podczas obławy niemieckiej na partyzantów radzieckich, ustalono, że otrzymywali oni schronienie w jednym z domów. Niemcy podpalili ów domostwo, paląc w nim żywcem Andrzeja Fijasa z żoną Anną, a także 8-letnią Genowefę Fijas, 40-letnią Zofię Dychałą, jej córki: 3-letnią Julkę i roczną Helenkę. Zaś 25 grudnia 1944 r. spalono dom partyzanta Jana

⁵ J. Bieniek, *Z dziejów chłopskiego ruchu oporu w Sądecczyźnie*, „Rocznik Sądecki”, t. 8., s. 220.

Stawiarskiego⁶. Podobne zdarzenie było w Brzynie, kiedy to spalono żywcem małżeństwo Jana i Anny Czajków.

Straty poczynione w Obidzy przez okupanta były ogromne, szczególnie w zalesieniu i pogłowie zwierząt hodowlanych, a obrazuje je dobrze przykład: początkiem wojny w Obidzy było 400 koni, a po jej zakończeniu – tylko jeden!

W Brzynie i Łazach Brzyńskich nie było zorganizowanych struktur ruchu oporu. Podkreśla się, że na przeszkodzie mogła stać wielka bieda, jaką cierpieli tutejsi mieszkańcy. Jednakże nie przeszkadzało to w niesieniu pomocy partyzantom, na jaką tylko było ich stać.

W powojennej historii omawianych wsi jest kilka znaczących punktów, jak powołanie parafii w Obidzy, czy założenie Ochotniczej Straży Pożarnej w Obidzy. W Obidzy istniała Gromadzka Rada Narodowa, ale z nastaniem 1962 r. jej obszar został dołączony do GRN w Jazowsku. Od początku działania Poczty Polskiej, teren Brzyny, Łazów Brzyńskich i Obidzy należał pod Urząd Pocztowy w Jazowsku (obecnie agencja). Znaczący postęp w rozwoju Obidzy i Brzyny dokonał się w momencie zelektryfikowania tych wsi, co miało miejsce w 1973 r.

Newralicznym miejscem, acz znaczącym dla mieszkańców Brzyny, Łazów i Obidzy, jest most na Dunajcu. W październiku 1944 r. partyzanci spalili ów most. Po wojnie ludzie mieszkający na prawym brzegu tej rzeki przechodzili do Jazowska przez kładki, lub pływali promami (łodziami). Już po wypadku tratwy w 1949 r., w którym zginęło kilkoro dzieci, ks. wikariusz Józef Januszek starał się o most – zapewne postawiono wtedy jakąś prowizoryczną kładkę.

Na zebraniu wiejskim w 1956 r. ustalono, że mieszkańcy Brzyny i Obidzy dobrowolnie poddali się opodatkowaniu, by pozyskać fundusze na nowy most (200 zł od 1 ha). Zebrano podpisy, jako zabezpieczenia wpłat, czy to w gotówce, czy w naturze. Wykonano kosztorys i w listopadzie 1957 r. przystąpiono do budowy mostu, który został wybudowany w ciągu pięciu miesięcy. Miał 145 m długości. Oficjalne otwarcie nastąpiło 1 maja 1958 r. Wkład ludności w czynach społecznych wyniósł około 900 000 zł. Ale już w czerwcu 1959 r., podczas powodzi wezbrana woda w rzece, niesione przez nią drzewa i inne przedmioty, uszkodziły konstrukcję mostu. W dokonanych pracach remontowych dokonano wymiany belek drewnianych na trawersy stalowe.

Kolejne zerwanie mostu nastąpiło w drugiej połowie lipca 1970 r., a potem znowu w 1972 r.

Po powodzi w 1997 r. zniszczeniu uległ ten sam most na Dunajcu. Odbudowa była szybka i 6 grudnia tego roku odbyło się w Jazowsku uroczyste otwarcie nowego mostu na Dunajcu (poprzedni został zniszczony przez powódź w lipcu tego roku). Most ten był niezbędny, gdyż dla mieszkańców Brzyny i Obidzy była to w zasadzie jedyna droga dojazdowa (nie licząc okrężnej drogi przez Gaboń i Łazy Brzyńskie). Most wykonywali żołnierze z jednostki wojskowej nr 1367 w Nisku. Most po ukończeniu liczy 135 m długości.

⁶ J. Bieniek, *Łącko konspiracją kwitnące*, SOW 1988, s. 74–76.



Zniszczony most do Obidzy podczas powodzi w lipcu 1997 r. Fot. pochodzi z Kroniki Ochotniczej Straży Pożarnej w Jazowsku (obecnie w posiadaniu Patryka Kapłona)

Nazwy terenowe w Brzynie:

Biedroniówka, Bieroty, Bystry Wierch, Chałupisko, Dolina, Doliska, Do Lizonia, Dział, Floriany, Gabriele, Gorzkowska, Górki, Groń, Jamówka, Jasienina, Jaworzynka, Kawówka Niżna, Kawówka Wyżna, Kiklice, Klimki, Koziarnica, Kretówki, Krzywe, Księdza, Lipówki, Łazisko, Łodziska, Młynczyńska, Mroziówka, Musołówka, Niżne Puldowskie, Ogródek, Owsianki, Palenica, Pański Majerz, Paryja, Pasula, Piwowary, Place, Podrównica, Połomia, Przewoźnikówka, Puldowskie Wyżne, Pytle, Równica, Sobel, Stece, Sworniówka, Ślazy, Tokarze, Trzesanki, Turkówka, Widoma, Wiklina, Wspólna, Wydarta, Wyrąb, Wyróbiska, Zagonek, Zawierch.

Nazwy terenowe w Łazach Brzyńskich:

Bielaki, Biele, Bieroty, Chwosty, Do Kikliców, Do Kozieńskich, Do Lizonki, Kabatki Krupy, Kulówka, Lizonie, Masiowa, Niżne Łazy, Pierzchały, Podlipowy Działek, Rząddek, Sopatowiec, Ukosówka oraz Zawodzie, tworzone przez Kabatki i Polankę.

Nazwy terenowe w Obidzy:

Babiki, Bielowa, Buciarcka, Bucznik, Bukowina, Bukowy Potok, Cerchla, Chałupina, Chudobówka, Czajki, Do Błasików, Do Dziadzosza, Do Florków, Do Kołodzieja, Do Krzysia, Do Pogwizdów, Dychały, Dziadki, Dział, Fałtynówka, Gałyse, Grabka, Grodkówka, Jastrzębówka, Jurówka, Kitówka, Krakówka, Krótka, Krupówki, Kulas, Lemierzyska, Ligasówka, Madziary, Majdan, Majerz, Marasiówka, Młyn, Mościska, Na Łąkę, Na Świniarki, Nowa Wieś, Ogrodzisko, Opalanka, Piaski, Place, Poboiska

(Roboiska), Pod Bukowiną, Podgrabka, Podsiadówka, Podwilcze, Pogwizdówka, Pomietły, Popardówka, Rokita, Sajdaki, Smolarkówka, Stefany, Stos, Suche, Średniak, Talapówka, Tabiaszówka, Tocie, Wajdy, Walkowiec, Warzechy, Wdżar, Wiele, Wielga, Wilcze, Wilczy Dół, Wyrostki, Wyrwanówka, Zagóra, Zagrody Niżne, Zagrody Wyżne, Zarębek, Za Rzekę, Zatrach, Złotne⁷.



Mapa Obidzy z przysiółkami

⁷ W oparciu o Wykaz miejscowości województwa nowosądeckiego, Urząd Wojewódzki w Nowym Sączu, Nowy Sącz, październik 1979.

Miejscowość ta znajduje się w południowo-wschodnim regionie gminy Łącko, w górzystym terenie wzdłuż wijącego się, wartko płynącego doliną potoku, który co jakiś czas, po większych opadach staje się groźnym żywiołem, powodującym wiele szkód i zniszczeń. Wieś połączona jest drogą, niegdyś zwykłą, kamienistą, obok której rosły stare wierzby, opodal znajdująca się kapliczka z fraszobliwym Chrystusem, zawsze udekorowana, tworzy szczególnie tu krajobraz.

Droga najpierw prowadzi po równi, wzdłuż Dunajca, a dalej pnie się w górę doliną, rozdzielając się do poszczególnych gospodarstw, rozrzuconych nierzadko bardzo daleko od siebie.

Wkoło zabudowań niewielkie ogrody ze starodawnymi odmianami drzew owocowych, małe ogródki ogrodzone płótkami z przeróżnymi różnokolorowymi kwiatami, niespotykanymi już obecnie. Przy każdej prawie zagrodzie, ule z pszczołami, które co roku obficie dawały kilkakrotnie miód. Dalej po zboczach – pola uprawne i łąki, wyżej – lasy przeważnie mieszane, pnące się do najwyższych górskich wzniesień. Każde większe gospodarstwo posiadało konia, większość jednak to były niewielkie gospodarstwa rolne.



Budowa nowej kaplicy w Brzynie

Hodowano krowy, owce, kury, kaczki, gęsi i świnie, którą zabijano raz do roku przeważnie przed świętami. W latach zaraz po drugiej wojnie światowej, była to biedna miejscowość. Odważniejsi wyjeżdżali na Ziemię Zachodnie szukać lepszego życia. Tak wyjechała rodzina Jakuba Surmy z os. Ślaze, która zamieszkała w okolicach Nysy. Oni namówili później do wyjazdu rodzinę Wojciecha Bieręty z os. Zagonek i jeszcze wielu innych.

Ludność miejscowa zajmowała się przeważnie obrabianiem tych niewielkich gospodarstw, położonych na kamienistych zboczach, na których często przy orce trzeba było trzymać skiby, żeby się nie odwracały. Pola obrabiano końmi, a niektórzy krowami.

W okresie zimowym wywożono obornik na saniach (bo było lżej) na górskie zbocza, do uprawy pól. Uprawiano zbo-

że, przeważnie owies i jęczmień, niewiele żyta czy pszenicy. W każdym gospodarstwie musiały być zasadzone ziemniaki i kapusta, które były podstawowym produktem żywnościowym rodziny.

Rodziny były przeważnie wielodzietne, a dzieci od najmniejszych lat musiały pomagać rodzicom przy gospodarce. Mieszkańcy byli bardzo przywiązani do swoich gospodarstw i odporni na ponoszenie wszelkich trudów pracy. Nie było jeszcze energii elektrycznej, oświetleniem była lampa naftowa. Niektórzy gospodarze trudnili się kołodziejstwem wyrabiając drewniane wozy, kosze z jałowca czy wikliny, albo miotły z gałęzi brzoźowych, które sprzedawano na jarmarku. Część gospodarzy dorabiała końmi przy zwózce drewna z lasu dla Nadleśnictwa, a inni przy ścinie i obróbce tegoż drewna.

Kilku gospodarzy było flisakami, którzy zbijali z bali drewnianych tratwy i spławiali je Dunajcem z Czorsztyna, Szczawnicy, Obidzy do Marcinkowic, a tam ładowano na wagony kolejowe i transportowano dalej w Polskę.

Ten sposób transportu drzewa istniał jeszcze do lat siedemdziesiątych poprzedniego stulecia. Ostatnimi flisakami byli: mój ojciec Antoni Tokarz, dziadek Franciszek Tokarz z Brzyny,

Leon Warzecha z Łazów i Maciej Owsianka z Maszkowic (z Maskoskiego). Jeszcze inni pracowali przy drogach czy na budowach w różnych miejscach naszego regionu, dowożeni z Jazowska samochodami ciężarowymi pod plandeką. Nie było wtedy żad-



Antoni Tokarz z Brzyny, jeden z ostatnich flisaków spławiających drewno Dunajcem. Fot. Wincenty Tokarz



Spław drewna tratwami rzeką Dunajec. Przy wysokim stanie wody tratwy łączono razem po dwie. Fot. ze zbiorów Wincentego Tokarza

nej komunikacji z Brzyny, trzeba było chodzić po kilka kilometrów codziennie do Jazowska.

Pamiętam gdy już wszyscy wsiedli, rozpoczęli jazdę śpiewem: Kiedy ranne wstają zorze, a męskie głosy rozlegały się daleko wzdłuż drogi którą podróżowali, robiło to ogromne wrażenie. W okresie letnim mężczyźni dorabiali też chodząc na košby (do koszenia), do gospo-



Rodzina flisacka Tokarzów z Brzyny. Od lewej: Franciszek Tokarz, Antoni Tokarz - syn Franciszka, Ludwika Malchan - siostra Franciszka z USA, Genowefa Tokarz - żona Antoniego, Karolina Podobińska - matka Genowefy, Bronisława Tokarz - siostra Franciszka z Legnicy. Zdjęcie z jedynej odwiedzin Polski Ludwika Malchan w 1965 r. Fot. ze zbiorów Wincentego Tokarza

pod osiedlem Musołówka, drugi u Wincentego Majorskiego z os. Młynczyńska, kolejny u Tadeusza Kołodzieja z os. Pytle, a następny u Marcina Klimka z os. Podrównica.

Było też kilka młynów wiatrowych, położonych na najwyższych wzniesieniach górskich. Były to młyny napędzane przez pionowo zamontowane w olbrzymim bębnie, drewniane pióra z cienkich desek. Młyny te znajdowały się w pobliżu os. Kretówki, a właścicielami byli Kołodziejowie i Koziki. Podobny młyn znajdował się jeszcze na granicy miejscowości Brzyna i Zarzecze, u Dudy. Teraz już nie ma żadnego z tych młynów, tak rzecznych jak i wiatrowych, a mogły być dziś niebywałą atrakcją turystyczną miejscowości.

Była też kuźnia zbudowana z kamienia u Feliksa Nowaka, w której to podkuwano konie, klepano lemieszce do pługów, okuwano wozy drewniane czy wykonywano podstawowe narzędzia rolnicze i gospodarskie. Kuźnia ta też już nie istnieje. We wsi był jedyny sklep u Feliksa Lizonia, gdzie sprzedawano podstawowe produkty, a najważniejszym były zapalki i nafta do lamp naftowych, którą tłoczono z beczki pompką ręczną do szklanego miernika i rozlewano do banieczek czy butelek. To wszystko już historia i wspomnienia.

Tak było do roku 1973 kiedy to nastąpiła elektryfikacja wsi i z tą chwilą nastąpiła kolejna epoka w życiu tych mieszkańców i znacząca poprawa warunków egzystencji.

Osiedla i przysiółki miejscowości Brzyna

Brzyna jest jedną z mniejszych miejscowości w gminie Łącko, rozrzucona po górskich dolinach i wzniesieniach, od rzeki Dunajec po górę Sobel. O tej miejscowości wg.

autorów Ksiąg Sądowych Jazowska, wspomina się już w XIII wieku, że istniał tam zamek obronny „LEMIESZ”, który miał bronić zejścia w dolinę Jazowska od strony potoku obidzkiego. Prawdopodobnie musiał się on znajdować w dorzeczu potoku obidzkiego, przy Dunajcu, nad stromymi brzegami, gdzie obecnie znajduje się osiedle Musołówka. W Księgach Sądowych Jazowska wspomina się też, że około roku 1452 Jakub Gaboński występuje jako dziedzic Jazowska, Obidzy, Łazów i Brzyny.

Z początkiem XVII wieku klucz Jazowski, do którego należały te wsie, dostał się we władanie magnackiej rodziny Lubomirskich. Szczegółowy rejestr z 1662-1663 r. podaje że w tym czasie w Jazowsku mieszkało 250 osób, Brzynie 106, Obidzy 246 a w Łazach 63 osoby. Od 1727 r. Brzyna, Łazy i Obidza weszły w skład parafii Jazowsko.

Brzyna graniczy od północy z rzeką Dunajec, od wschodu – z potokiem obidzkim, od południa z pasmem gór obidzkich, a od zachodu wzniesieniami górskimi należącymi do wsi Tylmanowa, Zarzecze i Maszkowice. Miejscowość ta połączona jest drogą biegnącą doliną wzdłuż potoku brzyńskiego, rozdzielającą się do poszczególnych przysiółków i osiedli.

Nazwy tych osiedli przeważnie pochodzą od nazwisk zamieszkałych tam dawnych właścicieli. Osiedla były budowane w pobliżu źródeł lub potoków, ze względu na bliski dostęp do wody. W latach 60-70 dwudziestego wieku część mieszkańców, z bardziej niedostępnych osiedli, wyprowadziła się do innych miejsc, opuszczając swoje gospodarstwa, a nawet likwidując je.

Zaczynając od potoku obidzkiego i wspomnianego już osiedla Musołówka, dalej doliną po lewej stronie drogi znajdują się os. Biedroniówka i Mroziówka, wyżej na pograniczu Obidzy, osiedle Groń. W kierunku zachodnim – Trzesanki, zaś kierując się w dolinę wzdłuż potoku krzywiarskiego, os. Potoki i Krzywe. Wyżej znajduje się Palenica, a nad nim Kretówki. Wracając do drogi głównej następane, to osiedle Tokarze i znów udając się w górę kolejnego potoku – os. Wygony, a dalej wysoko w górze – Sworniówka, nieco na zachód – Jamówka i niezamieszkałe już os. Wyręby, Łazisko i Wydarta. Dalej w kierunku zachodnim – Lipówki, w dół pod lasem – Paryja, a nad nim nieistniejące już os. Chałpisko i po drugiej stronie potoku Pasula.

Ponownie wracając do drogi głównej, od rzeki Dunajec po prawej stronie znajdują się os. Turkówka, Młyńczyska, Pytle, Zagonek, Ślaze i Podrównica. Naprzeciw niezamieszkałe os. Równica. Wysoko nad lasem – Widomo, położone nad najbardziej stromymi leśnymi zboczami, widoczne już z dalekiej odległości, jadąc drogą główną w górę Brzyny. Koło kaplicy os. Stece, niezamieszkałe Owsianki, dalej szkoła podstawowa, a w pobliżu os. Majorskich. Naprzeciw – Podsopisko i Klimki oraz niezamieszkałe Poręby. Kolejne to Floriany, Jasienina, za lasem Koziarnica w prawo doliną – Ciemrawki, zaś wyżej Bystry Wierch, Wyróbisko, Działy, Jaworzyna i Łodziska. Wracając pod Bystry Wierch w kierunku wschodnim os. Wyśnie Pultowskie, trochę niżej Niżnie Pultowskie i niezamieszkałe już os. Dolina. Od strony Dunajca i początku wsi – os. Majerz, Piwary, Kawówka, wyżej Bieroty i niezamieszkałe Zagóra.

To tylko ważniejsze nazwy osiedli. Każde osiedle miało jeszcze wiele swoich nazw odnośnie położenia gruntów rolnych i leśnych.



Piotr Kołodziej

Wieś Brzyna położona jest w Beskidzie Sądeckim, na prawym brzegu Dunajca, naprzeciw Jazowska i rozciąga się wzdłuż potoku Brzynka. Wywodzi swą nazwę od słów brzeg, brzyzek, parów.

Powstała stosunkowo późno, bo ok. XVII w. Na terenie dzisiejszej Brzyny nad, przysiółkiem Musołówka, w widłach Dunajca i potoku obidzkiego istniał zameczek Lemiesz, który utrudniał sforsowanie od południa pasma Radziejowej i bronił zejścia w dolinę jazowską. Strzegł także gór-

skiego szlaku handlowego biegnącego z Węgier do Polski.

Brzyna liczy około 710 mieszkańców w 52 przysiółkach. Występuje duża konfiguracja terenu. Pierwsze domy położone są około Dunajca na poziomie 330 m n.p.m. zaś ostami dom na wys. 800 m n.p.m., pod górą Koziarz.

W centrum wsi przy szosie stoi kaplica p.w. św. Andrzeja Boboli. W czasie okupacji ludność Brzyny, Obidzy, i części Maszkowic, zamieszkała po drugiej stronie Dunajca, tutaj uczęszczała na nabożeństwa, aby uniknąć łapanek w Jazowsku.

Górnym skrajem wsi przebiega żółty szlak turystyczny z Łącka na Dzwonkówkę. Po godzinie drogi z Łącka, turysta osiąga wieś Brzynę, a po następnych 15 min. spotyka małą kapliczkę Matki Boskiej. Ze szlaku roztaczają się wspaniałe widoki na Kotlinę Sądecką, Gorce i Beskid Wyspowy. W przysiółku Dział, obok szlaku na drzewie modrzewiowym zawieszona jest metrowej wysokości rzeźba Chrystusa Ukrzyżowanego.

Nad przysiółkiem Łodziska wznosi się zaś bystry szczyt Wojakówki (835 m n.p.m.), gdzie zbiegają się gra-



Kapliczka nad Dunajcem – Łazy Brzyńskie

nice trzech wsi: Brzyny, Zarzecza i Tylmanowej. Przez całe wieki tutaj grzebano samobójców z okolicznych wsi, na odludziu i w nie poświęconej ziemi, żeby odstraszyć od tego kroku innych desperatów.

Ze szczytu Wojakówki schodzimy w kilka minut na teren Sobla Brzyńskiego, a po 20 minutach drogi osiągamy Koziarz (945 m n.p.m.). Szczyt ten jest częściowo zalesiony, co przysłania widok na szczyty Tatr, widoczne tylko przez konary drzew. Otwarta od strony zachodniej polana, pozwala zachwycać się widokiem Gorców i Beskidu Wyspowego, w tym całej doliny Ochotnicy, Kamienicy i części Dunajca, zaś w części wschodniej roztacza się wspaniały widok na Beskid Sądecki i Kotlinę Sądecką. Na Koziarzu żółty szlak opuszcza Brzynę by malowniczymi ścieżkami Obidzy prowadzić turystę na Dzwonkówkę (983 m n.p.m.) na spotkanie z królem polskich szlaków-czerwonym szlakiem karpackim, który wiedzie tędy od Bieszczadów po Beskid Śląski.



Kapliczka nad Dunajcem – Łazy Brzyńskie



Kapliczka przy drodze z Opalanej na Łazy Brzyńskie

Fot. Wincenty Tokarz

Wzmianki źródłowe o zniszczeniach Łącka i okolic na przełomie XVII i XVIII wieku

Ziemia Łącka w ramach badań nad województwem krakowskim i staropolskim powiatem sądeckim doczekała się kilku wzmianek w wydawnictwach źródłowych dotyczących drugiej połowy XVII i początku XVIII wieku¹ oraz opracowaniach i artykułach². Najbardziej jednak dogłębną analizę sytuacji Łącka i jego okolic w okresie przedrozbiorowym dokonał znany badacz Sądecczyzny, Henryk Stamiński³. W tej pracy odnajdujemy sporo informacji od czasów średniowiecza aż po rok 1782, w oparciu o liczne materiały archiwalne, co w zasadniczy sposób podnosi rangę i znaczenie tego opracowania⁴. Oprócz niego stosunkowo niedawno rys historyczny Łącka o szerszym wymiarze czasowym napisał Franciszek Podhalski z uwzględnieniem wprawdzie skromniejszym okresu przed 1795 rokiem⁵.

Moja krótka publikacja jest próbą przypomnienia stanu badań nad Ziemią Łącką i zarazem wprowadza kilka nowych informacji źródłowych o sytuacji tego regionu pod koniec XVII wieku i w początkach XVIII wieku. Warto przy tym pamiętać, że przecież mamy dość istotne wiadomości na temat tychże obszarów z roku 1698 zawarte w inwentarzu wydanym jako dodatek do pracy Adama Vetulaniego⁶. Mimo to wiele kwestii pozostaje nadal otwartych, szczególnie tych związanych ze zniszczeniami spowodowanymi przez różne formacje wojskowe pod koniec wojen z Turcją, jak i w czasach konfliktu północnego (lata 1700-1710). W przypadku ruiny tych terenów przez żołnierzy zarówno swoich, jak i obcych okazuje się, że przy pobieżnej nawet analizie ksiąg grodzkich sądeckich oraz innych źródeł znajdujących się w Archiwum Państwowym w Krakowie Oddział na Wawelu⁷ jest wiele danych wskazujących, jak wielki był to problem dla samego Łącka i sąsiednich wsi. Szczególnie w latach 1695-1697, gdy Klucz Łącki został obciążony sporymi kosztami utrzymania oddziałów Rzeczypospolitej, co ilustruje poniższa tabela:

¹ Np. *Rejestr poborowy województwa krakowskiego z roku 1680 r. wraz z aneksem miast według rejestru z roku 1655*, oprac. E. Trzyna i S. Żyga pod red. S. Ingłota, Wrocław 1959, fara łącko została tam wymieniona na stronach 205-206 w powiecie sądeckim, zob. też A. Vetulani, *Księgi sądowe wiejskie klucza łąckiego*, t. I, 1528-1739 również J. Rzońca, wspomina w swym artykule, *Sądecczyzna w pierwszej połowie XVIII wieku w opisie księży Jana i Stanisława Owińskich*, „Rocznik Sądecki”, t. XXX, R. 2002, s. 158, że Łącko było wymieniane w materiałach źródłowych księży Owińskich.

² M. in. S. Namaczyńska, *Kronika kłesk elementarnych w Polsce i krajach sąsiednich w latach 1648-1696, część II – Kronika kłesk elementarnych (1648-1696)*, Lwów 1937, np. s. 64; P. Wierzbicki, *Ziemia sądecka w okresie wojen polsko-tureckich (1683-1699)*, „Rocznik Sądecki”, t. XXXIII, R. 2005, s. 21-22, 30; tenże *Obraz szkód poczynionych w powiecie sądeckim przez wojska Rzeczypospolitej i chorągwie prywatne w latach 1702-1703 – wypisy z akt grodzkich sądeckich*, „Almanach Sądecki”, R. XII, Nr. 4 (44), Nowy Sącz 2003, s. 14 i 17. Warto też przejrzeć bibliografię zawartą w pracy H. Stamińskiego, *Przeszłość...*, s. 5-6.

³ H. Stamiński, *Przeszłość Łącka (l. 1251-1782)*, Nowy Sącz 1966.

⁴ Zagadnienia odnoszące się do przełomu XVII i XVIII wieku zob. H. Stamiński, *Przeszłość...*, s. 49-138.

⁵ F. Podhalski, *Łącko nad Dunajcem. Krótki rys historyczny dziejów miejscowości oraz parafii i kościoła wraz z zagadnieniami społeczno-bytowymi*, Kraków-Nowa Huta 1990.

⁶ A. Vetulani, *Księgi...*, „Dodatek” – *Inwentarz wsi klucza łąckiego z r. 1698*, oprac. S. Grodziski, s. 200-222.

⁷ Lata 90-te XVII wieku i pierwsze dziesięciolecie XVIII wieku obejmują *Castriensia Sandecensia* (później APKr. Oddz. na Wawelu Castr. Sand.) od numeru 140 do 147. Opis tych ksiąg i chronologię zawiera S. Kutrzeba, *Katalog*, s. 190.

Tabela nr 1

Zniszczenia i wydatki na wojsko Rzeczypospolite w kluczu łąckim lata 1695-1697⁸

| Rok | Liczba żołnierzy, rodzaj jednostki oraz dowódca (zwierzchnik) | Czas pobytu | Suma wydatków | inne | strona źródło |
|--------------------------------------------|---------------------------------------------------------------------------|---------------------------------------------------|---------------|-------------------------------------------|---------------|
| 1695 | Gwardia Królewska Jan Blesta – 80 żołnierzy | Od 21 marca przez 11 niedziel (tygodni) | 1286 zł | brak | s. 126 |
| 1696 | Regiment starosty dobczyckiego – kapral i 60 żołnierzy | Od 12 czerwca przez 10 niedziel (tygodni) i 4 dni | 810 zł | brak | s. 126 |
| 1697 | Regiment wojewody krakowskiego – porucznik Mento z końmi i 90 żołnierzami | Od 24 listopada przez 5 niedziel (tygodni) | 2120 zł | Jeden z tych żołnierzy zabił rzemieślnika | s. 126 |
| Suma strat, wydatków i zniszczeń – 4216 zł | | | | | |

Jak widać wówczas to wydatki sięgnęły ponad cztery tysiące złotych, co było sumą niebagatelną. Miał to jednak nie być koniec utrapień mieszkańców tych okolic. Na przełomie 1701/1702 swoje leże zimowe na tych terenach miała będąca na żołdzie Rzeczypospolitej chorągiew husarska należąca do pułku jazdy hetmana polnego koronnego Adama Sieniawskiego⁹ pod dowództwem porucznika Adama Olizara¹⁰. Opisuje to dokument a dokładnie „[...] Regestr szkód poczynionych przez chorągiew Jaśnie Wielmożnego Imci Pana wojewody bełskiego, hetmana polnego koronnego¹¹, tak w miasteczku naszym Starym Sączu jako i we wsiach do niego należącymi różnemi leguminami, to jest sianami, owsami, kurami, słońinami, zbożami i inszemi leguminami, które musieli wydawać nad asygnację J. W. Imci Pana kasztelana krakowskiego, hetmana wielkiego koronnego¹², spisany dnia czwartego miesiąca listopada roku 1702 [...]”¹³. Po tymże wstępie nastąpiło wyliczenie wsi oraz strat jakie każda poniosła w wyniku pobytu wojsk koronnych w przeliczeniu na złote polskie. Spisem objęto 36 miejscowości Sądeckizny¹⁴, pośród których znajduje się 9 z klucza łąckiego¹⁵:

⁸ Tabela sporządzona na podstawie APKr Oddz. na Wawelu, Castr Sand 145, s. 126 za danymi z tabeli w artykule P. Wierzbickiego, *Ziemia Sądecka w okresie wojen polsko-tureckich...*, s. 30.

⁹ Adam Sieniawski (1666-1726), herbu Leliwa, hrabia na Szklowie i Myszy, od 1692 r. wojewoda bełski, od 1702 r. hetman polny koronny, a od 1706 hetman wielki koronny, od 1710 r. kasztelan krakowski, patrz, S. Brodowski, *Żywoty hetmanów Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego z materiałów po Samuelu Brodowskim w Podhorcach znalezionych*, wydał Żegota Pauli, Lwów, Stanisławów, Tarnów 1850, s. 87-88; S. Leśniewski, *Poczet hetmanów polskich i litewskich XVIII wiek*, Warszawa 1992, s. 29-49.

¹⁰ Chorągiew ta liczyła 120 towarzyszy husarskich i 19 lipca 1702 brała udział w bitwie pod Kliszowem zakończonej klęską wojsk polsko-saskich, zob. M. Wagner, *Kliszów 1702*, Warszawa 1994, s. 126 (Stan liczebny i wykaz jednostek wojsk koronnych w batalii kliszowskiej).

¹¹ Adam Sieniawski – patrz przypis 9.

¹² Zapewne chodzi tu o Hieronima Lubomirskiego h. Śreniawa (1647-1706), który został mianowany hetmanem wielkim koronnym po śmierci Feliksa Szczęsnego Potockiego, który sprawował swój urząd zaledwie 14 dni od 1 do 15 maja 1702 (Biografia patrz. K. Piwarski, *Hieronim Lubomirski hetman wielki koronny*, Kraków 1929). Mniej prawdopodobne, że jest to Stanisław Jabłonowski h. Prus (1634-1702), który zmarł 3 kwietnia 1702 r., a funkcję hetmana wielkiego koronnego sprawował od 1683 r. (patrz. biografia, M. Wagner, *Stanisław Jabłonowski (1634-1702). Polityk i dowódca. Wódz i minister. Ojciec ojczyzny*, Siedlce 1997.)

¹³ APKr. Oddz. na Wawelu, Castr. Sand. 145., s. 734 całość dokumentu s. 733-741, za P. Wierzbicki, *Obraz szkód...*

¹⁴ Spis wszystkich wsi i strat, APKr. Oddz. na Wawelu, Castr. Sand. 145. s. 736-740

¹⁵ APKr. Oddz. na Wawelu, Castr. Sand. 145. s.

Tabela nr 2.

Straty we wsiach klucza łąckiego spowodowane przez wojsko na przełomie 1701/1702 roku¹⁶

| Nazwa wsi | Suma strat w złotych polskich i groszach |
|---------------------|-------------------------------------------------|
| Czerniec | 632 złote |
| Zarzecze | 463 złote 25 groszy |
| Kiczna | 634 złote 12 groszy |
| Zabrzeż | 653 złote 20 groszy i pół dziewiąte |
| Szczereż i Stanęcin | Razem: 685 złotych (wspólnie zapisane w źródle) |
| Wola Piskulina | 600 złotych |
| Zagorzyn | 600 złotych |
| Wola Kosnowa | 654 złote 24 grosze |
| Suma strat: | 4923 zł 21 groszy i pół dziewiąte |

Tym razem suma strat zbliżyła się do pięciu tysięcy. Co gorsza nasilająca się wojna północna ze Szwecją i przeniesienie się działań zbrojnych bezpośrednio na ziemie Rzeczypospolitej w roku 1702 spowodowały dalsze przemarsze wojsk, a co za tym idzie kolejne trudności finansowe związane z utrzymaniem żołnierzy. W dniach 7 i 8 lutego 1703 r. chorągiew husarska księcia Janusza Antoniego Korybuta Wiśniowieckiego¹⁷ stanęła na nocleg we wsiach Łącko, Maszkowice, Czerniec i Zarzecze¹⁸. Rękopis wymienia różne świadczenia jakie wszystkie te miejscowości świadczyły na rzecz wojska podczas noclegu m. in. wydawano siano zboże i inne artykuły żywnościowe chociażby kury, gęsi a nadto piwo oraz wódkę. Do tego doszły jeszcze wypłaty pieniężne oraz podwoły np. [...] Półwozie poddanemu wzięto [...]¹⁹. Każda z wyżej wymienionych wsi poniosła następujące koszty jednodniowego pobytu wojska: Łącko 63 złote²⁰ a więc najwięcej, Maszkowice 22 złote, wieś Czerniec 51 złotych a Zarzecze zaledwie 3 złote i dziewięć groszy²¹ co daje w sumie 139 złotych i 9 groszy. Nie jest to mała kwota zważywszy, że w Starym Sączu straty wyniosły ponad 200 złotych. Oczywiście dużo szczęścia w tym wypadku miała wieś Zarzecze, której straty w wysokości 3 złotych były niewielkie, ale należało to do rzadkości.

Warto zaznaczyć, zamykając ten krótki przyczynek, o charakterze źródłowym, że nie wyczerpała się lista nieszczęść dla tego regionu związanych z wojną północną. Jeszcze w latach 1705-1710 r. obszary te dotknęły poważne zniszczenia wojenne wywołane przemarszami wojsk szwedzkich, rosyjskich i rodzimych²², co poważnie wpłynęło na przyszłość jego mieszkańców, a zarazem całej Rzeczypospolitej.

¹⁶ Sporządzone na podstawie tabeli zawartej w artykule P. Wierzbicki, *Obraz szkód...*

¹⁷ Janusz Antoni Korybut Wiśniowiecki(? – 1734), kasztelan wileński, od 1703 r. wojewoda wileński i od 1706 r. wojewoda krakowski, J. Wimmer, *Wojsko Rzeczypospolitej w dobie wojny północnej*, Warszawa 1956, s. 515, *Urzednicy województwa krakowskiego XVI-XVII wieku*. Spisy, oprac. St. Cynarski i A. Falniowska-Gradowska, pod red. A. Gąsiorowskiego, s. 109, 271.

¹⁸ [...] *Oblata registri damnorum in Bonis Antiquae Sandecz* [...] Regestr szkód poczynionych przez chorągiew husarską Jaśnie Oswieconego Imci Wiśniowieckiego przechodzącą z konsystencji zimowych w Nowym Targu przez dobra przewielebnych Ich Mciow Panien Zakonnych konwentu starosądeckiego na noclegach ode wsi do wsi natrawili [...], APKr. Oddz. na Wawelu, Castr. Sand. 145., s. 925 (całość dokumentu 923 – 928), za P. Wierzbicki,

¹⁹ APKr. Oddz. na Wawelu, Castr. Sand. 145., s. 926.

²⁰ APKr. Oddz. na Wawelu, Castr. Sand. 145., s. 925.

²¹ APKr. Oddz. na Wawelu, Castr. Sand. 145., s. 926.

²² W. Bazielich, *Historie starosądeckie. Szkice historyczne z dziejów miasta Starego Sącza i jego okolic*, Kraków 1965, s. 101-108.

Wywiad przeprowadzony z dr Marcinem Przybyłą z Instytutu Archeologii UJ prowadzącym badania archeologiczne na „Górze Zyndrama” w Maszkowicach

Wykopaliska na Górze Zyndrama zbiegły się z 600 rocznicą bitwy pod Grunwaldem. Czy zostały znalezione jakieś ślady, które by potwierdzały, że Mikołaj Zyndram mieszkał właśnie w „tych” Maszkowicach?

Obawiam się, że moja odpowiedź może być nieco rozczarowująca. Spośród odkrytych podczas tegorocznych badań kilku tysięcy fragmentów rozbitych naczyń glinianych, tylko trzy można z pewnością odnieść do okresu średniowiecza, a więc do czasów Zyndrama. Podobnie przedstawia się statystyka, jeżeli chodzi o dawne badania Marii Cabalskiej. Tak podczas wykopalisk z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, jak i w trakcie naszych badań nie udało się również zaobserwować jakichkolwiek struktur – murów, budynków lub fortyfikacji ziemnych, które mogłyby stanowić relikty średniowiecznej siedziby rycerskiej. Najprawdopodobniej miejsce nazywane dziś „Górą Zyndrama” było użytkowane gospodarczo od początku istnienia wsi Maszkowice, to znaczy od XIII stulecia, jednak nigdy – w czasach historycznych – nie było trwale zamieszkałe. Oczywiście tego rodzaju negatywny argument nie może stanowić podstawy dla zaprzeczania związku Mikołaja Zyndrama z Maszkowicami w gminie Łącko. Warto jednak podkreślić, że właśnie brak śladów osadnictwa z okresu średniowiecza lub z czasów jeszcze późniejszych decyduje o wyjątkowości badanego przez nas stanowiska archeologicznego. Na większości grodów w Karpatach, jak choćby w nieodległych Naszacowicach, nawarstwienia i fortyfikacje prehistoryczne zostały całkowicie zniszczone na skutek średniowiecznej działalności budowlanej, w Maszkowicach są one stosunkowo dobrze zachowane. To prawdziwa rzadkość.

Dr. Cabalska prowadziła tutaj badania w l. 60-tych. Skąd przypuszczenie, że ziemia maszkowicka kryje jeszcze jakieś tajemnice?

Interesujące, czy wręcz sensacyjne wyniki badań Marii Cabalskiej odbiły się szerokim echem w świecie naukowym, a grodzisko w Maszkowicach do dziś traktowane jest jako jedno z kluczowych stanowisk archeologicznych dla badań nad pewnymi odciwkami prehistorii Karpat. Mimo to, ogromna ilość zabytków pozyskanych podczas tych wykopalisk nie doczekała się do dziś pełnego, naukowego opracowania. Jesienią minionego roku wraz z małą grupką studentów podjęliśmy próbę nadrobienia tej luki i powrotu do badań sprzed pięćdziesięciu lat. Szybko okazało się jednak, że wraz z postępem tych prac pojawiły się pytania i niejasności, na które odpowiedź mogły przynieść tylko nowe badania wykopaliskowe. Dzięki wstępnemu rozpoznaniu geograficznemu wiedzieliśmy gdzie znajdowały się odkrywki archeologiczne z lat 1959-1975. Nasze wykopy ulokowaliśmy w takich miejscach, aby uzyskać jak największą ilość informacji, a jednocześnie w możliwie najmniejszym stopniu naruszyć nieprzebadaną wciąż partię „Góry Zyndrama”.

Czy można wstępnie oszacować, z jakiego okresu pochodzą wykopaliska?

Zarówno dawne prace Marii Cabalskiej, jak i nasze badania pozwalają przyjąć, że „Góra Zyndrama” zamieszkiwana była w sposób ciągły przez około 1500 do 2000 lat – to kolejna, wyjątkowa cecha tego miejsca. Przypomnę, że najstarsze miasta i osady w Polsce mogą poszczycić się około tysiącletnim czasem zamieszkania, a wieś Maszkowice istnieje od niespełna ośmiuset lat. Osobom niezajmującym się zawodowo badaniem przeszłości taka „głębina czasu” może wydawać się wręcz abstrakcyjna! Najstarsza wioska na badanym przez nas stanowisku powstała w czasach określanych przez nas jako wczesna epoka brązu, około 1900-1700 roku przed narodzeniem Chrystusa, a więc w okresie odpowiadającym rozkwitowi państwa faraonów w Egipcie. Najpóźniejsza faza osadnicza na „Górze Zyndrama” związana jest natomiast z okresem dominacji Celtów w Europie, określanym też jako epoka żelaza lub okres przedrzymski. Faza ta może być datowana na IV-II stulecie przed narodzeniem Chrystusa.

Co znaleziono do tej pory?

Może na wstępie należałoby zastrzec, że dla współczesnej archeologii istotne są nie tyle znaleziska, przedmioty, lecz raczej obserwacje dotyczące kontekstu, w jakim zostały one odkryte. Po trzech tygodniach naszego pobytu w Maszkowicach jesteśmy bogatsi o kilka takich istotnych spostrzeżeń. Udało się nam odsłonić i zadokumentować rodzaj bruku kamiennego, zbudowanego z dużych głazów piaskowcowych i mniejszych otoczków rzecznych. Jego funkcja nie jest jednak wciąż dla nas jasna. Może chodzić tutaj zarówno o rodzaj umocnienia poziomego mieszkalnego, jak też o rozwalisko kamiennych konstrukcji obronnych. Po wstępnym przeglądzie kilku tysięcy pozyskanych dotychczas ułamków naczyń glinianych możemy również stwierdzić, że gruba, czarna warstwa ziemi, w której znajdowały się kamienie, to rezultat długotrwałej i nieprzerwanej koncentracji osadnictwa przy wschodniej krawędzi wypłaszczenia na szczycie „Góry Zyndrama”. Najciekawsze jest chyba jednak spostrzeżenie dokonane w tym tygodniu. Poniżej dna wykopów archeologicznych z 1960 roku udało się nam zaobserwować relikty dwóch masywnych, pionowo wbitych pali oraz warstwy stanowiące ślady robót ziemnych prowadzonych na dużą skalę w późnej epoce brązu. Według naszej roboczej hipotezy możemy mieć tutaj do czynienia z pozostałościami sztucznego niwelowania terenu i usypywania widocznego do dzisiaj tarasu, na wschodnim stoku wzgórza. Każdy kolejny dzień badań przynosi zresztą nowe obserwacje. Dzisiaj prowadziliśmy odwierty na łące znajdującej się obok pomnika Zyndrama z Maszkowic, kilkadziesiąt metrów na północ od strefy stanowiska badanej przez Marię Cabalską. Dotychczas przypuszczano, że w tym miejscu nie funkcjonowało osadnictwo prehistoryczne. Tymczasem w jednym z odwiertów natrafiliśmy na ułamki ceramiki oraz czarną ziemię przesyconą węglami drzewnymi – rodzaj warstwy formującej się jako rezultat intensywnego osadnictwa. Obserwacja ta pokazuje, że rozmiary osiedla prehistorycznego w Maszkowicach mogły być znacznie większe niż dotychczas sądzono.

Proszę przedstawić skład grupy archeologicznej pracującej w Maszkowicach.

W kierowaniu pracami w terenie pomaga mi mgr Justyna Molak, doktorantka z Instytutu Archeologii UJ. Nasza ekspedycja składa się ze studentów archeologii i kulturoznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego. W grupie tej są zarówno osoby zaangażowane w projekt opracowania zabytków z badań Marii Cabalskiej, jak i studenci, którzy po raz pierwszy zetknęli się ze stanowiskiem w Maszkowicach podczas obecnych terenowych praktyk badawczych.

Kiedy poznamy ostatecznie wyniki badań archeologicznych?

Natychmiast po powrocie na uniwersytet zamierzamy, wraz z moimi współpracownikami, przygotować wstępną publikację wyników badań, połączoną z ogólniejszymi rozważaniami nad prehistorycznym osadnictwem obronnym w Karpatach. Mam nadzieję, że ukaże się ona drukiem przed kolejnymi wakacjami.

Czy badania na Górze Zyndrama będą w przyszłości kontynuowane?

Jeszcze przed tygodniem byłbym w tej kwestii bardzo sceptyczny. Przed rozpoczęciem badań dokładnie sprecyzowaliśmy, jakich informacji miały nam one dostarczyć i wydaje mi się, że ten cel został spełniony. Po odkryciach z tego tygodnia pojawiły się jednak nowe pytania, zaczynam również wątpić czy zdołamy całkowicie zakończyć prace w obrębie wytyczonego wykopu. Być może zatem pojawimy się znowu w Maszkowicach w przyszłe lato.

Czy szkoła w Maszkowicach może liczyć na współpracę z Instytutem Archeologii UJ?

To raczej my liczymy na współpracę. Bardzo zależy nam na tym, aby lokalna społeczność wiedziała, jaki jest cel i rezultaty naszych badań oraz miała świadomość wyjątkowości znajdującego się na terenie Maszkowic obiektu archeologicznego. W związku z tym jesienią planujemy przygotować – we współpracy ze szkołą Maszkowicach – wystawę prezentującą wyniki obecnych i dawniejszych wykopalisk na „Górze Zyndrama”.

Czy widać było zainteresowanie miejscowej społeczności Waszymi badaniami?

Z pewnością. Spotkaliśmy się tutaj z ogromną serdecznością, nie tylko ze strony właściciela terenu, na którym prowadzimy badania – pana Stanisława Wnęka – oraz dyrekcji i pracowników szkoły, ale także wszystkich chyba mieszkańców Maszkowic, z którymi mieliśmy kontakt.

Przez cały miesiąc mieszkaliście w szkole. Na pewno nie było tu wszystkich wygod...

Warunki egzystencji w ramach ekspedycji archeologicznej są zawsze trochę surowe, studenci są jednak do tego przyzwyczajeni. Możliwość kąpieli w ciepłej wodzie i do-

stęp do kuchni, którymi dysponuje szkoła w Maszkowicach to i tak duży komfort. Po trzech tygodniach nastroje nam dopisują, a to najlepszy dowód na to, że nie tęsknimy szczególnie do wygod.

Byli też niespodziewani lokatorzy, którzy zakłócili wam pracę...

Tak, przez dwie noce gościliśmy mieszkańców maszkowickiej osady Romów. Oczywiście całkowicie rozumiemy wyjątkowość sytuacji, która wymagała ewakuacji tych ludzi i osadzenia ich w szkole. Na szczęście burze nie powróciły, a cała sytuacja nie wpłynęła znacząco na organizację naszych badań.

Bardzo dziękuję za te informacje i życzę owocnych wyników poszukiwań na „Górze Zyndrama”

Marcin Przybyła
Maszkowice, 21.08.2010

Wywiad przeprowadziła
T. Matusiewicz-Łazarz



Wykopaliska w Maszkowicach

Zarzecze to niewielka wieś rozłożona na obrzeżach gminy Łącko i powiatu nowosądeckiego po prawej stronie Dunajca. Przed wojną była bardzo biedną i przeludnioną do granic możliwości wsią. Już wtedy co odważniejsi mieszkańcy wyjeżdżali „za chlebem” w świat. Jedni z „szyfkartą” (bilet okrętowy) do Ameryki, inni do Niemiec czy Danii lub w Poznańskie i na Opolszczyznę. Wsią zarządzał wójt i tylko on mógł udzielić zgody na wyjazd. Czynił to jednak bardzo niechętnie, gdyż w ten sposób pozabawiał się taniej siły roboczej. Gdy jednak zgodził się na czyjś wyjazd, pozostała we wsi rodzina odrabiała pozwolenie w jego gospodarstwie przez dłuższy i dokładnie nieokreślony czas.

Po zakończeniu wojny i powrocie do Polski Ziemi Zachodnich, Zarzeczenie masowo opuszczali wieś w poszukiwaniu lepszego życia pozostawiając bez żalu swoje dotychczasowe, ubogie domostwa. Wyjeżdżali przeważnie pod Wrocław i dalej za Odrę, gdzie górzysty krajobraz zdawał się przypominać rodzinne strony i powoli wrastali w nowe środowiska. Byli też tacy ludzie we wsi, którzy jeszcze się wahali, nie wiedząc, co począć. Mieli chęć wyjechać, brakowało im jednak odwagi.

Pewnego jesienno dnia 1947 roku po niedzielnej Mszy św. usłyszeli przed kościołem w Łącku ogłoszenie (na polecenie gminy po każdej mszy pojawiał się gminny posłaniec, który przekazywał komunikaty przywołując słuchaczy głośnym bębnieniem w bębnek), że można obejmować gospodarstwa w Gorlickiem – „na Rusinach” – pozostawione po „akcji Wisła”.

Na wyjazd zdecydowało się sześć rodzin z Zarzecza, 17 osób: Wójcikowie z prawie dorosłymi dziećmi – 7 osób, pozostali to młode, bezdzietne jeszcze małżeństwa – Chronowscy, Jaworscy, Faronowie, Czajowie i Antoni Jurkowski z młodszą siostrą Józefą. Mężczyźni udali się do gminy, gdzie dowiedzieli się, że w ustalonym dniu mogą pojechać wojskową ciężarówką obejrzeć te gospodarstwa. Zawieziono ich do wsi Kunkowa w gminie Uście Gorlickie. Wieś była niewielka, położona nad rzeką, wciśnięta pomiędzy dwie góry. Krajobraz wydawał się być podobnym do rodzinnego. Małe chaty, które zaznaczyli już swą obecnością szabrownicy, nie zrobiły na przyszłych osadnikach żadnego wrażenia, natomiast zwrócili uwagę na rozległe łąki, lasy i pola wokół domostw, których w rodzinnej wsi tak brakowało. Bez większego namysłu zdecydowali się na osiedlenie.

Tamte wydarzenia z przed ponad sześćdziesięciu lat tak wspominają ówczesni, dziś już sędziwi i bardzo nieliczni osadnicy: Stanisława i Stanisław Czajowie, Władysława Chronowska i Józefa Bylińska.

Stanisław Czaja wspomina: *Byłem młodym chłopakiem, kiedy z łapanki wywieziono mnie na przymusowe roboty do Austrii. Pracowałem w gospodarstwie rolnym 40 kilometrów od Wiednia przez cztery lata. Po wyzwoleniu miałem zamiar osiedlić się na Ziemiach Odzyskanych, gdzie się zatrzymałem. Dostałem jednak wiadomość od*



Stanisław Czaja na robotach przymusowych pod Wiedniem

A Stanisław przypomina, że mieli tam 6 hektarów ziemi w dwóch kawałkach, z gminy dostali pożyczkę na zakup zboża siewnego i ziemniaków. Pojechał też do Zarzeczca (pieszo do Grybowa i pociągiem do Starego Sącza, dalej znowu pieszo), skąd od rodziców przyprowadził jałówkę, kury przywieźli wcześniej i tak powolutku jakoś gospodarzyli. Prace polowe wykonywali ręcznie, pług podczas orki ciągnęła krowa, a gdy w Uściu założono ośrodek maszynowy orali wtedy traktorem. Później we wsi powstała spółdzielnia produkcyjna. Stanisław wspomina, że nie zmuszano osadników do uczestnictwa, ale sami dobrowolnie do niej wstąpili. Zdawali sobie sprawę, że indywidu-



Państwo Czajowie w 2010 roku

szwagra, że jest możliwość osiedlenia się bliżej rodzinnych stron i znalazł nawet dla mnie domek. Nie namyślając się wiele wróciłem do swoich, wnet się ożeniłem i wiosną 1949 roku wyruszyliśmy w nieznaną – „na Rusiny”. Swoją niewielką dobytek przewieźliśmy łodzią na drugi brzeg Dunajca, gdzie czekała na nas wojskowa ciężarówka z Powiatowego Urzędu Repatriacyjnego w Nowym Sączu, załadowaliśmy ją i w drogę.

Stanisława dodaje: *Trochę się bałem tej przeprowadzki, nie wiedziałem, co mnie tam może czekać. Na miejscu zobaczyłem mały, drewniany i pusty domek z dwiema izbami i sienią, w kuchni był rozwalony piec, studnia dość daleko. Nie było mi wesoło. Powoli się tam jednak urządziliśmy, mąż sprowadził wodę pod dom rynną.*



Stanisława i Stanisław Czaja w dniu ślubu w 1948 roku

alnie nie dadzą rady uporać się ze wszystkimi pracami. Stanisław pracował w owczarni po dziesięć godzin dziennie, a zapłatę otrzymywał na koniec roku. W Kunkowej przyszły na świat ich trzy córki.

Wiosną 1957 roku do wsi zaczęli powracać poprzedni właściciele – wspomina dalej Stanisław. – Pomy-

śleliśmy z żoną, że trzeba nam wracać. Ale gdzie? I znowu pojechałem do rodzinnej wsi szukać jakiejś pomocy. Mieszkanie tymczasowe znaleźliśmy w Starym Sączu, u krewnych dopiero po trzech tygodniach. Przez ten czas mieszkaliśmy wspólnie z poprzednimi właścicielami. Nawet dosyć zgodnie żyliśmy. Wracaliśmy z całym dorobkiem ciągnikiem wynajętym w ośrodku maszynowym.

Po niedługim czasie udało nam się kupić mały, stary domek w Zarzeczcu, wróciliśmy zatem na stare śmieci. Znalazłem pracę w żwirowni w Starym Sączu i dorobiłem się tam emerytury. A teraz sobie tu mieszkamy, mamy 4 córki, 14 wnuków i 15 prawnuków. Na pięćdziesiątą rocznicę zawarcia związku małżeńskiego zaproszono nas do gminy w Łącku, gdzie późniejszy starosta Jan Golonka wręczył nam medal za długotrwałe pożycie.

Władysława Chronowska z domu Wójcik tak wspomina tamten czas: *Miałam siostrę i trzech braci. Byłam najmłodsza. Nie pamiętam dlaczego rodzice pojechali „na Rusiny”, a nie na Ziemię Odzyskane, jak większość ludzi z Zarzeczca. Dzisiaj sobie myślę, że może brakowało im odwagi, aby jechać tak daleko. Ojciec z bratem pojechał wozem zaprzężonym w pożyczonego konia. Na wozie była świnia i kury, krowę przypięto za wozem. Pamiętam, że szliśmy pieszo 18 km z Grybowa przez górę do Kunkowej. Na rzece Ropie był most, a za nim nasza wieś – Kunkowa poczta Łosie. Dom, w którym zamieszkaliśmy znajdował się nieco za wsią, był mały i drewniany, połączony ze stajnią, niedaleko była studnia na korbę. Mieliliśmy tam chyba siedem hektarów. Konia nie mieliśmy, oraliśmy przy pomocy krowy i jałówki. Jakoś po około trzech latach wyszłam za mąż za Piotra Chronowskiego, którego pierwsza żona zginęła od uderzenia pioruna podczas orki w polu i zastąpiłam matkę jego osieroconemu, półtorarocznemu synkowi Antosiewi. Z Piotrem znaleźliśmy się wcześniej, myśleliśmy o wspólnym życiu, ale nie mogliśmy się pobrać z powodu braku mieszkania. Po niedługim czasie zmarła moja siostra i też pozostawiła maleńkiego synka. Jego również wzięłam do siebie. A potem przyszli na świat dwaj moi synowie. Mąż pracował w spółdzielni produkcyjnej, a ja w domu. Pamiętam, że latem już o godzinie czwartej rano szłam z innymi kobietami do Gorlic na jarmark niosąc nabiał, jagody i grzyby na sprzedaż. Nie było mi lekko. W Kunkowej zmarła moja mama i tam spoczywa na cmentarzu obok siostry. Tam też znajdują się dwie mogiły moich braci, którzy pozostali w Kunkowej do końca życia. Ojciec wrócił do Zarzeczca i spoczywa na cmentarzu w Łącku. Powrócił też jeden brat, założył rodzinę w Zarzeczcu. Też już nie żyje.*

Dobrze wspominałam tę wieś, chociaż musieliśmy ją opuścić, gdy po 1956 roku wrócili pierwsi jej właściciele. Przez miesiąc mieszkaliśmy pod jednym dachem, dopóki



50-ciolecie ślubu Państwa Czajów



Dom Chronowskich – Kunkowo 2010 rok. Fot. ze zbioru Rozali Kulasik

Piotr nie znalazł domu w rodzinnej wsi. Wróciliśmy do Zarzecza i zamieszkaliśmy w wynajętym od wujka domu. On z rodziną wyjechał na Ziemie Odzyskane. Potem odkupiliśmy ten dom, płacąc za niego ratami. Dokupiliśmy też trochę ziemi. Dzisiaj ze mną mieszkają dwaj synowie, mam wnuki i prawnuki. Mam też dwie córki, które ze swoimi dziećmi również mnie odwiedzają. Nie ma tylko Piotra, który zmarł kilka lat wcześniej.

Najmłodszą osadniczkę Józefę spotykam również w Zarzeczu, gdzie obecnie mieszka w ładnie odnowionym, zadbanym i ukwieconym domku swojej matki. Gospodyni chętnie opowiada o tamtych, dawnych czasach: *Na Rusiny pojechałam z bratem. Miałam wtedy 18 lat i byłam bardzo ciekawa świata. Do tej pory nigdzie jeszcze nie byłam poza swoją wsią. Brat był niewiele starszy ode mnie. Rodzice początkowo nie chcieli nawet słuchać o naszym wyjeździe, ale gdy wstawił się za nami wujek, który również wyjeżdżał ze swoją rodziną, obiecując opiekę i pomoc w razie potrzeby, zgodzili się. Pojechaliśmy furmanką, którą ciągnęły krowy. Wybraliśmy drewniany, mały dom niedaleko od wujka, a ziemi mieliśmy około 3 hektarów. Rodzice dali nam na początek ziemniaków, zboża i mąki. Okazało się jednak, że praca w polu była ponad nasze siły. To była harówka, wszystko robiło się ręcznie. Latem zbierałam grzyby i jagody, które nosiłam do Gorlic na sprzedaż. Sprzedawałam też masło, ser i jaja. W najcięższych pracach pomagał nam wujek i kuzyni. Wieczorami spotykaliśmy się ze znajomymi i przy naftowych lampach wspominało się bliskich, mężczyźni grali w karty. Czasem, mimo trudnego dojazdu, odwiedzali nas krewni przynoszący nowinki z rodzinnej wsi. Przychodziły też chwile, że ogarniała mnie tęsknota i myślałam nawet o powrocie do rodziców, ale brat powiedział, że nie honor wracać. Zostałam.*

Przez całe lato na łąkach wypasali owce szczawniccy górale. Jeden z nich szczególnie przypadł mi do gustu. Został potem moim mężem. W międzyczasie zachorował nasz ojciec i mama prosiła nas o powrót. Wtedy też pojawiły się pogłoski, że do wsi będą wracać poprzedni właściciele, więc my bez chwili zastanowienia zlikwidowaliśmy gospodarstwo i wróciliśmy do Zarzecza.

Po śmierci ojca brat wprowadził do rodzinnego domu żonę, ja też wnet wyszłam za mąż i zamieszkałam najpierw pod Czorsztynem, a potem w Szczawnicy. Znalazłam pracę w pobliskim pensjonacie. Pracowałam tam aż do emerytury. Gdy owdowiałam, zaczęłam myśleć o powrocie w rodzinne strony. Powtórnie wyszłam za mąż. Po kilku latach przenieśliśmy się do Zarzecza do domu mojej mamy. Niedawno znowu owdowiałam i teraz mieszkam sama. Pozostało mi tylko prosić Boga o zdrowie.

Obecna Kunkowa na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie cichej, pustej i zapomnianej wsi. To jednak pozory, bo w niedzielne wrześnieowe popołudnie wszyscy przeziadują w swoich domach. Nieśmiało stukam do najbliższej chaty. Siedzi tam dwóch mężczyzn, z których jeden, gdy wyluszczam cel mojej wizyty, zgadza się być moim przewodnikiem. To Piotr Karlak, który niespodziewanie dużo wie o osadnikach z Zarzecza, pokazuje chaty, w których mieszkali, prowadzi do swojego domu mówiąc, że zajęła go rodzina Chronowskich. Potem pan Piotr wiedzie pod niewielką, drewnianą cerkiewkę, nad którą, znajduje się mały, otoczony drewnianym ogrodzeniem cmentarz i wskazuje wpadnięte w ziemię, porośnięte trawą cztery zapomniane mogiłki. Na jednej z nich ktoś umieścił drewniany, rzymskokatolicki krzyż. To mogiły Zarzeczan. Zapalamy znicze. Potem pan Piotr pokazuje jeszcze dwa nagrobki osadników, którzy do końca życia pozostali w Kunkowej. Zmarli około trzydziestu lat temu. Widnieją na nich napisy w języku polskim: Antoni Wójcik i Wojciech Wójcik. Tu również zapalamy znicze.

Idziemy też ku grobowcowi, w którym spoczywają rodzice pana Piotra. Napisy na nim, jak na wszystkich prawie mogiłach, w języku łemkowskim. Zapalając znicz pan Piotr wspomina, że przesiedlono ich z całą wsią, gdy jego nie było jeszcze na świecie. Zamieszkali pod Zieloną Górą, mieli tam gospodarstwo rolne i nawet dosyć dobrze im się powodziło. Rodzice jednak wciąż wspominali swoją ojcowiznę i marzyli o powrocie w rodzinne strony. Gdy nadarzyła się okazja, że można było wracać, bez zastanowienia powrócili. Był to rok 1957, Piotr miał wtedy 10 lat. Dom był jednak zajęty. Zamieszkali w innym opuszczonym domu, a gdy wrócił jego właściciel, musieli go opuścić. Wtedy doszli do porozumienia z Chronowskimi i przez pewien czas zamieszkali razem, a gdy tamci wyjechali, wreszcie poczuli się na własnych śmieciach.

Piotr Karlak mówi też, że dzisiejsza Kunkowa liczy niewielu mieszkańców. To prawie sami starsi ludzie, młodzi opuścili wieś, tylko jednostki uprawiają ziemię, hodują owce i krowy. Pokazuje też drewnianą, małą szkołę imienia Jacka Kuronia, całkowicie skomputeryzowaną, w której uczy się trójka uczniów. Wieś trochę zaludnia się latem, gdy przyjeżdżają turyści nad Klimkowskie Jezioro zwabieni urokliwą przyrodą, lasami pełnymi jagód i grzybów i ciszą pozwalającą na wspaniałe relaks. Nad ich bezpieczeństwem zdają się czuwać wtedy dwie góry otaczające wieś, dostojna Kopa i nieco niższy Dił, a płynący środkiem wsi Przysłup, wpadający obok do jeziora zaprasza do wyczasów.

O służebnej, która bogaczką została

Niezdarnie zląził z wozu Dziad z kulawą nogą, ale jeszcze niezdarniej szło to starowinie Lachowi, w którego wychudłym ciele ledwie tliła się gasnąca iskierka życia.

– Pomału, gazdo, pomału – parobek podtrzymał ramieniem gospodarza, słaniającego się na nogach, wcisnął do jego trzęsącej się prawicy grubą laskę i wolno doprowadził ku wejściu do karczmy. – Uważajcie na próg – szeptał wiodąc staruszka do wnętrza, oświetlonego blaskiem lamp naftowych.

Dziad, postępujący parę kroków za nimi, pokuśtykał pod ścianę i rozsiadłszy się w kącie, w milczeniu przyglądał się gazdom debatującym przy bimbrze, na podpitych kawalerów zaczepiających służącą i na drzemiącego za szynkwasem Żyda, który ożywił się dopiero na widok bogatego Lacha.

– Alem się was złąkla! – Dziewka służebna, której karczmarz kazał unieźnie podjąć gościa, cieszącego się w okolicy niemałym szacunkiem, potknęła się na dziadowskich nogach. – Też tak siedliście, nieporęcznie! – parsknęła i pobiegła na środek izby. Żebrek schowany w cieniu i wyraźnie zapomniany przez Lacha, na próżno czekał na jakikolwiek ochłap ze stołu. – Dalej tu siedzicie? – zagadnęła uciekając od zalecających się kawalerów. – Usuńcie się do sieni, to wam chleba ze spyrką przyniosę.

– Niech ci Bóg nagrodzi, dziecko – odparł.

– Akurat umielibyście odmienić moją dołę! – roześmiała się na cały głos i znikła za szynkiem.

Maria jej było na imię, ale ludzie zwali ją Maryną. Obrotna była, a nade wszystko zycyliwym słowem umiała zjednywać przychylność chłopów nawiedzających karczmę, więc Żyd już parę lat trzymał ją na służbie. Od czasu, gdy jako ledwie odrośnięte od ziemi dziecko przydreptała bosa z pytaniem, czy przyjmą ją do posługi. Przyjęli. Z uczciwej rodziny bowiem pochodziła, tyle że – najuboższej w Zarzeczu.

Uwijając się między popijającymi z kufla chłopami, nie zapomniała o Dziadzie i przyniosła mu schowany pod zapaską gruby pasek słoniny z pajdą razowego chleba, z którymi zaraz usunął się do sieni, gdzie usiadł w półmroku, w cieniu otwartego skrzydła drzwi, skąd – sam nie będąc przez nikogo widzianym – miał widok na izbę: na gazdów, na karczmarza za szynkiem, na Marynę i na głupiego Jonaszka, przemyskającego chyłkiem pod ścianami.

Dawniej ów Jonaszek był niczego sobie kawalerem. Ojcu na roli pomagał, za dziewczuchami się oglądał, po lasach wnyki na zwierzynę zakładał i Żydowi do karczmy mięso przynosił. Nocami zaś chadzał po sąsiednich wioskach i kradł co popadło. Nigdy nie przyłapano go na gorącym uczynku przez parę dobrych lat szabrował w okolicy, a że mało kto uchował przed nim dobytek, ludzie strasznie nań zaczęli pomstować, no i w końcu Jonaszka pokarało.

Szedł wtedy brzegiem Dunajca pogwizdując i wypatrzył pod drzewem związany worek, w którym coś się okropnie szamotało. Przystanął, obmacał znaleźzisko, ale konopnego sznurka nie zdołał rozplątać i nie zajrzawszy do środka, pewien, że to małe zwierzątko, zarzucił wór na plecy i przyspieszywszy kroku oddalił się od rzeki.

– Ktoś zapomniał czy co? – myślał.
– W chałupie przetnę sznurek i zobaczę, co mi się trafiło... – medytował rad z furtu, raz po raz przystając i poprawiając worek. – Coś mi strasznie zaczęło ciążyć!
– Zatrzymał się pod wierzbą i wsparłszy toból o spróchniały pień, otarł spoczone czoło.

– Hu! Hu! Hu! – usłyszał nagle z drugiego brzegu rzeki. – Gdzieś jest? – Zdziwiony obrócił się usiłując przebić wzrokiem ciemność, a wtedy z worka odezwał się głos:

– Hu! Hu! Hu! Jam już u Jonaszka w torbie! – Wystraszony cisnął wór. W mgnieniu oka przebiegł przez rozstaje i goniony szyderczym chichotem, ledwie żyw ze strachu i zmęczenia, wpadł do karczmy. Bez słowa minął zdziwionych chłopów, Żyda i schował się w komorze, gdzie do białego rana na kolanach odmawiał pacierze.

Nieraz już powiadano Dziadowi, gdy tędy wędrował, że po zdarzeniu nad Dunajcem zmienił się nie do poznania. Przestał kraść, z chałupy nocami nie wychodził i aby nie umrzeć z głodu, najął się w karczmie do ciężkich robót. Wielkie beczki z okowitą i z piwem wytaczał z piwnicy, koniom obrok zadawał i za Marynę wiadra ze studni dźwigał. Był roslym chłopem, więc nieraz też wyrzucał zaciętrzewionych pijaków za drzwi karczmy. Tyle, że dawnego rozumu już nie miał.

– Jonaszku, jak to z twoim workiem było? – Drwili zeń gazdowie, których w przeszłości okradał, okrutnie, ale mało z ich gadaniny pojmował i tylko uśmiechał się bezmyślnie.

– Zostawilibyście dziwaka! – Maryna, biorąc głupiego Jonaszka w obronę, wyganiała go z wiadrami po wodę i tak samo uczyniła teraz, gdy jeden kawalerów zaczął podkpiwać z głupka, niepewnie przestępującego z nogi na nogę.

– Maryno, a coś tak jest za nim? – Pijaczyna zbliżył się do dziewczki. Wymknęła się zwinnie i z gniewnym parsknięciem uciekła pod ścianę. – Nie bądź taka harda!

– Przebiera w kawalerach, jakby była gospodarską córką – zarechotał któryś z towarzyszy.

– Nie przebieraj, Maryś! Nie przebieraj, bo starą panną zostaniesz! – zawtórował pijak, nic sobie nie robiąc z oporów Maryny.



– A naści! – Poczul na plecach nagłe uderzenie Lachowej laski, a po nim kolejne.
– A naści, paskudniku jeden!

– Jasny gwint! – Obrócił się rozeźlony, zasłaniając twarz przed ciosem Lachowej laski. – Co robicie? – syknął rzucając się na starca, ale nim zdążył objąć w uścisku szyję gazdy, głupi Jonaszek wywlókł go na podwórze i zaczął pławić w pełnym wody, głębokim korycie i byłby pewnie utopił, gdyby karczmarz nie kazał mu wrócić do gospody.

– Sromota! Wielka sromota! – jęknął Żyd bijąc pokłony przed Lachem. – Starszego nie uszanował! Pod moim dachem! Wybaczcie biednemu Żydkowi, panie Lachu! Wybaczcie, bo nie winien! I nie omijajcie na przyszłość zajazdu! Nie omijajcie!

– Was nie obwiniam – mruknął ciężko dyszący staruszek, wsparty na ramieniu wiernego parobka i kiedy poruszeni chłopci na powrót zasiedli do stołów, spoczął na szerokiej ławie, nie spuszczać oczu z Maryny. – Pójdźże tu, panno! – zachrypiał. – Dolej piwa!

– Bóg zapłać, Lachu – szepnęła, podchodząc z glinianym dzbankiem w dłoniach.

– Dobrze ci w tej służbie, panno? – zaczął wypytywać, przytykając do kufła bezkrwawe wargi i z głośnym siorbaniem popijając spieniony napitek.

– Nie krzywduję sobie – odparła półszepem, oglądając się na Żyda.

– Kawalerzy, widzę, nie dają spokoju?

– Bywa, że czasami nie dają, ale umiem się wybronić. Zresztą głupi Jonaszek, jak takiemu przygrzmoci, to tylko kości klekocą! – Zaśmiała się patrząc na Lachową twarz pooraną bruzdami.

– A swatów nie posyłają? – dociekał.

– Swatów?

– Zalotna z ciebie dziewucha ...

– Co z tego, kiedym biedna służebnica – skrzywiła się. – Kawalerom w głowach panny z wianem.

– To żaden z gorzałką nie posyłał?

– Żaden.

– I żadnego nie chcesz?

– N...nie! – Zawahała się zanim pisnęła cienkim głosem: – Żadnego.

– A mnie, chciałybyś, panno?

– A co bym miała nie chcieć? – parsknęła i ze śmiechem uciekła z izby, nie biorąc poważnie słów starca, któremu, owszem, wypada się żenić, ale chyba z tą Białą, co od czasu do czasu poza opłotkami chadza z kosą na ramieniu.

Wędrowny Dziad, który wszystko widział i słyszał ze swego kąta w sieni, z politowaniem pokiwał głową. Chwilę później, odprowadziwszy wzrokiem odjeżdżającą sprzed karczmy Lachową furmankę, poszedł w stronę stogów, które stały na rozległej łące. Sękatymi rękoma wygrzebał jamę w sianie, pachnącym końską miętą, wcisnął się do środka i westchnąwszy zapatrzył się w okrągłą tarczę księżycy. Wieczór był

ciepły, więc nie chciał zebrać o nocleg w karczmie i z doświadczenia znając skąpstwo właściciela, schował na rano obgryzioną skórkę chleba i zmówił wieczorne pacierze.

Nie bał się nocować na świeżym powietrzu, bo już nieraz podczas wieloletnich wędrówek po świecie zdarzało się mu sypiać pod gołym niebem. Nieraz też miał okazję napatrzeć się dziwom, o jakich potem opowiadał po wsiach. A były historie, od słuchania których włosy stawały na głowach: o orszakach pokutujących duchów wędrujących koło płotów i widywanych przez piastę od koła; o Białej przemykającej z kosą na ramieniu; o Czarnym¹, który w wietrzne noce pomagał samobójcom zarzucać powrózek na gałąź czy o boginkach² czających się przy chałupach, w których baby leżały w połogu. Parę razy nawet wypatrzył w mroku strzygonia³ szczerzącego nań zęby i zmagał się z siodelkiem⁴ podobnym do czarnego kocura, które usiadło mu na piersi i okrutnie go zmordowało, a kiedy się przebudził, czmychnęło w zarośla.

– Oj, Panie Bozicku, co to się na Twoim świecie wyprawia? – mruczał ufny w łaskę Opatrzności i w opiekę dusz czyścowych, za którymi modląc się nieustannie orędownał. Nigdy bowiem nie zawiodły go w potrzebie strzegąc przed złą przygodą. – Oj, Panie Bozicku, nie umarłych, ale żywych bać się potrzeba! – wdychał zasypiając. Jednak nie dane mu było odpocząć po całodziennej wędrówce, bo ledwie zamknął oczy, przebudził go szmer gałęzi leszczyny, za którą chował się kawaler spoglądający ku ścianom karczmy. Nie wiadomo kiedy przyszedł ze wsi, w której dawno już umilkło szczekanie psów i pogasły światła, ale Dziada, drzemiącego w stogu siana, pewnie nie zauważył, bo zaraz zaczął się przechadzać, niecierpliwie nasłuchując znajomych kroków. Przez chwilę nic się nie działo i wędrowca zmierzliło niespokojne tupanie, bo rozbudził się na dobre i już nie mógł oka zmrużyć, a ruszać się nie chciał, żeby szelestem nie zdradzić swej obecności przed obcym, który wypatrzywszy postać wybiegającą spomiędzy opłotków ruszył jej naprzeciw.



1 Diabeł.

2 Postać z wierzeń ludowych.

3 Postać z wierzeń ludowych, przedstawiana jako groźna istota powiązana ze sferą zła i nocy, posiadająca duże zęby i nachodząca śpiących ludzi (czasem także domowe zwierzęta), aby wysysać ich krew.

4 Zmora. Według wierzeń ludowych co noc nawiedzająca śpiącego, na którego piersiach ma zwyczaj siadywać, wywołując duszności.

Maryna, którą Dziad zaraz poznał w dziewce, spóźniła się na umówione spotkanie i tłumacząc się kochankowi, bezładnymi ruchami przyglądała zmierzwiłone włosy.

– Maryś, Maryś – szeptał, coraz mocniej tuląc ją do siebie. – Już myślałem, że do mnie nie wyjdiesz!

Gromala się nazywał i był przystojnym kawalerem, więc patrzyła nań jak w malowaniu. Kiedy do niej mówił słyszała anielskie pienia i bicie niewidzialnych dzwonów – tak uroczyście, jakie niosło się po okolicy podczas odpustu w Starym Mieście. Odkąd tylko sięgała pamięcią, zawsze ją coś ku niemu ciągnęło. Choć wiedziała, że majątny ojciec nie pozwoli mu się z nią ożenić, nie wzbraniała się przed owym kochaniem i gdy tylko prosił, nie namyślając się biegła na spotkanie. Ale gdzie córce komorników marzyć o gazdowskim synu? Klarowała mu to nieraz prosząc, aby się zlitował, aby nie rozbudzał w obojgu jeszcze większych tęsknot, ale nie chciał słuchać i boczył się póki nie przystała na schadzkę.

– Ckniło mi się za tobą, Maryś! Ckniło przez cały dzień!

– I mnie się ckniło...

– Ojce zmiękną – mruzczał ciągnąc ją w stronę stogu. – Jak potracą siły zapiszą mi gospodarke, a wtedy...

– A jak nie zapiszą? A jak się będą bali, że weźmiesz żonę nie po ich woli?

– Zapiszą, zapiszą – uspokajał.

– A jak się każą z kim innym ożenić?

– Chyba po moim trupie! – burknął, nierad wspominając panny, które mu swatano i które przy Marynie wydawały się nierozgarnięte, szpetne, a przede wszystkim nazbyt łase na jego majątek. Choć niejedna dziewczyna nieraz próbowała dolać mu do piwa lubczyku, zbałamucić się nie dał i do żadnej z gorzałką nie posyłał. I chociaż ojciec coraz usilniej nalegał, aby się ożenił, zaparł się i o pannach z przysiółka nawet nie chciał słuchać.

– Przetrzymamy wszystko, Maryś. Przetrzymamy!

– Aleś zawzięty!

– Z tobą się ożenię!

– Ale...

– Z tobą! – nie dał jej dokończyć. – I do grobowej deski przy tobie zostanę.

Pięknie do siebie szeptali zasłuchanym księżycu, ale o czym mówili? Dziad nie zdradził nikomu powiedzieć i nazajutrz o świcie, samotnie zdążając uśpioną drogą, dumiał nad losem kochanków.

Dumając przekroczył most na Końcu Wsi i zastukawszy do drzwi przydrożnej zagrody poprosił o wodę. Ubodzy gospodarze, nie posiadający niczego oprócz zgrzybiałej chałupy krytej wyłysiałą strzechą, nie poskąpili wędrowcowi napitku, do którego dołożyli kawałek żytniego, pieczonego na blasze⁵ placka, za co odwdzieczył się modlitwą w intencji dusz tych, co kiedyś ten dom zamieszkiwali. Potem podziękował za gościnę, pożegnał się i pomaszerował w głąb wsi, która już nieraz zgotowała

⁵ Na kuchennej płycie.

mu przychylnie przyjęcie. Wieśniacy bowiem za święty obowiązek uważali karmienie żebraków, którzy wedle zwyczaju odwdzięczali się modłami zarówno w intencji żywych, jak i umarłych; przynosili nowiny z obcych stron i ludowi, który z rzadka wypuszczał się poza dolinę, otwierali oczy na dziwy tego świata. Na ten przykład takie, o których skwapliwie rozprowadano w okolicach Jasnej Góry, dokąd od wielu pokoleń pielgrzymowały rzesze pątników i gdzie królowała Czarna Madonna, która dawnymi czasy obroniła klasztor przed napaścią luterzańskich Szwedów. Bo któż inny, nie licząc uczonego księdza, znosiłby do wioski te podania, gdyby nie wędrowne dziady? I któż opowiadałby o tym, że koniec świata nastąpi wówczas, gdy blizny na smutnym obliczu Jasnogórskiej Pani, dotrą do jej serca? A kto wie, czy nie nastąpi on niebawem, skoro owe blizny, będące śladami po ranach zadanych ręką świętokradcy, wydłużają się z upływem stuleci? Truchlały pobożne baby, truchleli nawet zuchwali chłopcy przy takich historiach i z chęcią gościli wędrowców, domagając się gawęd o tych miejscach, których nie widzieli i zapewne nigdy nie zobaczą.

Dziad dobrymi wspomnieniami wiedziony w te strony, poprawił konopny worek przerzucony przez ramię i pokuśtykał ku zachodowi, do zielonej doliny. Powieki miał półprzymknięte, a twarz schowaną w cieniu obwisłego ronda kapelusza, ale widział więcej niż by się z pozoru ludziom wydawało. Jednak nie dziwił się wcale, bo już długo chodził po ziemskim padole i chociaż tu i ówdzie ludzie różnili się mową, gryzły ich podobne troski.

– Ej, Boże, Bozicku! – westchnął, wciąż nie mogąc zapomnieć o Marynie. – Za biednaś panno dla gospodarskiego syna. Za biedna! Nie dadzą mu się z tobą żenić – mamrotał, czując ciężką łapę wzruszenia zaciskającą się wokół szyi. – Boże, Bozicku! Tyś jeden zdolny nasz żywot odmienić. Ja nie krzywduję siebie. Nie krzywduję! Mnie tylko tego dziewczyniska żal!

Rozmyślając nad własną niedolą i złym losem bliźnich usiadł na trawie, na wprost wyrzeźbionej w drewnie, szerniałej od deszczów figury Frasnoliwego Jezusa i słaby z niewyspania, podpierając głowę na zwiniętej pięści, usnął na słoneczku. Coś mu się pewnie miłego roilo, bo uśmiechał się we śnie, dając się łaskotać palcom słonecznych promieni.

– Ej! Dziadku! Chybaście nie pomarli? – zbudziło go dziecięce wołanie. Powoli uchylił powieki i ujrzał bosą dziewczynkę w brudnej sukience.

– Czemu Dziadowi spać nie dajesz? Czegós tu przylazła? – mruknął rozeźlony gramoląc się na drogę, gdzie stało zaciekawione dziecko kręcące w dłoniach wiklinową witkę, którą poganiało stadko nieopierzonych gąsiami.

– Myślałam, żeście pomarli – odparła rezolutnie, na wszelki wypadek cofając się do rowu, w którym gąsienka szczypały zielone listki krwawnika. – Siedzieliście pod płotem, jak tatulo w tamtym roku.

– I co? Co z tatulem? – spytał łagodniejąc.

– A co miałyby być? Umarli.

– Umarli, powiadasz? – Popatrzył z wysoka na jasną czuprynę, na bystro spoglądające oczka i zakatarzony nosek, który dziewczynka ocierała rękawem. – Jak na cię wołają?

– Marysia – odrzekła śmiało i oglądając się za siebie, dodała z powagą: – A mojemu bratu Józek.

– Józek? – obejrzał się zdziwiony. – Gdzie masz tego Józka?

– Ano, tam! W krzakach siedzi, bo się was przestraszył.

– Mnie?

– Boi się, bo go raz jakiś dziadyga chciał do worka porwać.

– A ty się nie boisz? – spytał, kątem oka zerkając na Józkową głowę, wysuwając się ostrożnie zza krzewu kaliny obwieszanej czerwienią korali.

– E! Ja tam mało strachliwa! – Wypięła dumnie chudziutką pierś i obejrzawszy się na rozproszone stadko gąsiąt, zaraz ku niemu podreptała i zaganiając na ścieżkę, wiodącą nad strumień, krzyknęła do Józka. – Gospodyni będą krzyczeli, jak gęsi zgubimy! – Smagnęła gałązką bosc piętę brata i pognała między wysokie pokrzywy i stadko, i pochlipującego Józka.

– Zostańcie z Bogiem, dzieci – szepnął bardziej do siebie, niż do rodzeństwa, które musiało pójść na służbę i ociężałym krokiem poczłapał przed siebie.

Wędrował tędy i owędy, roznosząc po chałupach swoje opowieści i parę dni minęło, nim trafił do zagrody leciwego Lacha, który usadził go na ławie, kazał wychowanicy nałożyć do miski ziemniaków ze zsiadłym mlekiem i oparty o przypiecek, pykając fajkę, z zagadkowym uśmiechem spoglądał na gościa.

– Wiecie – nie wytrzymał w końcu i szepnął, kiedy zostali sami: – Żenię się.

– Żenicie się? – Dziad, wyskrobujący drewnianą łyżką resztkę ziemniaków z miski, zastygł w bezruchu.

– Co się tak dziwicie? – Lach podszedł do stołu i usiadł naprzeciw. – Sam zostałem. Nie ma mnie kto doopiekować na starość, bo wychowanica... Niech Bóg uchowa! – Machnął ręką.

– Macie już jaką babę na oku, czy dopiero myślicie poszukać?

– Już posłałem swatów – oznajmił półszepsem. – Wychowańce jeszcze o niczym nie wiedzą.

– Dadzą wam się żenić?

– A co mają nie dać? Ja tu jestem gazdą i nic im do mojego ślubu, i do mojej baby. A wy... – Przyjrzał się badawczo zdziwionemu wędrowcowi, międlącemu w dłoniach ochłap kapelusza. – Wy o nic nie dopytujecie? Nie ciekawicie mojego ożenku?

– Co by tu rzec, Lachu – mruknął Dziad, przeczesujący palcami pasma siwej brody. – Może i jestem ciekaw, ale odradzić żeniaczki, to wam przecież nie odradzę.

– Czemu mielibyście odradzać? – zdziwił się staruszek, nie wypuszczając z ust cybucha fajki. – Zresztą, odradzić sobie nie dam. Samemu przykro mi się na świecie, a jak babinę do chałupy sprowadzę, będę miał do kogo gębę otworzyć.

– Coście za jedną upatrzyli? Wdowę jaką?

– Udała mi się ta panna, co w karczmie u Żyda służy. Posłałem tedy swatów z flaszką i nie odmówiła.

– Ta młódka? Mogłaby uchodzić za waszą wnuczkę!

– Wiem.

– I służąca.

– Mnie wiana nie trzeba. Mam dosyć i ziemi, i dobytku. Nie będziemy głodować. A jak mnie pięknie doopiekuje, to zapiszę jej wszystko w testamencie.

– A wychowańce? Co rzekną na waszą wolę?

– Nic nie mają do gadania, a jak mi będą babą pomiatali, precz z chałupy pogonię!

Dziad pokręcił głową i ani słowem nie zdradzając tego, co sądzi na temat Lachowych zamysłów, wsadził do pustego worka pięto kiełbasy i kawałek chleba, na życzenie gazdy przyniesione z komory przez służebną, ukląkł i odmówiwszy pacierze pożegnał gościnną zagrodę. Ale nie na zawsze. Tego lata bowiem nieraz dane mu było zaglądać do obejścia, co czynił nie tylko dla ciepłego jadła, lecz i dla Maryny, której urodzie nie mógł się napatrzeć. Jednakowoż patrząc, milczał tajemniczo i dumając dziwił się odmienionej doli dawnej posługaczki i zadowoleniu gazdy, któremu przy młodej żonie wyraźnie lat ubyło.

Maryna i Lach przeżyli ze sobą trzy lata, szanując się wzajemnie i nie czyniąc z siebie widowiska, jak we wsi prorokowano. Bo choć młódka, nie wystawiała męża na ludzkie pośmiewisko. Gospodynią okazała się porządną i o Lachowy dobytek dbała należycie, pilnie strzegąc go przed zachłannymi wychowańcami, wygnanymi z izby do komory i nie mającymi śmiałości czynić wrzasku wokół swej niedoli. A kiedy Lachowi zabrakło sił, stała się mu podporą, bo i karmiła w ostatnich miesiącach życia, wodziła po obejściu i zabawiała w długie wieczory, a na jarmarku nieraz, na oczach gapiów, własną zapaską wycierała zasmarkany nos. Zawistnicy, którym w oczy zawsze cudze szczęście kole powiadali, że czyniła to wszystko, aby nie stracić obiecanego zapisu, ale Dziadowi, który rokrocznie zaglądał do Lachowej zagrody, wcale nie wydawała się tak interesowna. Czasami na odpuszcie w Starym Mieście albo na łąckim jarmarku spotykała swojego Gromalę, trwającego cierpliwie w kawalerskim stanie, ale ani razu nie zawstydziła, ani nie zmartwiła Lacha. Przed śmiercią troskliwie go pielęgnowała, a gdy umarł, odprowadziwszy wzrokiem plebana z wiatykiem, wyprawiła mu pogrzeb i zanim posprzedawała wszystkie grunta, otrzymane według ostatniej woli nieboszczyka, zdecydowała się na powrót do rodzinnego Zarzecza. Do ojcowej chaty zwiozła ruchomy dobytek: wypielęgnowane konie, dojne krowy z owcami, kury nioski, gęsi z gąsieniami, puchate pierzyny, domowe statki, cztery malowane skrzynie, wypełnione babskimi szmatami i moc rozmaitych różności, o jakich parę lat temu nawet jej się nie śniło. Lach bowiem danego słowa dotrzymał, zapisując jej w testamencie wszystko co z dziada pradziada posiadał i choć wychowańce czuli się skrzywdzeni, nie ośmielili się procesować, skoro pozwoliła im do śmierci zamieszkać w zagrodzie. Parobka, który służył u nieboszczyka wiele lat, dobrze wypłaciła, służebnym rozdała podniszczone odzienie i na koniec, zamówiwszy u kowala żelazny krzyż z paradnymi zawijasami na Lachową mogiłę, wróciła w rodzinne strony. Dzięki odziedziczonemu majątkowi podźwignęła z biedy całą rodzinę i gdy minął okres żałoby, wydała się za Gromalę. Odkąd bowiem stała się z najbiedniejszej, najbogatszą partią w siole, starzy Gromalowie przestali synowi zakazywać żeniaczki i nawet do prawdziwej zgody z nimi doszła, bo nie chowała urazy o dawną niełaskę.

– Boże, Bozicku! – Dziad, który pewnego razu zaszedł do Gromalowej chałupy, głośno chlipiąc gorącą polewkę, kątem oka spoglądał na Marynę krzątającą się koło pieca, na którym suszyły się gruszki ze śliwkami. – Boże mój, Bozicku!

– Co wam to? – przystanąła.

– Nadziwić się nie mogę waszej litości.

– A czemuż?

– Bo przecież z dawien dawna wiadomo, że litościwe serce nie stoi w parze z bogactwem.

– Pewnie zachodziliście nie do tych chałup, co trzeba! – Zaśmiała się serdecznie i zaczęła go przekonywać, aby nie odmawiał gościny i został na zimę w chacie. – Mróz siarczasty, kurniawa, śniegi do pasa, a wy odmawiacie?

– Zostać, bym został – mruknął. – Ale co wasz chłop powie?

– A co by miał gadać? – wzruszyła ramionami. – Jak już ja się zaprę, to zaraz się zgodzi. I powiadam wam, że daleko nie zajdziecie. Zostańcie – nalegała. – Przejmujecie w komorze. Za polewkę pacierze za Lachem zmówicie, pieśni zaśpiewacie... Miejcie pomysłu! Jeść mamy co! I spać jest gdzie!

– Gadacie? – wahał się.

– Na wiosnę w ten wasz świat pójdziecie.

– Na wiosnę? – nie krył nieśmiałej radości.

– Przecież gadam, że na wiosnę!

– Niech wam Bóg błogosławi! – Z rzewnym uśmiechem pochylił się nad dymiącą polewką i nie opierał się dłużej życzliwym namowom.

– Już pobłogosławił – uśmiechnęła się głaszcząc dłońmi okrągły brzuch, sterczący spod serdaka. – A was, jak obiecałam, do nieba za żywota poślę! Do końca życia modlić się za was będę! Za to, że moja dola tak się odmieniła! – rzuciła uroczystym szeptem, święcie przekonana, że to wędrowiec, któremu kiedyś w żydowskiej karczmie okazała litość, orędowną za nią u samego Boga. Dziad uniósł wzrok znad miski i zapatrzoną w skupioną twarz Maryny uśmiechnął się tajemniczo.



Barbara Faron urodzona w 1977 r. w Limanowej, dzieciństwo spędziła w niedalekiej Kamienicy, a obecnie mieszka w Krakowie. Ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim, a potem studia podyplomowe na tamtejszym Wydziale Historycznym. Pracuje jako nauczyciel i redaktor: współpraca z wydawnictwem Feniks Media Group (pisanie artykułów na temat malarstwa), redakcja przewodników turystycznych dla wydawnictwa Bezdroża, w tym także redakcja e-przewodników; korekta tekstów dla wydawnictwa M, korekta i redakcja powieści oraz tekstów publicystycznych (szeroko pojęta humanistyka) dla pracownika naukowego UJ wykładającego w Dreźnie, korekta edukacyjnych programów multimedialnych.

W wolnych chwilach para się tworzeniem utworów prozatorskich z powodzeniem stosując rozmaite konwencje literackie.

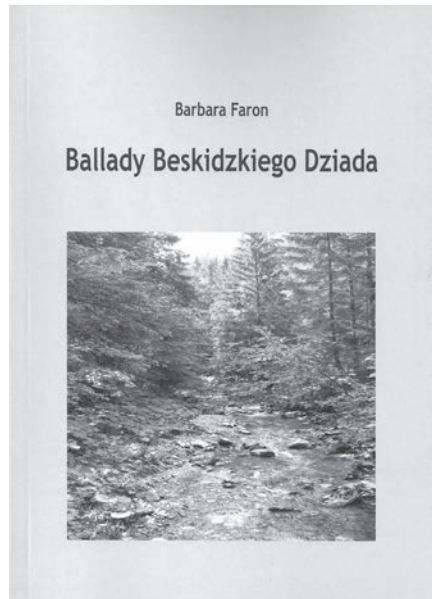
W 2007 r. opowiadanie *O parobkowych dzieciskach* zdobyło I miejsce w konkursie prozatorskim *Fabrica Librorum* (www.portalliteracki.pl/sekcje,strona,115.html).

Rok później ukazała się historyczno-obyczajowa powieść *Zniewolona* osadzona w realiach XIX-wiecznych (<http://zaczytani.pl/ksiazka/zniewolona,druk>).

Również w 2008 r. ukazała się bajka dla dzieci *Zazie na bezludnej wyspie* (e-book), która w roku 2010 zdobyła I miejsce w kategorii książki młodzieżowe w konkursie „Najlepsze książki na wiosnę” (http://www.granice.pl/recenzjaSchron_7/recenzja,Zazie_na_bezludnej_wyspie,2628)

W 2009 r. opowiadanie *O potomkach fartownego przybłądy* otrzymało wyróżnienie Stefana Dardy w I Konkursie Literackim o Platynowy Kałamarz.

Warto wspomnieć, że wyróżnione w latach 2007 i 2009 stylizowane na ludowe opowiadania należą do cyklu *Dziadowe ballady*, którego tematyka porusza m.in. wierzenia i obyczaje mieszkańców Kamienicy na przestrzeni XX w. Obecnie w przygotowaniu do wydania jest kolejna powieść, która w sierpniu 2010 r. ukáže nakładem wydawnictwa Replika.





Poezja, która ocala to co znika, ginie bezpowrotnie, mocno związana z człowiekiem, regionem, kulturą środowisk – jest poza podejrzeniem. Nie ważne jakim uderza słowem, ważne że słowem stąd, z wczoraj przede wszystkim, na dziś, i na uchowanie w przyszłości nieodgadnionej. Jeżeli kto chce autora sprowadzić z hal na akademię, ten nie wie, czemu służy sztuka słowa. Zatem niejedyn brachu, zjedz oscypka, wypij co nieco spod krzaka i poczytaj przy

tym Kozińskiego. To jest świat, którego nie znasz, a tacy jak Bronek mówią w jego imieniu. Bynajmniej nie po Twojemu.

Taki komentarz pod moim wierszykiem napisał znany poznański poeta Jerzy Benjamin Zimny. Komentarz ten nie tylko mnie ucieszył ale i mobilizował, dochodził bowiem pierwszy rok mojej przygody z pisaniem. Nie wstydę się tego dzisiaj, że poezję swoją wystawiłem na portal poetycki *Poezja Polska* i *Fabryka Librorum*, na którym kilka moich wierszy było wierszami miesiąca. Na portalach tych swoją poezję prezentuje tysiące osób, mnie jednak dostrzeżono i obdarzono ciekawymi komentarzami moje wiersze.

Oto najlepszy wiersz stycznia 2010 roku (*Fabryka Librorum*):

Wniebogłosy

Może i jest w tym trochę racji, że gdzie bym nie był, o czym gadał
zawsze do gór słowem powracam, góralską nutką odpowiadam.

Kamienie też tu macie inne, takie, że pewnie z osiem razy,
klaszcząc o lustro, skoczą zwinnie, nie tak jak nasze górskie głązy
wiatrem chłostane, gromem cięte, zwilżane kroplą mgielnej rosy
w zwałach rumowisk, niebożęta milczące głucho wniebogłosy.

Inaczej widzę, nie z daleka, odlatujące kormorany,
które mnie kiedyś tak urzekły piosenką o nich napisaną.
Przez nią myślami lotnych ptaków jak złodziej z gór tu przybywałem,
kradnąc uśpionych tataraków, mazurską nocą, snów kawalki.

Splatałem je jak tamten człowiek nad brzegiem sieci potargane,
lecz co dzień spod otwartych powiek to świt kradł moje sny nad ranem.
Ech! Gdyby można nabrać w ręce, albo zaczerpnąć, chociaż w jedną,
Sam nie wiem, czego chciałbym więcej, lecz wiem, że nigdy by nie zwiędło.

Pachnący bryzą strumień wiatru na pewno czerpałbym obiema,
potem jak siewca szedł ku Tatrom, rozsiewał tam, gdzie takich nie ma.
Na którym pisze – dla górala – podarowane stare wiosło
z mazurskiej ziemi – wsadzę w skały, by wyrastało w niebo głośno.

Pewnie jest w tym racja, że moje słowa, myśli, a co za tym idzie i tematy, najczęściej związane są z górami, stronami gdzie najczęściej przebywam. Nie trzeba mi szukać pomysłów, obrazów u innych, mam to zawsze pod ręką z racji dorobku życiowego, w którym i alkohol pozostawił swoje piętno. Także śmierć bliskich miała wpływ na pewien rodzaj wrażliwości, bez której w poezji obejść się niepodobna. Język mój jest prosty, łatwo zrozumiały dla szerszego ogółu. Wcześniej nasłuchiwałem się opinii, że wiersze jakie piszę są anachroniczne, z biegiem czasu te opinie wyciszały się, coraz więcej osób odradzało zmianę stylu, tematów, twierdziły, że byłbym nieautentyczny, nieszczerzy i czekały z niecierpliwością na kolejny wiersz.

Cień włóczykija

Ona

Ciemną otchłanią urzeczona, topiła w wodzie oczy łzawe,
podarty płaszcz nad czarnym stawem, ściągnięty z mnicha włóczykija,
cieniowym mrokiem dzień rozbijał.

Wysoko, nad granicą mroku, kroplami coraz cieńsze lody
drażyły twarde samorody – kap, kap, jak bajdy o tym samym,
zmróżone płaszczem potarganym, milkły tak samo przed wieczorem,
jak nad jeziorem milkła Ona.

Mnich

Dawniej w strzelistych Trzech Koronach, zaznaczył cieniem swoje ślady,
w cichym klasztorze z cegieł krwawych rozhuśtał dzwony nad górami,
bim-bam, melodią o tym samym,

skromną muzyką zakonników, budził pienińskich pustelników.

W końcu podobny do upiora, żegnany krzyżem, których trwożył,
skrojony w skrzydła płaszcz rozłożył, odfrunął w Tatry, nad jeziora.

Nad czarnym stawem, dla pasterki, wyrosła w grani sosna licha,
ze starganego płaszcza mnicha, wygląda jak kwiat z butonierki,
kap, kap spadają igły w wodę.

Dalej, po drugiej stronie cienia

krapelki skaczą po kamieniach – hop, hop jak dzieci lodowcowe.

To jeden z komentarzy do tego tekstu:

...Bronka nie można traktować, jako par excellence poetę języka, ale jako poetę fenomenu językowo-kulturowego. Nie reprezentuje on folkloru góralskiego in extenso, ale zamieszkuje „osobowość tatrzańską”...Bronek chodzi po schematach kulturowych reżyserując nowy schemat. Robi to samo co Wajda, aktualizuje widzenie wzoru kulturowego w wydaniu kultury masowej. W kulturze i charakterze języka polskiego tragedii i grozy nie da przedstawić, bowiem sam fakt, że się mówi o nich, to już się je pieści, przytula, pociesza, zagaduje w rozmodleniu języka. Stąd, moim zdaniem, Bronek intuicyjnie nakopał tej czerni, by mimo wszystko przestraszyć. Ale w granicach odbioru schematu kulturowego, wiersze Bronka intuicyjnie są liryką współczesnej tradycji, dobrem zaktualizowanego normotypu, popartym przez dobro, które wyraża sam język polski w swoim charakterze..

Bogdan Lichy

Kolejny wiersz, bardzo mi bliski:

Cieśla i Józef

Nawet się cieszył, że przez gwarę, ta pierwsza spowiedź w wielkim mieście,
Nie będzie zrozumiana wcale, więc może wszystko wyznać. Wreszcie.
Kiedy miał kończyć i powiedzieć: już więcej grzechów nie pamiętam,
Dodał: i mową grzeszę co dzień, takie tam różne, i przekleństwa.

*Za to że kcioleś mnie osukać, trza na kościele dach przyśpiesić,
Co zaś się tycy twoje mowy, mozes niom, synu, dalej grzysić.*

O jeden kościół za daleko, by wrócić wzrokiem na Podhale,
tak samo dzieje się z człowiekiem, który ucieka coraz dalej.
Myśli, że z wiosną, w stare gniazdo będzie powracał jak bociany,
rzadko powraca jako gazda – częściej jak chłop cywilizowany.

Słuchał tych jego filozofii i właśnie przez to, że tak kazał,
Odwiedzał kościół przy parafii, gdzie zapomniane grzechy zmasał.

(Tischnerowi)

Ostatnio bardzo dużo dobrych recenzji uzyskał mały cykl wierszy z serii *Sezon na deszcze*, oto jeden z nich:

Sezon na deszcze II

Kapią powoli przekwitłe liście, ścielą kobiercem jałowe hale,
sztalugi z jodeł, płótno z prześwitu, październikowy malarzu maluj.
Niedościgniony w martwej naturze, stwórz dla odmiany obraz wraz z sercem
zwyczajnie szaro bez żadnych złudzeń, nakreśl juhasa w góralskim swetrze.

*Ka my sie bracie podziejem w zimie, kiej nas z koliby pszepłoty wiater,
przeżry na wylot liche odzienie, sceruje mrozem górolski sweter,
pochyli piórko u kapelusa, siyrocy symbol na siwy głowie,
powidz mi bracie – ka momy rusać, wendrowne orły- kawalyrowie.*

Nie dbaj o kolor, nawet na szaro, bez zmiłowania, żadnej litości,
Październikowy malarzu maluj, odkrywaj postać do szpiku kości.

*Widzis ten prześwit miendzy jodłami, za nim, jak hala zagonik nieba
Z obłocków owce pasonce na nim, tam tyz prowadziwyk juhasów potsza.
Łostawmy chawok góralskie swetry, kapelus z piórkiem znacek ślebody,
chodźwa bracisku, jak zwykle cepry, jakby nas dzisiaj Pon Bócek stwozył.*

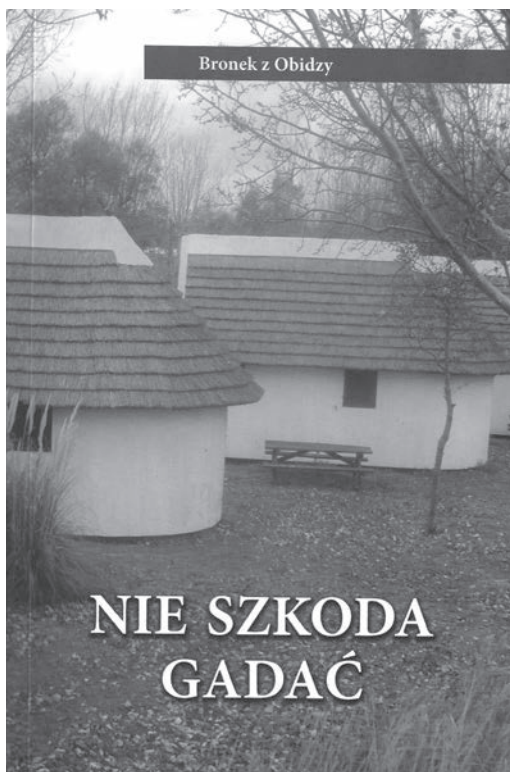
Nie narysował malarz górala, pewnie chodziło o jego duszę,
Tylko ten seter pomalowany w jesienne barwy na drzewach suszy.
Wiatr zerwał piórko od kapelusza, między sztalugi otwarte w przestrzeń
Poniósł jak wolną góralską duszę, na inne hale, w sezon na lepsze.

Na koniec chciałbym podziękować
Pani Jadwidze Jastrzębskiej i całemu
zespłowi redakcyjnemu, za pracę, którą
wkładają, by pokazać jak wiele jest
ciekawych osobowości, które nie mając
siły przebicia, w zapomnieniu pozostają
ze swoją autentyczną twórczością.

Ludzie ci poświęcają swój czas i pracują
społecznie przy wydawaniu Almanachu
Łąckiego, przy nieznacznym wsparciu
Starostwa Powiatowego w Nowym Sączu
i Urzędu Gminy w Łącku. Wydaje mi się,
że Gminny Ośrodek Kultury w Łącku,
który finansowany jest z budżetu gminy,
powinien bardziej dbać o kulturę i sztukę
autentyczną (ludową), wyszukiwać i
wspomagać w prezentacji tej twórczości;
artystów autentycznych nie jest ich znowu
tak bardzo wielu.

Wydałem do tej pory dwa tomiki wierszy,
oba za własne pieniądze i spotkałem się
nie tylko z obojętnością, ale wręcz z
chłodem, ze strony instytucji, które
„zajmują” się propagowaniem

i rozwojem kultury w naszej gminie. Pierwszy tomik nosi tytuł Orły nad Sokolicą,
drugi Nie szkoda gadać.

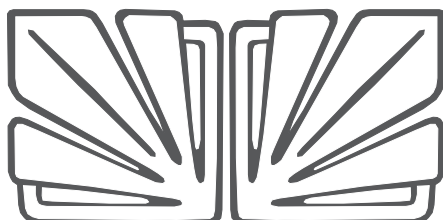


Kilka słów o mnie: urodziłem się w 1963 roku w Obidzy, w której mieszkam do dnia dzisiejszego z żoną Krystyną i synami: Łukaszem i Mateuszem. W tym roku zostałem dziadkiem, wnuk Bartek rośnie na twardego górala. Moi rodzice Maria i Eugeniusz Koziński gazdują, mimo niezbyt młodego wieku, na gospodarstwie także w Obidzy.



Maria i Eugeniusz Koziński z Obidzy

Fot. ze zbiorów Bronisława Kozińskiego



Stefan Kozik – sołtys Łazów Brzyńskich



Owocobranie 2010

dostał do Marynarki Wojennej w Gdyni, spędził tam 3 lata.

Do rodzinnego gospodarstwa wrócił w 1963 roku. W 1970 roku ożenił się z Krystyną, z domu Florek, z Gabonia.

Mają trzech dorosłych synów i pięć wnuczek.

Mieszkają w chałupie z drewnianych bali, na wzgórzu, z którego mają wspaniały widok na całą okolicę. Flaga państwowa wisi na maszcie, przy małym placu, gdzie jest przystanek autobusowy i świetlica Koła Gospodyń Wiejskich i skąd wyasfaltowana dróżka prowadzi do rodzinnego domu sołtysa Kozika.

Biuro sołtysa mieści się w jednym z pokoi jego domu. Orzeł w koronie, który wisi na ścianie, pochodzi z okresu 20-lecia międzywojennego i Stefan Kozik otrzymał go od Karola Bieryta, poprzedniego sołtysa.

Jeszcze nim został sołtysem założył Koło Gospodyń Wiejskich (koła były pod patronatem Kółek Rolniczych) i został jego prezesem. Funkcję prezesa KGW w Łazach Brzyńskich pełni do dnia dzisiejszego i jest to jedyny tego rodzaju przypadek w Polsce.

Stefan Kozik jest osobą kontaktową, otwartą, do tego wszystkiego z ogromną fantazją. Te cechy pozwoliły, że z kobietami nawiązuje nic porozumienia na tyle dobrą, że nie chcą zmiany prezesa.



Piotr Kozik ojciec Stefana lata 30 XX wiek



Stefan i Józef Kozik z sąsiadami lata 60 XX w.

namawiań gminnego sekretarza PZPR. Stefan Kozik miał jasno wytyczony cel – praca społeczna na rzecz polepszenia życia i cywilizacyjnego awansu swoich sąsiadów i całej społeczności.

Łazy Brzyńskie z tamtego okresu były małą, biedną, zabitą deskami/jak sam mówi/ wioską przypisaną Brzynie. Przed II wojną światową, a są na to dokumenty u sołtysa Kozika z 1936 roku, Łazy Brzyńskie były gminną wioską. Nowa rzeczywistość, która nastąpiła po 1945 roku, przypisała Łazy Brzyńskie, Brzynie. Dopiero po przemianach ustrojowych w 1989 roku, udało się sołtysowi Kozikowi przywrócić stan sprzed 1945 roku i Łazy Brzyńskie są znowu sołectwem. Swoją społecznikowską pasję i upór potrafił wykorzystać dla dobra całej społeczności i te 30 lat, które przepracował zaowocowały ogromnym rozwojem cywilizacyjnym całej wsi. Młodzi budują na Łazach Brzyńskich swoje nowe, piękne domy, nie opuszczają rodzinnej wsi w poszukiwaniu innego miejsca do życia.

Gdy Stefan Kozik zajmował się z pasją i uporem sprawami społecznymi, wychowaniem synów i gospodarką zajmowała się żona Krystyna, która mimo tylu obowiązków domowych, pomagała jeszcze mężowi w pracy społecznej.

Pierwszy telefon założony został u sołtysa Kozika, korzystała z niego cała wieś, tak rozpoczęła się na Łazach telefonizacja wsi. Sołtys zaczął zabiegać u wszystkich możliwych instancji o budowę dróg, by mógł dojeżdżać do wsi autobus. Do wsi sprowadzał kino objazdowe, by mieszkańcy mogli oglądać filmy.

Sołtys Stefan Kozik działał bardzo aktywnie, inaczej nie potrafi, w Stowarzyszeniu Sołtysów.

Nie pamięta dokładnie kiedy został sołtysiem, ale jest to przełom lat 70 i 80 XX wieku. Sam najchętniej rok 1980, przyjmuje jako początek sołtysowania. W latach 1980/1 działał w Solidarności RI, po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku, był inwigilowany przez milicję, nie poddawał się jednak żadnym naciskom, nie wstąpił do PZPR, mimo usilnych



Stefan Kozik w marynarce

Praca społeczna została nagrodzona wieloma różnymi odznaczeniami, medalami i dyplomami. Stefan Kozik najbardziej ceni sobie tytuł Sołtysa Roku 2003, który wręczył mu 11 lutego 2004 roku Prezydent RP Aleksander Kwaśniewski, oraz tytuł Najlepszy Sołtys Małopolski, który otrzymał 7 października 2005 roku Ceni sobie także wysoko wyróżnienie Starosty Nowosądeckiego, Złote Jabłko Sądeckie, które otrzymał na 30 lecie swojej pracy jako sołtys Łazów Brzyńskich, w dniu 12 września 2010 roku.



Dożynki woj w Łącku-Łazy Brzyńskie

Od kilkudziesięciu lat sołtys Stefan Kozik robi domowe nalewki, z których słynie w całej Sądecczyźnie. „Nalewka Łazowska”, która w 2005 roku otrzymała III nagrodę w konkursie „Nasze Kulinarne Dziedzictwo”, organizowanym przez Polską Izbę Produktu Regionalnego i Lokalnego, jest dumą i chlubą sołtysa. Przepis na nią ma po dziadku Tomaszowi, który słynął już przed II wojną światową, z produkcji świetnej jałowcówki. Sołtys Kozik „produkuje” nalewki z owoców, które ma w swoim sadzie i lesie, można więc degustować nalewkę wiśniową, modrzewiową, żurawinową, sosnową, jeżynową, malinową, z dzikiej róży, porzeczkową i „nowość” imbirową.

Swoje nalewki prezentuje na regionalnych świętach, zawsze ma pięknie przystrojone stoisko swojego sołectwa na Świątce Kwitnącej Jabłoni, Kiermaszu Sztuki Ludowej, Owocobranii.

W 2010 roku stoisko Sołectwa Łazy Brzyńskie także zdobyło I miejsce,



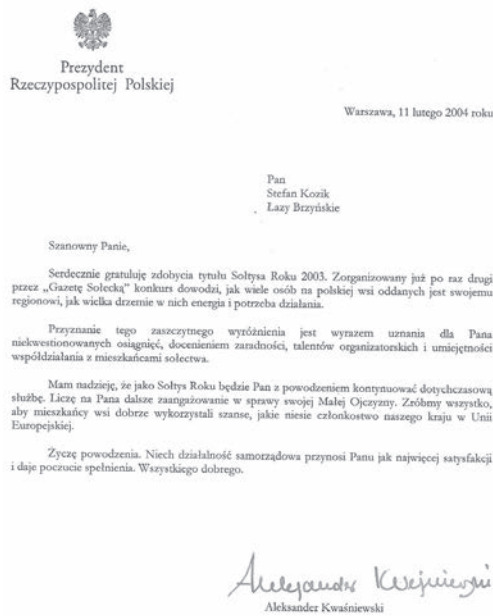
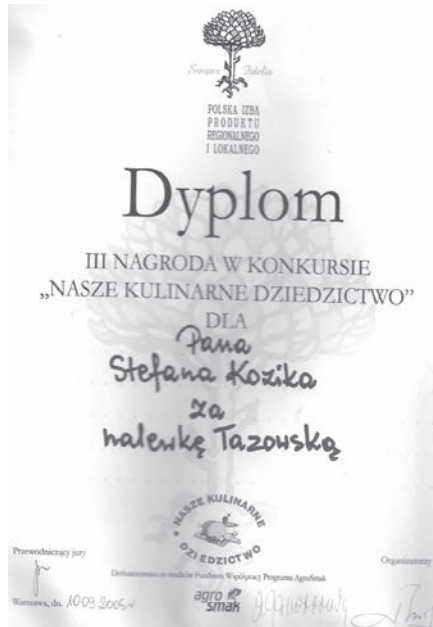
Nalewka łazowska

w konkursie organizowanym przez GOK, również placek ze śliwkami w konkursie regionalnych wpieków z owocami zajął I miejsce.

Stefan Kozik od kilku kadencji jest radnym gminy Łącko, jest także w radzie Banku Spółdzielczego, działa w Związku Emerytów i Rencistów, był także ławnikiem w sądzie.

W przyszłym roku Stefan Kozik będzie obchodził 70 urodziny, Redakcja Al-

manachu Łąckiego z niewielkim wyprzedzeniem składa serdeczne życzenia wszelkiej pomyślności, dalszych owocnych lat w działalności społecznej, pociechy z wnuczek. Życzymy także tego twórczego zapału i fantazji, która przełamuje wszelkie bariery w osiąganiu zamierzonego celu.



Wszystki fotografie ze zbiorów Stefana Kozika



Profesor Ludwik Sitowski urodził się 29 marca 1880 roku w Starym Sączu, w rodzinie ziemiańskiej. Był synem Jana – sędziego grodzkiego, Radcy Sądu Krajowego i Zofii z Myszkowskich. Kształcił się u o.o. Jezuitów w Chyrowie (obecnie na terenie Ukrainy), a następnie w gimnazjum klasycznym w Nowym Sączu, gdzie zdał egzamin dojrzałości. W latach 1902-1906 studiował nauki biologiczne na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Uczył biologii w Gimnazjum Św. Jacka, a także w prywatnym Liceum Żeńskim im. Heleny Kaplińskiej. Od 1909 roku był jednocześnie na Uniwersytecie Jagiellońskim wspólnym asystentem przy Katedrach Zoologii i Anatomii Porównawczej, kierowanych przez profesorów W. Siedleckiego i H. Hoyera. Prowadził ćwiczenia z oznaczania szkodników rolnych i leśnych na Studium Rolniczym. Specjalizował się w entomologii, a głównym jego zainteresowaniem była biologia motyli. Stopień doktora filozofii uzyskał w roku 1907 na podstawie rozprawy „Spostrzeżenia biologiczne nad molowcami”. W październiku 1916 roku zorganizował przy Zakładzie Zoologii Stację Doświadczalną do badania szkodników zwierzęcych, którą kierował do końca września 1919 roku. Główne zainteresowania prof. L. Sitowskiego były od dawna ukierunkowane na znalezienie biologicznych metod walki z owadami szkodliwymi w leśnictwie. Zorganizował w tym celu specjalną pracownię. Rozmnażano w niej, między innymi, pasożyty owadzie w celu przeszczepienia na szkodniki leśne i rolne. Pasożyty wysyłane były również do Europy Zachodniej i Ameryki Północnej. Prace naukowe w tej dziedzinie zapoczątkował artykuł o chrabąszczu majowym w związku z klęskowym pojawieniem się go w roku 1916 na terenie Podkarpacia. Z kolei ukazała się praca na temat zwalczania poprocha cetyniaka niszczącego lasy sosnowe, (na podstawie której prof. L. Sitowski habilitował się). W związku z wielką gradacją tym razem strzygonii choinówki, atakującej lasy Wielkopolski i Pomorza, profesor podjął obserwacje terenowe i badania laboratoryjne nad zwalczaniem tego szkodnika z pomocą naturalnych jego wrogów, mianowicie muchówek i błonkówek. W ogólnym zarysie metoda ta polegała na tym, że w organizmach szkodników doprowadzano do zagnieżdżenia się niszczących je pasożytów, składających jaja bezpośrednio na ciele lub wewnątrz ciała ofiary. Odkrycia te przyniosły Ludwikowi Sitowskiemu światowy rozgłos. W okresie międzywojennym przyjeżdżali do niego na konsultacje specjaliści z USA, Wielkiej Brytanii, Włoch, Niemiec i Węgier.

W pracach prof. Sitowskiego przeważała tematyka lepidopterologiczna dotycząca motyli z terenu Pienin, gdzie zebrał około 70 gatunków. Szczególnego również zna-

czenia było odkrycie możliwości sztucznego barwienia gąsienic oparte na zjawisku mimikry czyli upodobniania się gatunków bezbronnych do gatunków zdolnych do obrony. Prace z tej dziedziny cytowane były nawet w zagranicznych podręcznikach zoologii.

Profesor L. Sitowski habilitował się na Uniwersytecie Jagiellońskim w roku 1919, ale dalsza jego kariera naukowa związana była z Poznaniem. W maju 1919 roku otwarto w tym mieście pierwszą, po dzyskaniu niepodległości, uczelnię akademicką na ziemiach byłego zaboru pruskiego pod nazwą Wszechnicy Piastowskiej. W kwietniu 1920 roku przemianowano ją na Uniwersytet Poznański (dziś im. Adama Mickiewicza). Ponieważ Poznańskie i w ogóle cały zabór pruski nie posiadały w przeszłości wyższej uczelni, prawie wszystkie katedry i stanowiska wykładowców musiały być obsadzone ludźmi z innych dzielnic Polski. Wyszukiwanie odpowiednich kandydatów z poszczególnych dyscyplin naukowych nastroczało poważne trudności. Niemal w przeddzień inauguracji pierwszego roku akademickiego 1919-1920 udało się Uniwersytetowi pozyskać dla Wydziału Rolno-Leśnego trzech kandydatów, w tym z uczelni krakowskiej Ludwika Sitowskiego. Powierzono mu zorganizowanie Katedry Zoologii i Entomologii, którą kierował do końca życia.

Wydział Rolno-Leśny pracował wówczas w bardzo trudnych warunkach, Katedra prof. Ludwika Sitowskiego mieściła się początkowo w zamku – byłej rezydencji cesarza niemieckiego Wilhelma II, a następnie w wykupionym przez Uniwersytet z rąk niemieckich budynku Bractwa Strzeleckiego na Sołaczcu. Zakupiony został również dla potrzeb Wydziału folwark Gołęcin. Dopiero krótko przed II wojną światową, w roku 1937 przystąpiono do budowy centralnego gmachu dla Wydziału Rolno-Leśnego, na skraju ogrodu dendrologicznego, obok dworu sołackiego. Budowę ukończyli podczas drugiej wojny światowej okupanci niemieccy, nadając zresztą budynkowi – szpeczący jego sylwetkę – styl tyrolski.

Dnia 1 października 1919 roku Ludwik Sitowski został powołany na nowo powstałym Wydziale Rolno-Leśnym Uniwersytetu na profesora nadzwyczajnego zoologii i entomologii stosowanej. W październiku 1921 roku został profesorem zwyczajnym. Był dziekanem Wydziału Rolno-Leśnego, a w roku akademickim 1925/26 rektorem Uniwersytetu Poznańskiego.

Najwięcej publikacji prof. Ludwik Sitowski poświęcił faunie (głównie motyłom i ptakom) Pienin, które stanowiły ulubiony teren jego badań. Z Pieninami związany był bardzo blisko poprzez małżeństwo z Zofią Dziewolską, córką właściciela dóbr krościeńskich. To też drugim jego domem, poza poznańskim mieszkaniem na Sołaczcu, był tak zwany Stary Dwór (obecnie siedziba nadleśnictwa), w który prowadzono także pensjonat.

Ludwik Sitowski, związany od najmłodszych lat z Pieninami był najlepszym znawcą ich przyrody. Kazimierz Simm nazywał go „odkrywcą Pienin dla polskiej faunistyki”. Już w roku 1923, działając w Radzie Ochrony Przyrody, której przewodniczył prof. Władysław Szafer, wspólnie ze Stanisławem Kulczyńskim, nawoływał do uznania Pienin za rezerwat przyrody. Pierwszą udaną akcją było utworzenie, za zgodą

ówczesnego właściciela Czorsztyna – Mariusza Drohojowskiego, rezerwatu zupełnego na Górze Zamkowej. Stanowiło to skromny początek przyszłego Pienińskiego Parku Narodowego. Troska Prof. Sitowskiego o losy pienińskiej przyrody, zaliczanej do światowych fenomenów, brała tu wyraźnie górę nad partykularnymi interesami prywatnych właścicieli ziemskich. Do rodziny Dziewolskich należały przecież obszary leśne pokrywające masyw Pieninek o powierzchni około 370 ha. Kontraktem kupna-sprzedaży z sierpnia 1930 roku teren ten przeszedł na rzecz Skarbu Państwa. Dwa lata wcześniej Dyrekcja Naczelna Lasów Państwowych zakupiła od rodziny z Czorsztyna 387 ha obszarów leśnych położonych w masywie Trzech Koron i Pienin Czorsztyńskich. Pieniński Park Narodowy stał się więc faktem dokonanym.

Uniwersytet Poznański został w czasie II wojny światowej zamknięty przez Niemców. Działał w Warszawie jako tajny Uniwersytet Ziemi Zachodnich. Prof. Ludwik Sitowski mroczne lata okupacji spędził w Krościenku. Aresztowany przez gestapo i osadzony w sądeckim więzieniu (głównie z powodu kontaktów z naukowcami zagranicznymi) zdołał, dzięki usilnym staraniom najbliższej rodziny i osób wpływowych, wyrwać się z rąk hitlerowców i powrócić na wolność. W warunkach domowych pracował nieustannie naukowo, pogłębiając badania nad pienińską fauną. Utrzymywał się z wykonywania lekarskich analiz laboratoryjnych i z pracy w lesie a także ze sprzedaży drewna z rodzinnych lasów.

W roku 1944 do dworu Sitowskich przybył ze Lwowa zaprzyjaźniony z rodziną prof. Rudolf Weigel, światowej sławy mikrobiolog, członek Polskiej Akademii Umiejętności, odkrywca szczepionki przeciwko durowi plamistemu. We dworze zainstalował prowizoryczne laboratorium do sporządzania szczepionek. Po zakończeniu wojny specjalna delegacja radziecka odnalazła prof. Weigla w Krościenku przywożąc propozycję od komisarza Ukrainy Nikity Chruszczowa, by przeniósł się do Kijowa i podjął tam pracę naukową w specjalnie przygotowanym dla niego laboratorium i na intratnych warunkach finansowych. Odmówił i z Krościenka wyjechał do Krakowa gdzie spędził resztę pracowitego życia.

Uniwersytet Poznański reaktywowano w roku 1945, ale nie szybko powracał on do dawnej świetności. Z mocno przetrzebionej przez okupanta kadry naukowej pozostało niewielu. Prof. Ludwik Sitowski powrócił do Poznania w roku 1945 i już w maju uruchomił zajęcia dydaktyczne. Odtworzył zniszczoną całkowicie przez Niemców pasiekę i rozpoczął w niej badanie nad pasożytami pszczół.

Życiową pasją prof. Ludwika Sitowskiego było łowiectwo. Początkowo jego tereny myśliwskie znajdowały się w Beskidzie Wyspowym i w okolicach Tymbarku, z którym związany był blisko rodzinnie (zalesione stoki Mogielicy), w okolicach Mordarki, czy Wielopola koło Nowego Sącza. Zapraszano go również na polowania do krewnych w Hruszowicach w pobliżu Radymna i do Równopola niedaleko Oszmiany na Wileńszczyźnie. Po przeniesieniu się do Poznania polował również w rozległych lasach Wielkopolski i na Pomorzu, w okolicach Czarnej Wody (Bory Tucholskie).

Prof. Ludwik Sitowski brał czynny udział w życiu kulturalnym i towarzyskim. Był przystojny i zawsze elegancko ubrany. Ceniono jego wielkie poczucie humoru

i skłonność do żartów, a umiejętność dowcipnego opowiadania anegdot powodowała, że był mile widziany w każdym towarzystwie. Poza tym wszystkim cechowała go jednak zawsze skromność.

Wszedł do panteonu wybitnych polskich uczonych i stąd zasługuje na żywą pamięć. Zmarł 20 listopada 1947 roku w Poznaniu, w drodze do pracy. Został pochowany na Cmentarzu Sołackim św. Jana Vianney' a przy ulicy Lutyckiej.

Źródła literaturowe:

1. *Dzieje akademickich studiów rolniczych i leśnych w Wielkopolsce 1919-1969*.
2. Stanisław Sitowski, *Rodem z ziemi sądeckiej*, Gliwice 2004.
3. Stanisław Sitowski, *Prof. Ludwik Sitowski – badacz pienińskiej przyrody*, „Hale i Dziedziny”, 1999 r. (miesięcznik).
4. Michał Sitowski jr., *Ludwik Sitowski – życie*, Złotów 2004.
5. Bronisław Krzan, *Klejnot zagubiony w górach*, Kraków 1988.
6. Polski Słownik Biograficzny.





Wśród znanych postaci powojennego życia publicznego Obidzy, takich jak między innymi – Antoni Szczepaniak, Eugeniusz Płaza, Zofia Skorupkowa, Bronisław Słowik, Jan Stawiarski, Józef Stec, Antoni Warzecha, Tomasz Wyrostek, Ludwik Wielowski, Jan Sopata, Stefan Ptaszek – miejsce znaczące zajmuje Antoni Paluch, przez 44 lata związany z wioską jako nauczyciel, kierownik i dyrektor szkół, działacz samorządowy, animator życia społecznego¹.

Antoni Paluch urodził się 9 czerwca 1927 roku w Myślcu, w gminie Nawojowa, jako szóste dziecko w wielodzietnej rodzinie Andrzeja i Wiktorii z Urbańskich. Podstawą utrzymania rodziny było średniej wielkości rodzinne gospodarstwo rolne, z którego dochody uzupełniały sporadyczne i okazjonalne prace zarobkowe ojca Andrzeja i dorosłego rodzeństwa.

Antoni wychowywał się przy rodzicach, wykonując – podobnie jak i inne dzieci wiejskie w tym czasie – stosowne do wieku i możliwości prace w domu i gospodarstwie. W 1934 roku rozpoczyna naukę w Szkole Podstawowej w Żeleźnikowej, którą kończy w 1940 roku. W realizacji zamysłu rodziców, aby dalej kształcić syna, przeszkodziła wojna.

Po ukończeniu szkoły podstawowej przebywa w domu, pomagając rodzicom w gospodarstwie. Podejmuje naukę w tajnej pierwszej klasie gimnazjalnej, którą przerwuje aresztowanie. Szczęśliwie unikając więzienia, przebywa w domu do roku 1943. W marcu 1943 zostaje ponownie aresztowany z zamiarem wysyłki na przymusowe roboty do Niemiec. Udana ucieczka uchroniła go przed tym, ale musi ukrywać się do końca wojny.

1 września 1945 roku podejmuje naukę w I Gimnazjum i Liceum im. Jana Długosza w Nowym Sączu. Po ukończeniu gimnazjum w styczniu 1947 roku podejmuje naukę w Liceum Pedagogicznym w Nowym Sączu. „[...] po ukończeniu nauki w Liceum Pedagogicznym zdał egzamin dojrzałości przed Państwową Komisją Egzaminacyjną powołaną przez Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego w Krakowie pismem z dnia 27 lipca 1949 roku [...] w Państwowym Liceum Pedagogicznym Żeńskim w Nowym Sączu. Świadectwo niniejsze [...] daje kwalifikacje do nauczania w publicznych i prywatnych szkołach powszechnych oraz uprawnia do studiów w szklach wyższych. [...] W czasie pobytu w Liceum Pedagogicznym pobrał stypendium w łącznej kwocie

¹ Niniejszy biogram – o ile nie zaznaczono inaczej – oparty jest na źródłach zawartych w *Teczce akt osobowych* Antoniego Palucha, przechowywanej w archiwum Szkoły Podstawowej w Obidzy (dawna szkoła nr 1).

25000 złotych i jest zobowiązany do trzyletniej służby nauczycielskiej w szkole wyznaczonej przez władze szkolne [...]”².

Będąc jeszcze uczniem ostatniej klasy liceum pedagogicznego, od 1 listopada 1948 do 30 kwietnia 1949 uczy w niepełnym wymiarze godzin jako nauczyciel kontraktowy w Szkole Przysposobienia Rolniczego w Żeleźnikowej.

Jako stypendyście, władze szkolne „wyznaczają mu szkołę”, w której ma odbyć „trzyletnią służbę nauczycielską”. Z dniem 1 września 1949 roku rozpoczyna prace nauczycielską w Szkole Podstawowej w Obidzy – Krupówkach (później szkoła nr 2), jako nauczyciel kontraktowy. Z dniem 1 lipca 1950 roku otrzymuje status nauczyciela tymczasowego, a od 1 września 1950 nauczyciela mianowanego. Równocześnie powierzono mu pełnienie obowiązków kierownika szkoły, które wykonuje do 30 sierpnia 1959 roku.

Stabilizacja zawodowa sprzyja stabilizacji osobistej i założeniu rodziny. 15 lipca 1950 roku w kościele pod wezwaniem św. Elżbiety w Starym Sączu bierze ślub z nauczycielką z Obidzy – Krupówek, Wandą Kazimierą Szczepanik.

Miejsce pracy Antoniego i Wandy – Szkoła Podstawowa w Obidzy – Krupówkach znajdowała się w szczególnie opłakanej (nawet jak na owe czasy) sytuacji lokalowo – materialnej. Antoni Paluch napisze po latach w podaniu o przeniesienie: „...kiedy w 1949 roku przyszedłem do szkoły z całego sprzętu zastałem osiem połamanych ławek”. W nieautoryzowanej rozmowie ze współautorem niniejszego biogramu wspomina: „...tablice zastępował rozciągnięty na ścianie szary papier pakunkowy, na którym pisano węglem z pieca, a ławkę położona na dwóch klockach deska...”³. zaś bazę lokalowa szkoły tak przedstawia w swoim reportażu znany dziennikarz, Janusz Roszko: „...dzieci uczyły się po chałupach gospodarzy. Jedna klasa była w chałupie na wzgórzu [...], w drugim domu – przy drodze okna były wybite, a dach przeciekał”⁴.

Jedyną możliwością poprawy warunków nauki i pracy było podjęcie budowy szkoły systemem gospodarczym, lub jak wtedy określano – „w czynie społecznym”. Antoni Paluch podejmuje to wyzwanie. O realizacji tego planu, cytowanemu dziennikarzowi tak opowiada nie podany z nazwiska mieszkaniec Obidzy – Krupówek: „...przyjechał tu Antoni Paluch, został mianowany kierownikiem szkoły [...]. Najpierw wystarał się o ławki szkolne, potem o pomoce naukowe, wreszcie zorganizował zebranie gromady [...]. Widzicie, jak się wasze dzieci uczą? Trzeba im zbudować szkołę! [...]Ludzie pomogli, państwo pomogło, a co się pan Paluch natrudził [...]. A teraz wykańcza się szkołę. Za parę dni dzieci przyjdą [...]. to wszystko zasługa kierownika Palucha. My tu go we wsi lubimy”⁵.

Rzeczywiście, dzięki jego inicjatywie i uporowi, w latach 1952 – 1954 wybudowano obiekt szkolny z dwoma izbami lekcyjnymi i mieszkaniem dla kierownika szkoły

² Odpis świadectwa dojrzałości nr 5 z 5 września 1949

³ J. Słowik *Rozwój szkolnictwa w regionie sądeckim w latach 1945 – 1965. Praca magisterska wykonana w Katedrze Historii WSP w Krakowie pod kierunkiem prof. dra Józefa Buszko*, s. 121, maszynopis w zbiorach współautora

⁴ J. Roszko *Obidza – wioska wśród gór* [w:] z. Dudzik, B. Rajca, J. Roszko *Nasze Podhale (reportaże)*, Wojewódzki Komitet Frontu Narodowego, Kraków 1954, s. 78

⁵ Tamże

oraz pomieszczeniami administracyjnymi. Ponadto wybudowano budynek sanitarno – gospodarczy, studnie kopaną i ogrodzono obejście szkolne.

Z dniem 1 września 1959, na własną prośbę wraz z żoną i córkami, Grażyną i Lidią, przenosi się do szkoły nr 1 w Obidzy⁶.

Władze oświatowe powierzają mu pełnienie obowiązków kierownika tej placówki, a z dniem 1 listopada 1964 roku zostaje mianowany stałym kierownikiem szkoły nr 1 w Obidzy⁷.

Nowa placówka, dużo większa niż poprzednia, licząca blisko dwustu uczniów pracowała w trudnych warunkach lokalowych – tylko dwie sale lekcyjne własne i trzy wynajęte, brakowało boiska przyszkolnego i odpowiednich pomieszczeń sanitarno – gospodarczych. Antoni Paluch bogatszy o doświadczenie wyniesione z poprzedniej placówki, doprowadza do rozbudowy istniejącego obiektu o jedną salę lekcyjną, pomieszczenie kancelaryjne oraz budynek sanitarno – gospodarczy z kuchnią na zajęcia praktyczne z gospodarstwa domowego. Rozpoczyna także starania o budowę nowej szkoły Z uwagi na zakres prac, nie jest możliwa budowa szkoły „systemem gospodarczym”, obiekt mógł być realizowany tylko jako planowe zadanie inwestycyjne. Do walki o nową szkołę Antoni Paluch zorganizował szeroki front społeczny – od rodziców, lokalnego samorządu, poprzez nauczycielski związek zawodowy do lokalnych – gminnych i powiatowych ogniw organizacji politycznych. Starania – o pozyskanie parceli od PP Lasy Państwowe, współfinansującego budowę fundatora, deklaracji społecznych świadków mieszkańców – zostały uwieńczone sukcesem. Jesienią 1966 roku wmurowano kamień węgielny pod sześćoizbowy budynek szkolny oddany do użytku w 1968 roku⁸.

To już drugi obiekt oświatowy w Obidzy wybudowany staraniem Antoniego Palucha. Niestrudzony budowniczy nie poprzestaje na tym, doprowadza do ogrodzenia siatką całej parceli szkolnej, budowy boiska sportowego w 1970 roku, oraz przebudowy i modernizacji w latach 1980 – 1981 starego budynku szkolnego, dzięki czemu szkoła wzbogaciła się o kolonijne zaplecze kuchenne i dwie sale lekcyjne.

Z dniem 1 września 1984, po 35 latach pracy pedagogicznej w Obidzy Antoni Paluch przechodzi na emeryturę. Pracuje jeszcze w niepełnym wymiarze godzin, jako nauczyciel, od września 1987 do sierpnia 1996 roku⁹.

Zawsze docenia potrzebę systematycznego kształcenia i doskonalenia zawodowego. Mimo rozlicznych obowiązków, w latach 1962 – 1964 odbywa studia wieczorowe w Studium Nauczycielskim w Nowym Sączu. W 1977 roku składa przed Państwową Komisją Kwalifikacyjną egzamin kwalifikacyjny i uzyskuje kwalifikacje równorzędne wyższym studiom zawodowym¹⁰.

⁶ Był to swego rodzaju awans zawodowy i poprawienie warunków pracy, w szkole nr 1 było piękne mieszkanie służbowe, do najbliższego przystanku PKS było tylko cztery kilometry, a nie siedem, jak ze szkoły nr 2.

⁷ Od 1 maja 1972 roku, zgodnie z art. 41, ust.2 Ustawy karta Praw i Obowiązków Nauczyciela (Dz. U. 1972, nr 16, poz.114), przysługuje mu tytuł służbowy „dyrektor”.

⁸ J. Słowik *Wychowawcze znaczenie czynów społecznych* [w:] *Wychowanie Obywatelskie* nr 7, 1970, s. 59 – 62, (Jotka) *Rozpoczął się nowy rok szkolny* [w:] *Gazeta krakowska* z 31 sierpnia 1968

⁹ Rodzinne nauczycielskie tradycje Antoniego i jego żony, Wandy kontynuują córki: Grażyna, Lidia i Bożena – dyrektor szkoły w Obidzy.

¹⁰ Zarządzenie Ministra Oświaty i Wychowania z dnia 21 czerwca 1975 roku w sprawie egzaminu kwalifikacyjnego równoważnego wyższym studiom zawodowym (Dz. Urz. 1975, nr 8, poz. 81)

Uczestniczył w centralnych kursach dla kadry kierowniczej oświaty, w 1956 roku we Wrocławiu, a w 1961 roku w Wadowicach.

Wiele czasu poświęcał na działalność społeczną i samorządową. Wielokrotnie był radnym gromadzkim w Obidzy i Jazowsku oraz gminnym w Łącku. Działał aktywnie w Związku Nauczycielstwa Polskiego, Gminnej Spółdzielni w Łącku; przez wiele lat był członkiem rady Programowej Powiatowej i Wojewódzkiej Pracowni Dydaktyczno – Technicznej w Nowym Sączu. Należał do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, ale aktywniejszej działalności partyjnej nie prowadził¹¹. Swoją przynależność do PZPR traktował raczej jako argument w staraniach i cenę za pomyślną realizację swoich licznych – jak najbardziej korzystnych społecznie – oświatowych inicjatyw inwestycyjnych.

Żył i działał bowiem w czasach, w których aprobata i poparcie instytucji partyjnych, decydowały często o powodzeniu wielu, nawet najbardziej słusznych społecznie inicjatyw.

Za wyniki pracy zawodowej i działalność społeczną był wielokrotnie nagradzany, wyróżniany i odznaczany. Chłubił się wielokrotnie wystawianymi, bardzo dobrymi ocenami pracy, Nagrodą I stopnia Ministra Oświaty i Wychowania w 1979 roku, a na długiej liście jego odznaczeń odnajdujemy między innymi: Złotą Odznakę ZNP, Złotą Odznakę „Za zasługi dla województwa nowosądeckiego”, Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi i Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski nadany w 1982 roku.

Antoni Paluch zmarł 15 stycznia 2008 roku. W pamięci społeczności Obidzy pozostaje jako uczciwy i dobry nauczyciel, wielce zasłużony dla rozwoju bazy obidzkich szkół dyrektor, aktywny działacz społeczny i samorządowy, uczynny i życzliwy sąsiad.

Spoczywa na cmentarzu parafialnym w Jazowsku. Uroczystości pogrzebowe, które zgromadziły dziesiątki jego uczniów, sąsiadów i przyjaciół z terenu całej gminy Łącko, były swego rodzaju hołdem złożonym tej nietuzinkowej Postaci.

¹¹ W roku 1966 do PZPR należało 64, 2% dyrektorów szkół podstawowych gminy Łącko.

Jubileusz 25-lecie święceń kapłańskich Wspomnienia

„Nie nam, Panie, nie nam,
lecz Twemu imieniu daj chwałę
za Twoją łaskawość i wierność!” (Ps. 115, 1)



Pewnego dnia słyszę miły głos: „Proszę księdza, proszę coś napisać o sobie z okazji 25-lecia święceń kapłańskich, które ksiądz będzie obchodził w 2011 roku”. Kolejne jubileusze w naszym życiu stwarzają okazję do pewnych podsumowań, refleksji, podziękowań i przeprosin. Jubileusz kapłański obchodzi się wśród ludzi życzliwych, otwartych, wolnych od zazdrości, którzy uszanują i docenią, którzy zdolni są odczytać życie drugiego człowieka jako pewien dar od Boga dla naszego ubogacenia. Obchodzi się go w różnych miejscach, zazwyczaj tam gdzie prowadzi się działalność naukową i duszpasterską. Najlepiej powiązać go z akcją dobroczynną, aby uroczystość taka nabrała głębszego wymiaru. W ten sposób może zostać na przykład ufundowane stypendium dla uczącej się młodzieży.

Nie jest łatwo pisać o sobie! Opowiadać o swoim życiu czy też nie? Ofiarować to wszystko Bogu w cichej modlitwie czy też przedstawić to również i innym ludziom? Przychodzi pokusa, żeby nie wracać do tego, co już minęło! Jeżeli jednak już pisać o sobie, to w jaki sposób to czynić? Jak nie wiemy w jaki sposób postąpić, to najlepiej szukać odpowiedzi na kartach Pisma świętego. Tam zgromadzona jest bowiem wszelka mądrość: i ta ludzka i ta pochodząca od Boga. Z jednej strony zachęca nas ono do tego, abyśmy w tym, co robimy i do czego dążymy przede wszystkim szukali chwały samego Boga: „Nie nam, Panie, nie nam, lecz Twemu imieniowi daj chwałę za Twoją łaskawość i wierność!” (Ps 115, 1). Z drugiej jednak strony Chrystus Pan zachęca nas do tego, abyśmy tego wszystkiego, co jest dobre w naszym życiu nie ukrywali przed innymi ludźmi: „Tak niech wasze światło jaśnieje przed ludźmi, aby widzieli wasze dobre uczynki i chwalili Ojca waszego, który jest w niebie” (Mt 5, 16). Niech więc, to wszystko, czego mógłbym się wstydić, pozostanie tajemnicą spowiedzi, a to wszystko, z czego mogę cieszyć i chlubić się należy do Boga i do ludzi!

Rok 1986. Wyższe Seminarium Misyjne Księży Najświętszego Serca Jezusowego (Sercanów) w Stadnikach, koło Gdowa. Za kilka tygodni otrzymam święcenia kapłańskie. Będzie to dnia 16 czerwca. Pewnego dnia na rozmowę do siebie wzywa mnie

Ksiądz Prowincjał – główny przełożony naszego Zgromadzenia zakonnego w Polsce. Rozpoczyna się rzeczowy dialog.

– Co chciałbyś robić po święceniach kapłańskich?

– Może mógłbym dalej studiować filozofię?

– Cieszę się, że tak mówisz, bo w czasie narady doszliśmy do wniosku, że powinieneś dalej studiować. Pojedziesz do Rzymu, aby studiować Na Wydziale Filozoficznym Papieskiego Uniwersytetu św. Tomasza z Akwinu – *Pontificia Università di San Tommaso d'Aquino* (Angelicum).

Wystraszyłem się. Uważam się za realistę, czyli człowieka twardo chodzącego po ziemi. Czym innym jest pielgrzymka czy też turystyczny wyjazd do Rzymu, a czym innym filozoficzne, kilkuletnie studia w języku włoskim. Po chwili znowu pukam do pokoju Księdza Prowincjała.

– Czy to konieczne? Czy nie mógłbym studiować w Polsce?

– Pojedziesz do Rzymu, bo tak już zdecydowaliśmy. Twoje rozterki dobrze świadczą o tobie. Nie bój się, dasz sobie radę!



Prymicje ks. Henryka Majkrzaka SCJ

niewielki ślad. Aby jednak tak się stało, ciocia Michalina towarzyszyła mi dziesiątki razy w dzieciństwie w drodze do szpitala lub sanatorium. Zabiegi polegały na bardzo gorących kąpielach. Za każdym razem trzeba było zwyciężyć samego siebie, aby wejść do takiej wody. Człowiek boi się cierpienia! Zabiegi polegały także na oblewaniu sparaliżowanych kończyn gorącą parafiną. Wystarczy kapnąć jej trochę ze świecy na rękę,

Prymicje w rodzinnym Łącku. Koniec czerwca 1986. Piękna uroczystość, w którą zaangażowało się wielu ludzi. W pewnym sensie byłem zakładnikiem uroczystości. Nie mogło być skromnie, musiało być bogato i wystawnie! Jechałem więc bryczką w otoczeniu konnej banderii, która składała się z 86 jeźdźców: połowa była ubrana w stroje góralskie, a połowa w stroje krakowskie. Do tej pory wdzięczny jestem ludziom za trud włożony w organizację uroczystości prymicyjnej. W czasie Mszy świętej prymicyjnej wspominałem o zmarłej mamie Annie. Na zakończenie uroczystości składa się podziękowanie. Podszedłem do nieżyjącej już cioci Michaliny i pocałowałem ją w rękę za to, że mnie wychowała i uratowała. Dzięki jej niezwykłemu poświęceniu chodzę, a mogłem siedzieć na wózku inwalidzkim! W czasach młodości mogłem nawet zdobyć najwyższe szczyty polskich Tatr. Po dziecięcym paraliżu nóg pozostał



Prymicje ks. Henryka Majkrzaka SCJ

aby wyobrazić sobie cierpienie małych, sparaliżowanych dzieci. Dla ich dobra wyrwano je z rodzinnego gniazda i poddawano niewyobrażalnie bolesnym zabiegom. Płacz ich słyszę do tej pory! Ja mało płakałem. Pewnego dnia miałem zapytać tylko, gdzie jest ciocia z długimi warkoczami, która przywiozła mnie do sanatorium.

Studia w Rzymie. W lipcu 1986 wylądowaliśmy z kolegą na rzymskim lotnisku Fiumicino. Przy wyjściu z samolotu buchnął żar rozpalonego powietrza. Pomyślałem sobie: „to się dostałem”. Kilka dni spędzonych na plaży, nad pobliskim Morzem Tyrreńskim i wyjazd do Domu Prowincjalnego w Mediolanie. Nasi włoscy księża byli gościnni, ale czułem się jak na pustyni: nic nie powiesz, nic nie rozumiesz. Po niedługim czasie wyjazd do Santa Giuliana (Levico) w piękne włoskie góry Dolomity. We wrześniu intensywny kurs języka włoskiego w Mediolanie. Dojeżdżaliśmy metrem do domu emerytowanej nauczycielki. Była wymagająca, ale sporo nas nauczyła. Od października wykłady na uniwersytecie w Rzymie. Trzeba było doskonalić znajomość języka, a równocześnie słuchać wykładów. Wszyscy tak robią! W przeciwnym razie trzeba byłoby kilka lat studiować język włoski, a następnie kilka lat studiować na uniwersytecie. Trwałoby to zbyt długo! Początkowo nic nie rozumiesz, później stopniowo dociera do ciebie coraz więcej. Na pierwszych egzaminach traktowano nas ulgowo, później już normalnie. Po dwóch latach studiów na Wydziale Filozofii zrobiłem licencjat (w porządku kościelnym wyższy od magisterium) z filozofii człowieka na podstawie egzaminu i pracy licencjackiej *Attualit  del problema del ‘bonum commune’ nel pensiero di san Tommaso d’Aquino* (Aktualno  problemu ‘dobra wspólnego’ w my li św. Tomasza z Akwinu). Aby podj c studia doktoranckie trzeba było napisać dwa wykłady po 30 – 40 stron kady i zdać egzamin. Pierwszy wykład dotyczył zagad-

nienia przyjaźni u Arystotelesa, a drugi czasu i wieczności u św. Augustyna. Doktorat obroniłem na podstawie rozprawy *La dignitař dell'uomo nel pensiero di san Tommaso d'Aquino* (Godność człowieka w myřli św. Tomasza z Akwinu). Po powrocie do Polski w roku 1991, pracowałem jako sekretarz studiów w naszym Seminarium, a równocześnie prowadziłem wykłady i dalej studiowałem na Papieskiej Akademii Teologicznej, gdzie w 1997 zrobiłem licencjat



1988 r. – audiencja u papieża JP II w czasie studiów rzymskich

z teologii na podstawie egzaminu i pracy licencjackiej *Pokora chrześcijańska. Zarys historyczno – doktrynalny*. Później obroniłem tam drugi doktorat, tym razem z teologii – na podstawie rozprawy *Rola przyjaźni w życiu duchowym św. Augustyna*. Dnia



Kościół św. Anny – promocja doktorska, Kraków 1999

28 kwietnia 2010, po niewyobraźalnych trudnościach i perypetiach udało mi się zrobić habilitację z teologii dogmatycznej na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Opolskiego na podstawie rozprawy *Antropologia integralna w Sumie teologicznej św. Tomasza z Akwinu*. Wnikliwie zbadano całą moją dotychczasową aktywność naukową: prowadzone wykłady, wydane książki, artykuły i udział w sympozjach naukowych. Przez wiele lat zgłębiałem naukę dwóch największych chrześcijańskich myślicieli – św. Augustyna i św. Tomasza z Akwinu. Moim głównym zainteresowaniem naukowym jest człowiek: Kim jest? Jaka jest jego struktura, powołanie i przeznaczenie?

Czym zajmowałem się w ciągu minionych 25 lat życia? W zasadzie bałem się tylko tego, że zamkną mnie do jakiejś klatki i każą mi robić tylko jedną rzecz. W moim kapłańskim i zakonnym życiu różnorodna aktywność w służbie Kościoła

przeplata się z sobą. Jeden z przyjaźnionych kapłanów zauważył, że przypomina to płodozmian: dawniej obsiewano jedno pole, a drugi kawałek pola w tym czasie odpoczywał. W ten sposób wykłady dla kleryków i innych studentów przeplatają się w moim życiu z pisaniem kolejnych książek i artykułów, z pracą duszpasterską na parafii, prowadzonymi rekolekcjami, wyjazdami na misje, podróżami i zapoznawaniem się z pięknem przyrody i sztuki. Omówmy kolejno te aktywności.

Działalność dydaktyczna

Nigdy nie miałem poczucia, że studiuję tylko dla siebie. Zdobywałem wiedzę po to, aby dzielić się nią z innymi ludźmi zgodnie ze wskazaniami Pisma świętego: „Rzetelnie poznałem, bez zazdrości przekazuję i nie chowam dla siebie jej bogactwa” (Mdr 7, 13). Po powrocie z rzymskich studiów rozpocząłem wykłady. W ciągu minionych lat było ich bardzo wiele i objęły one różne kategorie ludzi: kleryków i świeckich, pracujących i niepracujących, studentów i ludzi starszych. Pewnego dnia zdawała u mnie egzamin pani prokurator. Chodziła na wykłady, bo chciała poznać lepszy świat, niż ten, z którym miała do czynienia na co dzień w pracy. Była bardzo zdenerwowana, trzęsła się, co mnie bardzo rozbawiło:

- Wie pani, zazwyczaj to ludzie trzęsą się przed prokuratorem.
- Nie jestem odpowiednio przygotowana. Może kiedy indziej?
- Niech pani spróbuje!

Dobrze, że jej nie posłuchałem, bo była świetnie przygotowana do egzaminu. Nie ograniczałem się tylko do wykładów uczelnianych, ale wygłaszałem wykłady do wielu ludzi w różnych miastach Polski. Wykładowca ponosi klęskę, gdy mówi monotonnym głosem, a część słuchaczy zajmuje się czym innym: grą w karty lub czytaniem książek. Starałem się tego unikać zadając słuchaczom wiele pytań, pobudzając ich do myślenia i odpowiadając na ich pytania. Najbardziej komfortowo czułem się wtedy, gdy proszono mnie o prowadzenie wykładów w kolejnej uczelni. Tych zaproszeń było dużo. Najwięcej wykładów prowadziłem w seminariach duchownych, które współpracują z Uniwersytetem Papieskim Jana Pawła II. Wymieńmy wszystkie zaangażowania dydaktyczne w minionych latach:

- Od 20 lat prowadzę wykłady w Wyższym Seminarium Misyjnym Księża Sercanów w Stadnikach (antropologia filozoficzna, metafizyka, pedagogika).
- Również od 20 lat prowadzę wykłady w Wyższym Seminarium Ojców Reformatorów w Krakowie (historia filozofii starożytnej i średniowiecznej, filozofia Boga, teoria poznania i antropologia filozoficzna).
- Od roku 2005 prowadzę wykłady i konferencje w ramach Stowarzyszenia Klub Fides et Ratio oraz w ramach Stowarzyszenia Ruch Społeczny Cywilizacja Miłości (przyjaźń w Piśmie świętym, zagadnienie przyjaźni w filozofii starożytnej i u Ojców Kościoła, przyjaźń i miłość w małżeństwie, doktor doktorów – święty Tomasz z Akwinu i wiele innych zagadnień).
- W latach 1992 – 2000 prowadziłem wykłady na Wydziale Filozoficznym ówczesnej Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie (ćwiczenia z historii starożyt-

nej i średniowiecznej, filozofia Boga, wstęp do filozofii, antropologia filozoficzna oraz ponad 20 wykładów monograficznych). W roku 2006 wygłosiłem wykłady na Wydziale Teologicznym (miłość i przyjaźń w życiu duchowym człowieka).

- W ramach Instytutu Edukacji Narodowej w latach 2003 – 2007 spotykałem się na wykładach z ludźmi w takich miastach Polski jak: Warszawa, Kraków, Łódź, Katowice, Wrocław, Rzeszów, Ostrów Wielkopolski, Sucha Beskidzka i Kłodzko (antropologia filozoficzna, historia filozofii, wstęp do filozofii, podstawowy wykład wiary, człowiek i wiara, historia Kościoła encykliki papieskie, społeczna nauka Kościoła, pedagogika katolicka).
- W latach 1999 – 2008 prowadziłem wykłady w Wyższym Seminarium Ojców Bernardynów w Kalwarii Zebrzydowskiej (antropologia filozoficzna). W roku 1999 odebrałem telefon od Rektora tamtejszego Seminarium Duchownego Romualda: „Zmarł nasz wykładowca, czy podjąłby się Ksiądz wykładów u nas?”. Czy mogłem odmówić?
- W latach 1992 – 2000 prowadziłem ćwiczenia z historii filozofii w Wyższym Seminarium Duchownym Archidiecezji Krakowskiej (w ramach Papieskiej Akademii Teologicznej).
- W latach 1993 – 1995 prowadziłem wykłady w Wyższym Seminarium Ojców Kapucynów w Krakowie (etyka, historia filozofii starożytnej).
- W latach 1996 – 2001 pracowałem w Wyższym Seminarium Duchownym Księży Zmartwychwstańców (metafizyka, teoria poznania, wstęp do teologii).
- W roku 2006 prowadziłem wykłady w Wyższej Szkole Filozoficzno – Pedagogicznej (Ignacjanum) w Krakowie (wykład monograficzny: miłość i przyjaźń w życiu umysłowym człowieka).
- W roku 2010 poproszono mnie o wykłady w Wyższym Seminarium Duchownym Ojców Franciszkanów Konwentalnych w Krakowie (historia filozofii średniowiecznej). Znowu usłyszałem prośbę: „Nasz wykładowca wyjechał do Niemiec, mógłby go ksiądz zastąpić?”. Czy mogłem odmówić?
- W 2009 prowadziłem wykłady w Karmelitańskim Instytucie Duchowości w Krakowie (wykład monograficzny: cnoty i wady w życiu duchowym chrześcijanina).
- W roku 2008 wygłosiłem kazania, wykłady i konferencje dla polityków zgromadzonych w domu rekolekcyjnym w Ciężkowicach.

Habilitacja z teologii dogmatycznej ułatwia działalność naukową w ramach Polskiego Towarzystwa Teologicznego i daje nowe szanse na przyszłość.

Aktywność pisarska

Jest coś takiego jak „apostolstwo pióra”, któremu pragnę oddawać się przez resztę moich lat. Polega ono na omawianiu najważniejszych zagadnień w kolejnych książkach i artykułach. Do zagadnień tych należy: Bóg, dusza człowieka, nieśmiertelność duszy, cnoty, wolność człowieka, jego honor i godność, miłość i przyjaźń, śmierć

i perspektywa wieczności, kryzys kultury współczesnej, kryzys wiary i człowieczeństwa. Najważniejszym zagadnieniem w naszym życiu jest Bóg, dlatego św. Tomasz z Akwinu już jako mały chłopiec pytał zakonników w opactwie na Monte Cassino: „Powiedzcie mi, kim jest Bóg?”. Nie ma ważniejszego pytania! Można powiedzieć, że bez perspektywy dalszego życia, czyli bez perspektywy wieczności, która związana jest z Bogiem, nasze życie nie ma aż tak wielkiej wartości. Co bowiem przyjdzie nam z postawionych domów, kupionych samochodów, eleganckich ubiorów, zabiegów odmładzających, napisanych książek, wypromowanych doktorów i magistrów, zwiedzonych zabytków i podróży do wielu krajów, jeżeli nie będzie w nas nadziei na życie wieczne? Co przyjdzie nam z naszych nadziei, rozczarowań, uczuć radości i smutku, gdy pewnego dnia umrzemy i będzie tak jak gdyby nigdy nas nie było?

Nie jest łatwo pisać w sposób uniwersalny, czyli językiem, który odpowiadałby wszystkim. Książka naukowa trafia do niewielu ludzi, natomiast książka popularna nie przedstawia z kolei wartości naukowej. Najlepiej pisać książki o obydwu profilach. Przystępując do kolejnej publikacji trzeba zebrać wiele materiału, wiele zagadnień przemyśleć i siedzieć nad komputerem wiele godzin w ciągu kolejnych dni, tygodni i miesięcy. Przy pomocy kazania trafia się do setek ludzi, przy pomocy książki można trafić do tysięcy. W ciągu 25 lat kapłaństwa miałem okazję napisać i wydać w różnych wydawnictwach 15 książek. Wymieńmy ich tytuły:

- O godności chrześcijanina (homilie na rok A i B).
- Chrystus przywraca nam godność (homilie na rok C).
- Chrześcijańska pokora.
- Antropologia integralna w Sumie teologicznej św. Tomasza z Akwinu.
- Miłość i przyjaźń.
- Przyjaźń w życiu św. Augustyna.
- Małżeństwo i rodzina.
- Cnoty i wady. Zarys tomistycznej aretologii.
- Katalog cnót i wad.
- Godność i niegodność człowieka.
- Doktor doktorów. Św. Tomasz z Akwinu.
- Kazania pasyjne.
- Kazania pogrzebowe.
- Azja Środkowa i Zakaukazie. Kościół katolicki, społeczeństwa i zwyczaje.
- Watykan. Wszystko co chcielibyście wiedzieć (w druku).

Oprócz książek opublikowałem 60 artykułów w różnych czasopiśmie naukowych, w języku polskim i włoskim. Wymieńmy przynajmniej kilkanaście z nich:

- Giovanni Pico della Mirandola i jego nauka o godności człowieka.
- Wkład św. Tomasza z Akwinu w naukę o harmonii między wiarą a rozumem.
- Wolność fundamentem godności człowieka w ujęciu św. Tomasza z Akwinu.
- O błędach współczesnego wychowania w ujęciu Jakuba Maritaina.
- Il problema dell'amicizia nel pensiero di Aristotele.
- Il problema del tempo e dell'eternità nel pensiero di Sant'Agostino.
- Starość człowieka jako problem filozoficzny w myśli klasycznej.

- Kryzys kultury współczesnej i projekty nowej.
- Szczęście człowieka w ujęciu św. Tomasza z Akwinu.
- Il problema della libertà in San Anselmo d'Aosta.
- W jaki sposób studiować? Komentarz do Listu o sposobie studiowania św. Tomasza z Akwinu.
- Magisterium Kościoła o św. Tomaszu z Akwinu.
- Ocena samobójstwa w świetle nauki św. Tomasza z Akwinu.
- Amore, amicizia e carità in san Tommaso d'Aquino.
- Albania – obraz kraju po panowaniu ideologii.
- Wacław Hryniewicz jako teolog nadziei.
- Tajemnica Eucharystii w świetle teologii św. Tomasza z Akwinu.
- Azerbejdżan. Krótka relacja o społeczeństwie i sytuacji Kościoła katolickiego
- W drodze do niebieskiej Ojczyzny. Św. Augustyna teologia ludzkiego pielgrzymowania.
- Wiara uzupełnia rozum. Antropologia Błażeja Pascala.

Praca duszpasterska

Kapłani wypełniają w Kościele różne obowiązki: proboszczowie i wikarzy pracują w parafiach, rekolekcjoniści sporo czasu spędzają nad przygotowaniem nowych nauk, a później prowadzą misje i rekolekcje w różnych parafiach. Misjonarze wyjeżdżają na misje do Azji, Oceanii, Afryki lub w niektóre rejony Ameryki Południowej. Niektórzy kapłani pracują w kuriach biskupich, inni jako kapelani w szpitalach, więzieniach, u sióstr zakonnych lub w jednostkach wojskowych. Niektórzy pracują na uczelniach, prowadząc wykłady dla studentów świeckich lub dla kleryków. W seminariach duchownych przez sześć lat kształcą się i formuje przyszłych kapłanów. Jeszcze inni kapłani prowadzą duszpasterstwo akademickie lub pracują w poradniach, chroniąc rodziny przed wpływem sekt i różnego rodzaju patologii. Jedni pracują na polu charytatywnym w ramach „Caritas”, a inni jako spowiednicy w wyznaczonych kościołach, jeszcze inni zajmują się pisaniem kolejnych książek o tematyce religijnej.

Moi przełożeni zakonni podjęli kiedyś decyzję, że mam przygotować się do pracy naukowej. Zawsze jednak uważałem, że nie zwalnia mnie to od pracy duszpasterskiej, bo święcenia kapłańskie przyjmuje się nie dla siebie, ale dla innych. Podejmowałem więc wiele duszpasterskich zaangażowań, odpowiadając w ten sposób na prośby o pomoc, kierowane do klasztoru czy też do mnie osobiście. Spotkanie z ludźmi w wielu krajach świata, było dla mnie także spotkaniem z różnymi kulturami, językami i zwyczajami. To, czym ubogaciłem się, starałem się przekazać następnie innym. Wymieńmy przynajmniej niektóre z prac duszpasterskich. W czasie studiów rzymskich pomagałem w pracy duszpasterskiej w kościele na **Trastevere** (Zatybrzu). Po kilku miesiącach mogłem już pomagać we włoskich parafiach. Wielki Tydzień w 1987 spędziłem w **Crespinie**, koło Pizy. Don (ksiądz) Luciano ucieszył się mojego przyjazdu. Spowiadałem i pomagałem mu w obrzędach Wielkiego Tygodnia. Obiad jedliśmy w restauracji. Dopóki nie było innych gości, byliśmy naj-

ważniejszymi klientami. Don Luciano uśmiechał się, gdy kobiety współczuły mu, że mieszka samotnie na plebanii otoczonej cmentarzem. Wielokrotnie rozdałem Eucharystię w **Bazylice św. Piotra w Watykanie**. Lato 1987 roku spędziłem na angielskiej parafii w **Londynie**. Równocześnie pracowałem jako kapelan w szpitalu (Hammersmith Hospital). Spotkałem tam wielu polskich emigrantów. Pewnego razu zostałem wezwany do szpitala o godzinie 2 w nocy. Zmarł mężczyzna, a pielęgniarki nie mogły poradzić sobie z rozpaczającą rodziną. Wspólnie pomodliliśmy się za zmarłego i jego rodzinę. W szpitalu byli ludzie z całego świata, stąd ich wymowa była różna. Od roku 1987 zacząłem w soboty dojeżdżać z księżmi chrystusowcami do obozów polskich uchodźców we Włoszech (Latina i Capua). Zostawałem tam na niedzielę. Od naszych rodaków nasłuchiwałem się wielu opowieści. Przed Bożym Narodzeniem 1987 poproszono mnie o pomoc duszpasterską w szwajcarskich parafiach, w okolicach **Lugano** (Pambio – Noranco, Carona, Pazzallo i Geretta). Obserwowałem proboszcza staruszka, który dzielnie wypełniał swoje zadania duszpasterskie. Wielki Tydzień 1988 spędziłem w sycylijskiej parafii w mieście **Messina**. Do naszego Kolegium w Rzymie przysłała wcześniej prośba o pomoc. Po przyjeździe zapytałem ludzi z uśmiechem: „To gdzie jest ta wasza mafia?”. Ktoś obejrzał się trwożliwie: „Lepiej, żeby ich ksiądz nie widział”. Spowiedzi było bardzo dużo. W Wielki Piątek proboszcz – don Giuseppe prowadził dwugodzinną drogę krzyżową, wygłaszając kazanie po każdej stacji, w którym omawiał grzechy parafian. W Wielką Sobotę wieczorem złożyłem ludziom życzenia w języku włoskim i po polsku, aby mogli posłuchać jak bardzo język polski różni się od włoskiego. W lecie 1988 pracowałem jako kapelan domu starców w niemieckim **Monachium**. Drzwi otwierane na fotokomórki, kaplica na sztucznej wyspie oblanej wodą, tylko smutek starości taki jak zawsze! Boże Narodzenie 1988 spędziłem na parafii we włoskim mieście **Genua**, a Wielki Tydzień 1989 w pobliskim sanktuarium maryjnym (Nostra Signora della Guardia). Położone jest ono na wysokiej górze: w dole widać morze, a z drugiej strony ośnieżone szczyty Alp. Cudowny zachód słońca po całodziennym siedzeniu w konfesjonale! W lecie 1989 zostałem poproszony o pracę u sióstr salwatorianek w niemieckim miasteczku **Horrem**. Wielokrotnie pracowałem jako spowiednik w maryjnym sanktuarium **Bocca di Rio**, koło Florencji. Położone jest ono w pięknych lasach i należy do naszego Zgromadzenia zakonnego. Okres Bożego Narodzenia 1989 spędzam w sycylijskim mieście **Palermo**, pomagając don Giuseppe w pracy duszpasterskiej. Pewnego dnia zawiózł mnie na jeden z wiaduktów, pod którym odnaleziono cmentarz ofiar mafii. Kilka godzin później rozplakała się jego siostra nauczycielka. Z szeptów domyśliłem się, że mafia zażądała od niej części wypłaty. Piękna wyspa Sycylia! Zdaje się być rajem na ziemi, a ludzie uczynili z niej czyszciec. W tym czasie pomagałem także w parafii na pobliskiej wysepce **Favignana**. Don Alfredo powiedział mi, że samo wejście do świątyni kapłana z dalekiej Polski poruszyło wiernych. Wielki Tydzień 1990 spędziłem w okolicach Padwy, w miejscowości **Zelo**. Na prośbę don Paolo spowiadałem także w sąsiednich parafiach. Teren ten często pokryty jest mgłą, bo w pobliżu płynie duża włoska rzeka Pad. Lato 1990 spędzam na parafii w **Berlinie**. Proboszcz Ulrich prosił

mnie, abym duszpasterską troską objął także dwa domy starców. Rozmyślałem nad upadkiem muru berlińskiego, który oddzielał dwa różne światy. Ile jeszcze takich murów wznosi się na świecie? Wystarczy wspomnieć Cypr i Izrael. A mury wzniesione pomiędzy poszczególnymi ludźmi?

Po powrocie do Polski w 1991 równie chętnie odpowiadam na prośby o pomoc w pracy duszpasterskiej. Wielki Tydzień 1991 spędzam na Białorusi, pomagając w katedrze w **Grodnie** oraz w naszych parafiach (Łyntupy i Komai). W **Postawach** zastępuję chorego proboszcza Jana, który przebywa w szpitalu. W lecie 1991 pracuję w niemieckiej parafii w **Neustadt a. d. Aisch**. Proboszcz Josef przyjmuje mnie bardzo serdecznie. Dzielę z wiernymi smutki i radości. Oby tych drugich było jak najwięcej! Jak już zauważył wielki święty Augustyn – życie każdego człowieka wpisane jest w podstawowy mechanizm: radości nasze przeplatają się ze smutkami, a smutki z radościami. Nawet najbogatszy człowiek nie jest wolny od tego mechanizmu! Wielki Tydzień 1992 spędzam w chacie księdza Zbigniewa w **Lelczycach** na Białorusi. Nigdy nie widziałem tak skromnych warunków! W jedynym pokoju mieściła się kancelaria. Tam też spaliśmy i spożywali posiłki. W lecie 1992 zastępuję naszych księży w Austrii. Pracuję na parafii w **St. Corona**, koło Wiednia. Okres Bożego Narodzenia 1992 spędzam we włoskim miasteczku **Trecenta**. Spowiadam i głoszę kazania. Dzielny staruszek – don Vittorio sam gotuje dla siebie i dla mnie. Wielki Tydzień 1993 oraz Boże Narodzenie 1994 i 1995 spędzam w konfesjonale we włoskim miasteczku **Cittadella**. Do tej pory otoczone jest ono malowniczymi murami obronnymi. Don Luigi odnosił się do mnie z szacunkiem. Niestety, chorował na nowotwór. W czasie naszego ostatniego spotkania, odwieźliśmy go do klasztoru sióstr. Pragnął umierać w ciszy i samotności. Lato 1993 spędzam w Austrii zastępując naszych księży w dwóch parafiach: **Altenmarkt** i **Tennenberg**. Pewnego dnia otrzymuję telefon od naszego Prowincjała: „Henryk, pojedź jeszcze na południe Austrii, do Karyntii, bo nasz proboszcz z **Lieseregg** jest w szpitalu. Trzeba go zastąpić”. Wielki Tydzień 1994 spędzam na Białorusi w naszej parafii w **Lachowiczach**, a na lato 1994 jestem zaproszony do szwajcarskiej parafii w **Broc**. Nie wystarczył kurs języka francuskiego! Proboszcz Marc nagrywa mi na taśmę Mszę świętą w języku francuskim. Długo ćwiczę wymowę. Z niedzielnymi kazaniem radzę sobie w ten sposób, że układam je w języku włoskim, a staruszka z domu starców przekłada je na język francuski. Mówię wiernym w kościele, że to ich wina, że nie ma dzieci w świątyni: „Powinniście za rączkę przyprowadzić tu wasze dzieci i wnuki!”. Kościelna śmieje się: „Niby ksiądz niewiele zna języka francuskiego ale to, co trzeba – ksiądz nam powiedział”. Drugi miesiąc spędzam we włoskiej parafii w **Montefiascone**. Miejscowość słynie z pewnej średniowiecznej historii. Pewnego razu szedł do Rzymu jakiś dostojnik. W drodze poprzedzał go służący. Kiedy w zajeździe podawano dobre wino, pisał na ścianie umówiony skrót: „Est” (tu jest dobre wino – vinum bonum est). Kiedy przybył do Montefiascone i skosztował miejscowego wina, na ścianie miejscowego zajazdu napisał: „Est, est, est”. Do tej pory produkuje się tu wino o takiej nazwie. Od roku 1995 przez pięć lat dojeżdżałem na Wielki Tydzień do ukraińskiej parafii w **Zinkowie**, o którym wspomina Henryk Sienkiewicz w *Ogniem*



Włochy – w konfesjonale

i mieczem. Ksiądz Stanisław Kumiega – który kiedyś pracował w Łącku jako wikary – bardzo cieszył się z moich przyjazdów, bo obsługiwał trzy parafie, a księży w tamtych latach było mało. Lato 1995, 1996 i 1997 i 2000 spędzam na parafii w **Rzymie**. Pewnego razu, ktoś klęka do spowiedzi i rozpoczyna spowiedź po francusku. Wyczuwam go i mówię: „Możesz mówić po polsku”. Przez moment mężczyznę zamurowało, a ja roześmiałem się. Kiedy z urlopu powrócił proboszcz Guido, powiedziałem mu, że niektóre noce były tak upalne, że spałem w pokoju na posadzce. Niczym nie zdziwiony odpowiedział: „Też tak czasami robię”. W okresie Bożego Narodzenia 1997 pomagałem w pracy duszpasterskiej w okolicach włoskiego miasta **Salerno** (parafie w: Lancusi, Bolano i Caprecano). W czasie pasterki, na prośbę proboszcza – wnoszę procesjonalnie figurkę Dzieciątka Jezus do kościoła. Włosi dotykają i całują ją, a ja błogosławię nią tłum wiernych na za-

kończeniu Eucharystii. Lato 1998 spędzam w niemieckiej parafii **Möhnesee – Völlinghausen**. W okolicy są piękne jeziora. Pewnego razu mężczyzna po zawale serca mówi mi: „Mogę księdza obwieścić po okolicy, bo i tak siedzę w domu”. Umawiamy się na godzinę 15. Pięć minut przed wyznaczoną godziną wolno podjeżdża pod plebanię, gasi silnik i czeka. Niemcy! Razem z proboszczem Josefem uczestniczymy w „Schutzenfest”. Najpierw Niemcy maszerują w różnokolorowych mundurach, później strzelają do kura zrobionego z listewek, a następnie raczą się wielkimi ilościami piwa. Kobiety czuwają nad trzeźwością synów i mężów: tych lekko zawianych odwożą zaraz do domów. Okres Bożego Narodzenia spędzam we włoskiej parafii w **Piove di Sacco**, koło Wenecji, a Wielki Tydzień 2000 w szwajcarskiej parafii w **Intragna**. Staruszek proboszcz – don Pierino, przyjmuje mnie gościnnie, jednak bardzo mało Szwajcarów spowiada się w tej parafii. W latach 2000 – 2005 i w 2007 spędzam okres Bożego Narodzenia i Wielkiego Tygodnia w parafii we włoskim miasteczku **Brugherio**. Po kolejnym przyjeździe, ludzie zaczęli sympatycznie wykrzykiwać: „O, padre Enrico! O, padre Enrico! O, padre Enrico! O, padre Enrico!” (O, przybył ksiądz Henryk, witamy!). Uważali mnie już za swojego. Krępy proboszcz – don Giovanni śmiał się, że wywożę do Polski grzechy z jego parafii. Za każdym razem spędzałem po kilkadziesiąt godzin w konfesjonale i wyjeżdżałem

stamtąd bardzo zmęczony. Od 1999 rozpocząłem sobotnio – niedzielną pomoc duszpasterską w parafii w **Krakowie**. Obejmuje ona Msze święte, dyżur w konfesjonale, kazania i niekiedy przygotowanie młodzieży do bierzmowania. Tego typu pomoc trwa do dnia dzisiejszego. Lato 2001 spędzam w parafii, w amerykańskim miasteczku **Central Falls**. Amerykański pogrzeb. Zmarła staruszka wyglądała chyba lepiej niż za życia. W kazaniu mówię do Amerykanów, że śmierć nie jest czymś zabawnym, że jest ona czymś smutnym, bo oznacza rozstanie się z osobą, którą kochaliśmy. Dopiero nad grobem pojmują sens moich słów, maski opadają i zaczynają płakać. Odlatuję do Polski z Nowego Jorku na 12 godzin przed pamiętnym zamachem, po którym zablokowano na długie tygodnie wszystkie lotniska. Miałem szczęście! Lato 2003 spędzam w angielskiej parafii w **Basildon**, a lato 2004 w szkockiej parafii w **Fort William**, u podnóża najwyższej góry Szkocji – Ben Nevis (ok. 1400 m). W wolny dzień postanowiłem wyjść na szczyt tej niewysokiej – wydawałoby się – góry. Problem polega na tym, że miasto położone jest na poziomie morza. Ledwie wróciłem z powrotem na północ! Był upał, więc szedłem w koszuli z krótkim rękawem. Tylko na szczyt było trochę zimno i mglisto. Zaczepiałem Szkotów ubranych w ciepłe kurtki słowami: „Hallo, how are you? I’m fine and you?” (Jak się czujecie, ja dobrze, a wy?) Śmiały się i o to chodziło! Szkoci często zapraszali mnie na kolacje i przejażdżki samochodowe po okolicy, więc przysłowie o ich skąpstwie nie sprawdziło się. Lato 2005, 2006, 2008 i 2009 spędzam na misjach w dalekim **Kazachstanie**, o czym obszerniej piszę nieco dalej. Tamtejsi biskupi prosili o pomoc. W okresie Wielkiego Tygodnia 2009 spowiadałam we włoskiej parafii,



Szkocja – odwiedziny u przyjaciół

w górskiej miejscowości o dźwięcznej nazwie **Ponte Caffaro di Bagolino**, a okres Bożego Narodzenia 2009 i Wielkiego Tygodnia 2010 spędzam na parafii w **Rzymie**. Po skończonej pracy duszpasterskiej zbieram materiały do książki o Watykanie. Jeden z arcybiskupów pracujących w Watykanie załatwia mi specjalną przepustkę, więc zwiedzam piękne Ogrody Watykańskie, koszary gwardii szwajcarskiej i odwiedzam niektórych pracowników Watykanu. Lato 2010 spędzam na niemieckiej parafii w **Schwalmtal – Amern**. Proboszcz Wilhelm ze łzami w oczach mówi mi, abyśmy w Polsce nie szli drogą niemieckiego Kościoła, w którym coraz mniej jest wiernych. Stając w kościele przed bogatymi Niemcami, rozpoczynam kazanie od pytania: „Czy Ewangelia jest tylko dla biednych, czy też jest ona także dla bogatych?” Następnie przytaczam przysłowie: „Das letzte Hemd hat keine Taschen” (Ostatnia koszula nie

ma kieszeni). Oznacza to: „Nic ze sobą nie weźmiesz w chwili śmierci”. Niech twoim bogactwem będzie dobre, miłosierne serce! Tylko z nim staniesz na sądzie Bożym. Ważne jest bogactwo, ale nie pokładaj w nim nadziei, bo dni nasze są niepewne, a nasze ciało jest niezwykle kruchym mieszkaniem dla naszej duszy! Tylko Bóg trwa na wieki ten sam! My zmieniamy się, starzejemy i odchodzimy, bo żyjemy zaledwie cieniem prawdziwego życia! To prawdziwe życie jest jedynie w Bogu!

Praca na misjach

Czy można pracować na misjach, prowadząc wykłady? W każdej sytuacji jest jakieś rozwiązanie. Można przeznaczyć na to okres lata, kiedy nie ma wykładów. **Lato 2005 roku.** Dworzec Centralny w Warszawie. Wsiadam do międzynarodowego pociągu Warszawa – Astana (stolica Kazachstanu). Ściągam z ręki zegarek. Przez kilka dni nie będzie mi potrzebny, bowiem czekają mnie 4 doby (96 godzin) podróży pociągiem. Trzeba ten czas wykorzystać na modlitwę, lekturę ciekawej książki (tak ciekawej, żeby żałować, że podróż upływa!), rozmowę z pasażerami, sen i posiłki. Mam ze sobą garnuszek, trochę cukru i herbatę, trochę soku pomidorowego i suchary. Nie będzie problemów z trawieniem! Jeszcze nie wiem, że w ciągu tak długiej podróży co najmniej raz przeżyję kryzys przejawiający się w tym, że w pewnym momencie chciałoby się opuścić pociąg, który odbywa niekończącą się podróż i iść gdzieś przed siebie. Trzeba wtedy opanować panikę, spokojnie usiąść i powiedzieć sobie: nie myśl o podróży, bo kiedyś pociąg dojedzie do celu, zajmij się czymś. Po drodze pociąg zatrzymuje się na stacjach. Widok na terenach byłego Związku Radzieckiego wszędzie podobny: perony pełne ludzi, którzy sprzedają produkty żywnościowe: chleb, piwo, czekolady, gotowane posiłki lub dwumetrowe ryby. Jestem ostrożny: lepiej nie narażać się na niestrawność,



Szurpan narodowy strój Kazachów

bo jadę sam w nieznaną. Pod koniec podróży popełniam błąd: przypinam znowu do ręki zegarek, bo w oddali widać już światła Astany. Dojedziemy tam za pół godziny. Idę przez korytarz i spoglądam na zegarek: upłynęły dwie minuty. Znowu spacer i znowu upłynęły zaledwie dwie minuty. To ciekawe, że nie dłużyły mi się cztery doby, a jedynie ostatnie pół godziny podróży. Na dworcu kolejowym w Astanie czeka na mnie już proboszcz z miejscowej katedry – ksiądz Piotr. Spotkanie z księdzem arcybiskupem Tomaszem Petą jest miłe. Cekał na mnie. Zwracał się z prośbą do moich władz zakonnych, aby pozwolono mi na przyjazd do Kazachstanu na okres lata. Przez kilka dni razem koncelebруемy Msze święte. Uważnie słuchają w jaki sposób recytuję w języku rosyjskim

i zostawiają mnie samego w katedrze. Jadą z młodzieżą na spotkanie z papieżem Benedyktem XVI do Kolonii. Wrzucono mnie na głęboką wodę i trzeba pływać! Lubię to bardzo! Nowe wyzwania sprawiają, że umysł pracuje intensywniej. Codziennie sprawuję Eucharystię rano i wieczorem, spowiadam i rozmawiam z ludźmi. Codziennie wieczorem głoszę kazania. Na szczęście mam spore doświadczenie we współpracy z miejscowymi ludźmi w tym zakresie, bo głosiłem już kazania w języku włoskim, angielskim, niemieckim, francuskim i hiszpańskim. Znam je lepiej lub gorzej, ale każdy w ograniczonym stopniu. Czym innym jest zwykła rozmowa, a czym innym kazanie. W czasie rozmowy można mylić się, natomiast kazanie musi być bezbłędne. Najlepiej współpracować z człowiekiem, który urodził się w danym kraju: emerytowaną nauczycielką, siostrą zakonną, klerykiem lub studentką. Okazuje się, że lubiany przeze mnie język rosyjski jest stosunkowo prosty w codziennej rozmowie, staje się jednak skomplikowany, gdy przyjdzie ułożyć kazanie. Codziennie pomaga mi w tym siostra Katia, która pracuje w Kurii. Pracujemy po dwie godziny nad kazaniem, które trwa 10 – 15 minut. W kolejnych kazaniach objaśniam wiernym treść modlitwy „Ojciec nasz” i „Credo”. W ten sposób powstaje pewien cykl. Pewnego wieczoru mojego kazania słucha pułkownik z ministerstwa spraw wewnętrznych. Grzecznie wita się ze mną, ale kazania słuchał. Pewnego razu zostaję zaproszony na święto. Honorowy gość musi najpierw zjeść gotowane oko barana. Zrezygnować? – obrażą się! Szybko połykam i po problemie. Innym razem proszą mnie o poświęcenie mieszkania. Jestem przekonany, że mam do czynienia z katolikami. Dopiero w czasie poświęcenia wychodzi na jaw, że są to muzułmanie.

– Dlaczego mnie zaprosiliście?

– Był tu już nasz duchowny. Chcieliśmy, aby i duchowny katolicki poświęcił nasze mieszkanie.

Innym razem na rozmowę czeka niezwykle smutne małżeństwo. Nigdy tak smutnych ludzi nie widziałem do tej pory:

– Proszę księdza, zrobiliśmy wszystko dla naszych dzieci, a one niedawno odebrały sobie życie: najpierw córka, a później syn. Teraz jest tak jak gdybyśmy nigdy nie mieli własnych dzieci.

– Będę modlił się za nich. Wy także polecajcie ich miłosierdziu Bożemu. Nie jesteście jeszcze tacy starzy, może zdecydujecie się adoptować jakąś sierotę? Zło świata możemy zwyciężać tylko dobrocią.

Astana, to nowe miasto, które powstało na stepie. Kazachowie są dumni ze swej stolicy pełnej wieżowców. Mają na budowę stolicy pieniądze, bo kraj obfituje w złoża gazu i ropy naftowej. Nocna podróż pociągiem z Ałmaty do Astany. Odmawiam liturgię godzin (brewiarz). Cywil naprzeciw mnie przygląda mi się uważnie. W pewnym momencie wyciąga do mnie rękę.

– Jewgienij, pułkownik wojska kazachskiego.

– Gienryk (Henryk). Dokąd jedziesz?

– Zostałem nagle wezwany służbowo do sztabu wojskowego w stolicy. Czytasz Pismo święte?

Nie wiem, czy zrozumie różnicę między Pismem Świętym, a liturgią godzin, więc potwierdzam.

– Henryk, chciałbym porozmawiać z tobą o religii.

– Jesteś wierzący?

– Ochrzczony, ale niewierzący. Henryk, powiedz mi, gdzie jest Bóg, gdzie są wszyscy ci, co pomarli?

To nasze materialne ciała umieszczone są w przestrzeni. Duch nie zajmuje miejsca w przestrzeni. Trudno byłoby mi to wytłumaczyć w języku rosyjskim, więc odpowiadam żartem:

– Jewgienij, nie naśladowaj kosmonauty Gagarina, który miał powiedzieć, że w kosmosie nie widział Boga.

Jewgienij wyciąga kanapki, gotowane kurczaki, grzyby, kiszone ogórki i inne przysmaki przygotowane troskliwą dłonią żony.

– Jedz Henryk

Nie musi mnie zachęcać!

W całym Kazachstanie jest około 200 tysięcy katolików, 80 księży, ponad 100 sióstr zakonnych, 6 biskupów i kilkadziesiąt parafii. Pomimo trudności, katolicy mogą swobodnie wyznawać swoją religię. Jeszcze 40 lat temu w czasach Związku Radzieckiego było zupełnie inaczej! Kościoły wysadzano w powietrze lub zamieniano je na magazyny, niszczone obrazy, a księży zabijano lub zsyłano do łagrów (obozów pracy).

Pewnego dnia wyjeżdżamy z Karagandy i jedziemy na tereny, gdzie mieścił się jeden z takich obozów – Karłag (Karagandijiskij łagier). Szachtyńsk, który jest stolicą tutejszych kopalń węglowych leży 50 kilometrów od Karagandy. Miasto liczy 50 tysięcy mieszkańców, wśród których żyje 4 tysiące Polaków i 3 tysiące Niemców. W dawnym szpitaliku na terenie łagru znajduje się muzeum. Prawda o łagrach z trudem wydobywa się na światło słoneczne. Dotychczas otwarto jedynie 3 archiwa na 110 istniejących. W okazałym budynku niegdyś znajdowało się centrum dowodzenia Karłagiem. Na polecenie prezydenta Nazarbajewa remont ukończono 1 października 2009 roku, tworząc miejsce pamięci wielu narodów, które represjonował system stalinowski. Ma tu powstać 20 sal muzealnych i istnieje nadzieja, że powstanie tu także izba polska.

Teren obozu, który założono w 1931 roku obejmował obszar o długości 200 kilometrów i szerokości 300 kilometrów. Zwiedzam Muzeum Politycznych Represji. W obozie przebywało od 20 do 90 tysięcy więźniów, a może nawet 2 – 3 razy więcej. W czasie powstania 1954 roku zabito tu około 400 więźniów. W muzeum zobaczyć można składane łóżko szpitalne, a na ścianach umieszczono zdjęcia pisarzy i artystów. Można powiedzieć, że intelektualna elita Rosji przeszła przez łagry. Podobno do portretów Stalina pozowali mężczyźni, którzy byli jego sobowtórami. Obok muzeum znajduje się gmach komendantury obozu. W jego piwnicach torturowano więźniów, a stojący na balkonie komendant odbierał „parady” więźniów, podczas gdy orkiestra zagłuszała wycie maltretowanych więźniów. Raj bez Boga stał się piekłem! Następnie

jedziemy na cmentarz dzieci – Mamoczokino Kładbiszczce, który znajduje się w okolicy Szachtyńska, w „Dolince Śmierci”. Dzieci umierały tu masowo. Grzebano je w latach 1930 – 1940. Na chrześcijańskim krzyżu umieszczono tu napis: „Sanguis martyrum semen christianorum” (krew męczenników jest posiewem chrześcijan). Obok niego umieszczono napis: „W pamiat o biezwinno pogibszich. Eto nie dałżno pawtoritsa” (Na pamiątkę niewinnie pomordowanych. To nie powinno się już powtórzyć). Dzieci po urodzeniu odbierano kobietom i mordowano. Niejedna z nich rozchorowała się z tego powodu. Na stepowej trawie widać gdzieniegdzie małe, metalowe krzyże – katolickie i prawosławne. Tylko kilka tabliczek z imionami niemowląt. Dla wielu funkcjonariuszy aparatu terroru niech straszną wymowę mają słowa Chrystusa Pana: „Baczcie, żebyście nie gardzili żadnym z tych małych; albowiem powiadam wam: Aniołowie w niebie wpatrują się zawsze w oblicze Ojca mojego, który jest w niebie” (Mt 18, 10).

W tych okrutnych czasach pracował w Kazachstanie potajemnie sługa Boży – słynny ksiądz Władysław Bukowiński, którego nazwano „Apostolem Kazachstanu”. Dnia 28 czerwca 1931 przyjął święcenia kapłańskie w katedrze na Wawelu. W czasie uroczystości poprosił kardynała Stefana Sapiechę, aby wysłał go do pracy na kresach. Pracował tam od 1936 jako wykładowca, a następnie proboszcz katedry w Łucku. Po wejściu Sowietów pewnego razu milicjant dał mu do ręki miotłę. Chciał go upokorzyć, ale Bukowiński tak starannie zamiatał ulicę, że milicjant odszedł. W pewnym momencie uwięziono go. Kiedy Rosjanie wycofywali się przed wojskami hitlerowskimi, rozstrzelano więźniów. Jego kula ominęła. Wyczołgał się spod sterty zabitych i wyszedł na miasto. Jedna z parafianek poznała go jedynie po głosie. Wyglądał jak cień człowieka. Później został zesłany do łagrów, gdzie spędził 13 lat za to tylko, że sprawował Eucharystię i modlił się z wiernymi! Okrutne czasy! Według wielu był jedyną, jasną stroną tamtych dni. Zawsze otoczony więźniami, odpowiadał na pytania, o coś pytał i tłumaczył, pocieszał i żartował. Kiedy inni więźniowie po pracy padali ze zmęczenia, on rozpoczynał swoją pracę duszpasterską. Po wojnie mógł wrócić do Polski, ale nie chciał zostawić wiernych bez opieki duszpasterskiej. Był to kapłan tułacz. Miał tylko dwie walizki: w jednej osobiste przedmioty, a w drugiej naczynia liturgiczne i szaty do sprawowania Eucharystii. Nie miał swojego kościoła, ani stałych dochodów, tułał się po domach. Przyjeżdżał ciężarówką w roboczym ubraniu (gdyby przyjechał w czystym ubraniu, to zaraz donosiciele rozpoznaliby go). Szedł do umówionego domu, przed wejściem rozglądał się na prawo i lewo i wchodził. Czekala tam na niego już grupka wiernych. Okna zasłaniano, bo wszędzie byli donosiciele (system oparty na donosicielstwie!). Kazania były krótkie, bo dzieci mdlały z powodu braku świeżego powietrza. Pewnego razu przesłuchujący go funkcjonariusz zauważył, że modli się:

– Zabraniam wam modlić się!

Bukowiński roześmiał się, bo wiedział, że władza funkcjonariusza tak daleko nie sięga. Można uwięzić w celi więziennej ciało, ale duch zawsze będzie wyrwał się do Boga! Pracował w kopalni miedzi w Dżezkazganie. Nogi miał tak spuchnięte, że w czasie odwiedzin w Polsce nosił pantofle. Brat Zygmunt chciał go zatrzymać



Na Placu Czerwonym w Moskwie z „bojarami”, 2002

Moskwy. Kasjerka w stolicy Rosji rozkłada ręce: nie ma wolnych biletów do Astany. Za chwilę jeszcze raz spogląda na mnie uważnie: „Przyjdźcie po południu. Będzie bilet! Płackarta, to miejsce do spania w wagonie o otwartych na korytarz przedziałach. Wszyscy obserwują wszystkich. Trzeba pomyśleć w jaki sposób przebrać się i jak zabezpieczyć swój skromny bagaż, by nie zniknął w nocy. Po przybyciu do Astany dostrzegam uśmiechniętą twarz Arcybiskupa: „Myślałem już, żeś gdzieś zaginął w tych pociągach”. Za chwilę dodaje: „Podróżujesz tak jak Amerykanin: tylko z małą torbą na ramieniu”. Tym razem dostaję przydział do parafii w Kustanaj (Kostanaj). Jest to dosyć duże miasto na północy Kazachstanu. Problem Kościoła misyjnego polega na tym, iż nie jest samowystarczalny pod względem finansowym. Niedzielną składka pokrywa zaledwie 10 procent wydatków parafii. Resztę trzeba zdobywać, ale świat katolicki pomaga. Piję kawę z gospodynią Walentyną. Ma dobry humor:

– Proszę księdza, u nas powinien pracować stróż, organista, kościelny i gospodyni na plebani.

– A skąd, Walentyna, proboszcz weźmie pieniądze na opłacenie tych ludzi?

– Od zdobywania pieniędzy są księża.

Ludzie są kochani! Innym razem jadę na pogrzeb. Przyjechał syn zmarłej i trzeba jechać 180 kilometrów w głąb stepu. Pustkowiec i bezdroża. W czasie jazdy pragnę osłodzić nieco jego smutek po śmierci matki.

w Polsce, bo widział, że jest chory i wyczerpany. Napisał w tym celu list do Prymasa Wyszyńskiego, aby zabronił mu wyjazdu, ale Prymas odpisał, że nawet mało gorliwy kapłan nie opuszcza swoich wiernych, a cóż dopiero taki kapłan jak Bukowiński. Do przyjaciół w Polsce mówił: „Wracam umrzeć w Kazachstanie. Nawet mój grób będzie tam świadczył o Bogu”. Umierał w szpitalu w Karagandzie w 1974. Ludzie płakali, a on ich pocieszał:

– Pan Bóg nie opuści was. Na moje miejsce przyjedzie jakiś inny ksiądz.

Na jego grobie postawiono krzyż z napisem: „Jam jest zmartwychwstańca”.

Głoszę rekolekcje dla siostr i pociągiem przez Moskwę wracam do Polski. Tym razem spacer po Placu Czerwonym, Kremlu i parkach Moskwy – ma urozmaicić długą podróż.

Lato 2006 roku. Kolejny raz zaprasza mnie do Kazachstanu arcybiskup Tomasz Peta. Jadę pociągiem do

– To w związku z pogrzebem przejedziesz około 720 kilometrów, bo później trzeba nas jeszcze odwiedzić.

– Proszę księdza, mama na to zasłużyła.

Innym razem słyszę dzwonek. Wychodzę. W drzwiach stoi zapłakana dziewczyna.

– Co się stało?

– Zmarł mój narzeczony w Niemczech, ale czuję jego obecność przy mnie.

– Ci, którzy nas kochają, zawsze są w jakiś sposób z nami. Jesteś katoliczką?

– Tak.

– To pomódl się za niego, bo kościół codziennie modli się za zmarłych.

– Nie znam modlitw za zmarłych.

– To odmów sobie modlitwę „Ojcze nasz” lub „Zdrowaś Maryjo”.

– Nigdy o takich modlitwach nie słyszałam.

– Nie? (z trudem opanowałam irytację). Poczekaj, zaraz przyniosę ci książeczkę z modlitwami w języku rosyjskim. Za chwilę w naszym kościele będziemy modlić się na różańcu. Dołącz do nas, to pomodlimy się i za twojego narzeczonego.

Trzeba mieć wiele cierpliwości do nich. Ignorancja niekiedy jest ogromna, ale trzeba ich usprawiedliwiać: 70 lat ateizacji za władzy radzieckiej zrobiło swoje. Na szczęście Kościół powoli odradza się.

Innym razem prowadzę pogrzeb młodego narkomana. Pochodzi z bogatej rodziny. Nad jego grobem stoi skamieniały ojciec, a matka szlocha coraz głośniej. Jakaś rozsądna kobieta podchodzi do mnie:

– Trzeba ją jakoś odciągnąć od grobu, bo nam tu zemdleje lub rozchoruje się.

Ludzie spoglądają na mnie wyczekująco. Co robić? Mam tylko kilka sekund na ułożenie sobie rozmowy w języku rosyjskim. Nagle przychodzi olśnienie.

– Słuchajcie, możecie przyjechać z mężem na grób syna jutro, pojutrze i kiedy tylko zechcecie, a teraz może pojechalibyśmy już na obiad, bo kierowcy czekają?

Po chwili dotarło do niej, kiwnęła głową. Problem został rozwiązany.

Oprócz pracy na parafii, głoszę rekolekcje dla sióstr. Na zakończenie mojego pobytu w Azji Środkowej, jadę do Kirgistanu. Stolica Biszkek wygląda jak wielka wioska. Tylko w centrum znajdują się reprezentacyjne budynki rządowe. Piję niesmaczny napój szoro. W drodze powrotnej wolontariuszka Ewa nagle pyta:

– Co powiedziałby ksiądz żołnierzowi, który w ramach armii radzieckiej walczył w Afganistanie. Zabijał. Widzi twarze zabijanych przez siebie ludzi, odczuwa wyrzuty sumienia, nie może spać, chciałby coś naprawić.

– Widzisz Ewa, zmarłych nie przywróci już do życia. Człowiek może tylko zabijać, życia już nie wróci nikomu. Niech codziennie modli się za zabitych i prosi ich o przebaczenie, niech czyni dobro i ufa w miłosierdzie Boże.

Lato 2008 roku. Lecę samolotem do Wiednia, a z Wiednia do Astany. W sumie kilka godzin lotu. Miał przyjechać po mnie na lotnisko Arcybiskup z księdzem Piotrem. Rozmijamy się jednak. Podchodzę do nieznanomego mi księdza: „Proszę odwiedzić mnie do Kuri”. Po dotarciu na miejsce Arcybiskup śmieje się:

– Wiedzieliśmy, że sobie poradzisz.

– Gdybym sobie nie poradził, to w ogóle nie wybierałbym się do was.

Po kilku dniach jadę z Arcybiskupem pociągiem. On jedzie na wizytację, a ja dostałem przydział do dwóch parafii na stepie. W mieście Tainsza czeka na mnie już młody chłopak. Szybko jedzie samochodem po stepie. Kurzy się za nami niemiłosierdzie. Nie ma żadnych drogowskazów, a polne drogi co chwila krzyżują się ze sobą. Jak on odnajduje drogę? W pewnym momencie dostrzegam, że obserwuje drzewa na horyzoncie. To jest jego drogowskaz! Podjeżdżamy pod restaurację. Jedna z parafianek obchodzi urodziny. Ksiądz Paweł śmieje się uradowany:

– Dobrze, że ksiądz przyjechał, bo nie widziałem już dwa lata mojej chorej mamy, która mieszka w Polsce. Parafianie z Zielonego Gaju, Jasnej Polany i innych miejscowości od dawna czekają na księdza.

W pewnym momencie chce zabawić się kosztem ludzi. Wstaje:

– Ja wyjeżdżam do Polski, a tu będzie pracował ksiądz Henryk.

Ludzie posmutnieli, bo pomyśleli, że ich proboszcz wyjeżdża na zawsze. Nie mogą pozwolić na takie żarty. Wstają i tłumaczą:

– Nie bojties. My tolka szutim (Nie bójcie się – żartujemy). Ksiądz Paweł odwiedzi mamę i znajomych w Polsce, a później znowu powróci do was.

Znowu uśmiechają się. Sprawiają wrażenie jakby znali mnie od lat, więc i ja udaję, że znam ich od dawna. Niezła zabawa! Za plebanię służy mi stara chata, w której kiedyś mieszkała samotna babcia. Woda jest lekko słona. Taki smak ma również herbata. Po dobrą wodę trzeba jechać do studni, która leży 10 kilometrów dalej. Ksiądz Paweł przyzwyczaił się już do słonej herbaty. Lubię Wschód, bo trzeba pomyśleć w jaki sposób rozwiązać niekiedy najprostsze sprawy. Z kranu kapie woda. Jak tu się umyć? Znajduję wiaderko. Po godzinie nakapało do niego pełno. Polewam się dużą, drewnianą chochlą, namydlam ciało i znowu polewam je wodą z chochli. Stepowy „prysznic”. Na terenie o długości 150 kilometrów leży kilka kościołów i kaplic, do których trzeba dojeżdżać, bo nawet grupa kilku osób ma prawo do Mszy świętej. Odprawiam pogrzeb. Zmarła kołchozowa dojarka krów. Napracowała się bardzo, co podkreśliłam w kazaniu. Pod kościół podjeżdża zwykła ciężarówka. Na pace rozłożony dywan, a na nim trumna. Wnoszą ją do kościoła i otwierają. Upał nieznośny. Muchy siadają na twarzy zmarłej. Córka odpędza je gałązką, a ja sprawuję Mszę świętą pogrzebową. Kończąc swój pobyt w Kazachstanie, udaję się na zaproszenie franciszkanów do sąsiedniego Uzbekistanu. Autobus dojeżdża tylko do granicy. Kraj jest zamknięty. Przez granicę trzeba przejść pieszo i po drugiej stronie szukać pojazdu. Młodzi chłopcy popychają tłum. Ten, kto im zapłaci, jest przez nich przeprowadzany. Miejscowa mafia. Mnie uzbecki oficer każe pokazać wszystkie pieniądze, jakie mam na podróż. Dzieli je na dwie kupki i jedną z nich przesuwą w swoją stronę. Powoli odbieram mu moje pieniądze i daję jakiś drobny datek. Jest zadowolony. Widzi niestosowność swojego zachowania:

– Wybaczcie, że u nas tak jest. Dorabiamy sobie.

Kantor przypomina stary kiosk. Moje dolary nie są dobre. Kobieta, która opiekuje się mną na przejściu granicznym krzyczy na pracownicę kantoru. Nagle okazuje

się, że moje dolary są dobre. Do stolicy kraju wiezie mnie stary muzułmanin. Uzgadniamy cenę. W czasie drogi podwyższa zapłatę. Mówię do niego: „Jak tak będziesz robił, to Allah (Bóg) cię ukarze”. Podwozi mnie pod katedrę w Taszkencie, dokładam mu trochę pieniędzy do ustalonej zapłaty i żegnamy się serdecznie. Biedny staruszek. Gdybym mógł każdemu sprawić przyjemność, ofiarując mu wypchany worek pieniędzy! Objężdżam parafie franciszkanów i głoszę kazania. Z jednej do drugiej jadę autobusem. Po drodze drogę zajeżdża nam samochód. Dochodzi do rękoczynów z obsługą autobusu, bo mafia żąda opłaty. Na szczęście zostawiają pasażerów w spokoju. Z Urgencz jadę umówioną taksówką do Buchary przez pustynię. Trzeba pokonać 400 kilometrów. Kierowca kilka razy rozmawia z kimś przez telefon komórkowy. Zwracam na to uwagę. Obok mnie japońskie małżeństwo. W pewnym momencie pytam Japończyka po angielsku:

- Jest pan wierzącym?
- Nie!
- A wasz cesarz nie jest bogiem? (dawniej tak uważali)
- Nie, jest zwykłym człowiekiem.
- To po śmierci już nic nie ma?
- Nasza śmierć kończy wszystko.

W tym momencie dociera do mnie prawda o tym, jak wielkim darem jest wiara. Przed Bucharą wchodzi do taksówki podejrzany typ. Może ma przy sobie broń? Twarz ciemna. Dobro rozjaśnia twarz człowieka, a zło ją zaciemnia. Japończycy protestują. Podwożą ich pod hotel. Kierowca i podejrzany typ wychodzą z samochodu. Zostaję sam. Rodzi się we mnie podejrzenie, że to ja mam być celem podejrzanego rozboju. Sekundy biegną bardzo wolno. Teraz albo nigdy! Trzymam odliczone sumy (nazwa miejscowej waluty) w rękę i nagle wychodzę z taksówki. Wokół nas pełno ludzi. Dobry moment na ratunek. Daję kierowcy pieniądze, ale mimo to obydwaj są bardzo zdenerwowani, co utwierdza mnie w moich podejrzeniach. Po skończonym pobycie w Uzbekistanie, wracam samolotem do Kijowa, a stamtąd przez Mińsk pociągiem do Polski. Lotnisko i samoloty są bardzo nowoczesne.

Lato 2009 roku. Tym razem do moich władz zakonnych zwraca się z prośbą o pomoc duszpasterską nasz rodak z diecezji tarnowskiej – ksiądz biskup Janusz Kalęta. Z Krakowa lecę samolotem do Wiednia, a stamtąd do Baku – stolicy Azerbejdżanu. Za kilka dni będzie leciał z Baku mały samolot pasażerski do Atyrau w Kazachstanie, to mnie zabierze. Gościńczę znajduję u słowackich salezjanów, którzy tu pracują. Jest tak gorąco, że zasypiam nad ranem. Spaceruję po Baku. W dole widać wody Morza Kaspijskiego, a w porcie ponad 20 małych okrętów wojennych. Po kilku dniach lecę do Atyrau. Pod nami wody Morza Kaspijskiego. W Atyrau na pokład samolotu wchodzi pracownicy służby zdrowia i z pewnej odległości badają specjalnym urządzeniem temperaturę naszych ciał. Boją się grypy. Nie wystarczy wiza służbowa. Nazajutrz jadę zarejestrować się w Akimacie (Urząd miejski), a następnie jadę z Biskupem na rozmowę z kapitanem tajnej policji (KNB). Jest miły, ale wypytuje o wiele spraw:

- Jaki jest wasz stosunek do innych religii, do islamu?
- Jestem pokojowo i przyjaźnie nastawiony do innych ludzi i ich religii.

– Ma ksiądz żonę?

Doskonale wiedzą, że u nas kapłani nie żenią się, więc dalszej rozmowy nie traktuję już poważnie:

– Żadna mnie nie chciała i dlatego zostałem księdzem.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem i śmieje się tak głośno, że inni zaglądną do naszego pokoju. Jako „łackowiak” miałem w zanadru i bardziej dowcipną odpowiedź, ale mógłby ze śmiechu spaść z krzesła, a nie chciałem robić mu krzywdy. Atyrau leży nad Morzem Kaspijskim, ale między miastem, a morzem znajduje się pas błota, stąd wielka ilość komarów. Komar, to jedyne zwierzę, które musisz zabić, bo nie zostawi cię w spokoju. Albo ty, albo komar! Wystawisz spod prześcieradła, którym jesteś przykryty tylko nos, to ugryzie cię w nos! W katedrze sprawuję Eucharystię i głoszę kazania w języku rosyjskim, angielskim i włoskim. Taka mieszanka sprawia wiele trudności. Trzeba przygotowywać się starannie. Pewnego razu jadę z siostrą do sąsiedniej parafii w Uralsku. Odległość do niej wynosi „tylko” 500 kilometrów. Droga asfaltowa jest w dobrym stanie, ale nie widać po drodze żywej duszy, żadnej wioski. Tylko od czasu do czasu przejedzie samochód, albo przez drogę przeleci tabun koni lub stado wielbłądów. Chcę, żeby siostra odpoczęła trochę od kierownicy, więc mówię do niej:

– Niech siostra da mi aparat fotograficzny, to zrobię siostrze trochę zdjęć z wielbłądami. Rodzina w Polsce ucieszy się. Proszę tylko za blisko nie podchodzić, bo wielbłąd może ugryźć lub opluć.

W Uralsku ksiądz Janusz oczekuje na nas:

– Przyjechało bezdzietne małżeństwo z Hiszpanii, chcą adoptować chorą dziewczynkę, żeby ją wyleczyć w Hiszpanii. Śpią w hotelu, zajmuje się nimi organizacja pomagająca w adopcjach, ale z nikim nie mogą się dogadać. Możesz im pomóc?

– Hiszpański znam tylko trochę, ale za to dobrze znam język włoski. To tak jak gdybyś rozmawiał ze Słowakiem: trochę zrozumiesz, a trochę nie zrozumiesz. Spróbujmy jednak im pomóc.



Armenia – nad jeziorem Sewan

Następnego dnia jedziemy do domu dziecka. Dziewczynka jest chora na serce i umysłowo upośledzona. Hiszpanie są przygnębieni. Przynoszą inną dziewczynkę. Podobna sytuacja. Hiszpanka Isabel tuli ją do siebie, ale pielęgniarka mówi, żeby tego nie robiła, bo dziecko przywiąże się do niej. Wychodzimy. Są załamani. Jej mąż Marcial odchodzi na bok. Płacze. Podchodzę do niego:

– Jutro pojedziemy jeszcze do drugiego domu dziecka. Nie trzeba się załamywać.

Kolejna dziewczynka ma lekko chore serce. Nie będzie problemów z operacją w Hiszpanii. Lekarka objaśnia jej złożoną sytuację po rosyjsku. Słucham uważnie i tłumaczę na włoski. Marcial słucha uważnie i tłumaczy swojej żonie na hiszpański. W drugą stronę rozmowa odbywa się w podobny sposób. Bardzo to skomplikowane. W pewnym momencie rozboleła mnie głowa. Decydują się na adopcję dziewczynki. Nazajutrz podjeżdżam pod hotel z proboszczem. Wspólne zdjęcia i jedno z najpiękniejszych pożegnań w moim życiu. Po kilku tygodniach z Hiszpanii przychodzi zdjęcie małej Marii Zamiry. To drugie imię nadano jej po to, aby nawiązać do jej pochodzenia z Kazachstanu. Jest już po operacji serca, ochrzczona, szczęśliwa i zadbana. Cieszę się: oto z wielkiej, wielomilionowej rzeszy sierot, tęskniących za ciepłym matczyngo serca – ubyłła jedna dziewczynka. Powrót do Polski znowu przez Baku. Wchodzę na miejscowy cmentarz. Młoda muzułmanka głośno płacze. Podchodzę do niej:

- Kogo pani tu pochowała?
- Męża i syna.
- Będę modlił się za nich.

Pokazuję jej przy tym różaniec. Może przypomina jej muzułmański „rózaniec”, a może ceni jakąkolwiek formę modlitwy, bo uśmiecha się do mnie przez łzy. Austriacki samolot robi duży krąg nad Baku. W dole widać sztuczną wysepkę. Całe miasto zbudowano na wbitych w dno morza stalowych palach. Mieszkają tam wraz z rodzinami pracownicy wydobywający ropę naftową. Po pewnym czasie przez godzinę lecimy wzdłuż południowych stoków potężnych gór Kaukazu. Mają ponad 800 kilometrów długości. Widać ośnieżone szczyty. Gdzieś w tych górach mały naród



Misje w Kazachstanie – Hiszpanie adoptują sierotę, 2009

czeczeński od dwustu lat walczy o swoją wolność. Skąd my to znamy? Wielu z nich znika bez śladu. niesprawiedliwie nazywa się ich terrorystami. U nas partyzantów walczących po wojnie o wolność Polski nazywano bandytami. Zło rozpoczyna się od kłamstwa! Chociaż są to muzułmanie, robię znak krzyża, bo krzyż najlepiej tłumaczy wszelkie ludzkie cierpienie.

Przełożństwo zakonne

Kiedyś w rozmowie z diecezjalnym proboszczem żartuję: „Wiesz, w zakonie jest tak, że przełożony czuwa i martwi się o wszystko, a reszta odpoczywa”. Pewnego dnia w czasie wizytacji, do mojego pokoju wchodzi Prowincjał. Tym razem jest nim kolega z roku – ksiądz Zbigniew. Mówi do mnie:

– Rozmawiałem z członkami wspólnoty w waszym klasztorze. Masz głosy poparcia. Przyjmujesz urząd przełożonego domu zakonnego?

– Przyjmuję.



Przełożony klasztoru – kupno nowego samochodu, 2004

Co mam robić? Stan zdrowia nie pozwala na odmowę, bo w zasadzie nic mi nie dolega. Odmowa wyrażałaby tylko mój egoizm. Przede mną trzyletnia funkcja. Trzeba coś po sobie zostawić! Wymieniamy okna i niektóre drzwi w całym klasztorze. Osobiście sprawdzam każdy detal i działanie mechanizmów, a zdziwionym nieco robotnikom mówię, że płacimy tylko za dobrze wykonaną pracę. Kupuję nowy samochód. Nie może być zbyt drogi, powinien być dobrej jakości i powinien gwarantować wygodną podróż dla 4 – 5 księży. Kilka razy odwiedzam salony samochodowe. Kto pyta, ten nie błądzi. Chociaż nie prowadzę nawet samochodu, to muszę dokonać dobrego zakupu! Wybór pada na piękną, srebrną Skodę Fabię. Kiedy przychodzi właściwy czas, bez żalu kończę moją funkcję przełożonego. Św. Franciszek z Asyżu trafnie powiedział przed wiekami: „Jeżeli kończysz przełożństwo w zakonie

i jesteś smutny, to nie jest to dobry znak”. Wielu ludzi nie umie opuszczać swoich stanowisk, bo wydaje im się, że będą wtedy nikim. Podstawowy błąd! Chrystus umarł za ciebie jako za człowieka, a nie dlatego, że jesteś dyrektorem, przełożonym zakonnym, proboszczem, biznesmenem, lekarzem, sędzią, aptekarzem czy jeszcze kimś innym. To są prace, funkcje i zawody, człowieczeństwo jest na wieczność!

Niżej opisane przeżycia oraz wspomnienia; żonie mojej i dzieciom poświęcam

Więzienie dla przestępców politycznych
Budapeszt, maj 1940 r.



Władysław Wadowski (1910–1998)

Po szybkich decyzjach i przygotowaniach wyruszyliśmy w dniu 16 maja 1940 r. w daleki, nieznaną świat. Jest godzina 14:30. Ze szczytu „Zawodzia” obejmujemy pieśczośliwym spojrzaniem wspaniałą panoramę Łącka. Zdajemy sobie sprawę z tego, że prędko tu nie wrócimy – a jedynie od woli bożej zależeć to będzie, czy w ogóle jeszcze kiedyś nasza noga tu stanie. Za Dunajec z tajemniczym uśmiechem przewiózł nas „Kubuś”. W międzyczasie dogonił nas w lesie Zygmunt Królicki, by się z nami pożegnać. Punkt zborny, polanka obok Cebuli. Godzina 14:40, komplet w składzie 13 ludzi pod przewodnictwem Antka Marka grzbietami podąża w kierunku Szczawnicy.

Pierwszy odpoczynek i zasięgnięcie języka; na halach, tuż przed samą Szczawnicą, u bacy z juhasami, pod podziurawionym dachem. Zapada zmrok. Jesteśmy w opłotkach, psy ujadają jak na nieszczęście. Z pomiędzy drzew widzimy cie-

nie przechodzących patroli granicznych. Czeka nas najtrudniejszy wysiłek, przejście Grajcarka. Jedyna kładka jest prawie zawsze silnie obstawiona. Góral szczawnicki daje ręką znak. W mgnieniu oka jesteśmy po drugiej stronie drogi, którą często przechadzają się strażę. Jedni biegną szybko za góralem po kładce, która pod ciężarem wygina się i trzeszczy, ja z Jankiem walimy w wodę, byle jak najszybciej przejść rzeczkę i ukryć się w zaroślach. Ktoś krzyknął „Wsypa”. Wszyscy się rozbiegli. Serca wałają jak młoty. Razem z Jankiem zaszywamy się w olszynkę i wikliny. Siedząc – pilnie nasłuchujemy. Ze stromej góry, tuż za naszymi głowami sypią się kamienie. Ktoś ucieka, albo nas okrążają. Minęło dobre pół godziny, jak wieczność długiej, gdy nareszcie się kilku zebrało razem. Bez wytchnienia pniemy się po skalnych głazach na szczyt. Donarski, starszy pan, ustaje zupełnie. Po prostu na plecach wyniosłem go na górę i tam wyciągnąłem się jak długi, ocierając strumienie potu. Ostrożnie posuwamy się lasem. Noc

jest widna, a w dali słyszymy psa oraz widoczny jest wyraźny błysk latarki elektrycznej i ogień z palącego się papierosa. Kryj się. Po oddaleniu się patrolu idziemy dalej. Przed samą północą jesteśmy w domu Klimka, stojącego w pasie granicznym. W izbie okazuje się, że brakuje dwóch ludzi. Krótka rada – czekamy na nich do jutra. Po spożyciu posiłku Klimek umieszcza nas w stodole. Ryjemy się w koniczynie, obok szpar, by można było obserwować każdy ruch w pobliżu.

17.V

Rano dowiadujemy się, że córka Klimka poszła o świcie do Szczawnicy, by dowiedzieć się o losie człowieka z Tarnowa i urzędnika z Państwowej Fabryki w Mościcach. Poszukiwania spełzły na niczym. Nigdzie ni śladu po nich. Najważniejsze to pewność, że nie wpadli, bo do aresztu nikogo w nocy nie przyprowadzili.

W ciągu dnia ogarniał nas niepokój przed możliwością rewizji, co według słów Klimka zdarzało się dość często. Dzień był pochmurny i padał deszcz.

Godzina 21:00, leje jak z cebra ulewny deszcz. Ciemno i mgła. Ruszamy w drogę. Forsownym marszem, ostępami, zbliżamy się do granicy. Schodzimy ze stromej góry. Nagły skok przez drogę i strumyk – jesteśmy na stronie słowackiej. Z prawej strony widać światła na posterunkach granicznych w Leśnicy i Haligowcach. Pniemy się znów w górę. Co jakiś czas ktoś siada w błocie – nogi ślizgają się po rozmokłej ziemi. Nie rozmawiać – pierwsze domy słowackiej osady Haligowce. Uwaga, szosa i mostek. Skok. Otarcie potu i nowy niepokój. Na szosie widać reflektor samochodu – zapewne policyjnego, od strony Leśnicy. W górę. Kryć się za krzaki. Kładziemy się na mokrej ziemi i po przeczekaniu znów w górę. Jesteśmy przemoczeni do nitki. Deszcz leje w dalszym ciągu. Mały posiłek i ruszamy, pniemy się dalej, tym razem już po omacku. Góry i lasy.

Ciemno, że jeden drugiego nie widzi. Trzymać się za ręce – gęsiego. Nareszcie można już palić i rozmawiać. Szczytami pasma górskiego idziemy w stronę Toporca, odległego o 28 km. Prowadzi Klimek i Antek Marek. Dopiero teraz wyjaśniło się, że dołączył do nas Klimek ze swoim „pasażerem”, który poprzedniego dnia narobił nam tyle strachu, bowiem on z córką Klimka – w obawie przed nami, uciekł w górę tak, że aż waliły z łoskotem kamienie.

18.V

Błądzimy po raz pierwszy. Nad ranem szukamy jakiego szałas, by się trochę osuszyć, odpocząć i posilić. Mgła i deszcz utrudniają nam znalezienie bodaj kawałka dachu. Rozpalamy więc ognisko pod świerkiem. Radzimy nad obraniem kierunku, poczem ruszamy. W dali słychać ujadanie psa. Sądzimy, że to widocznie w Rychwałdzie. Maszerujemy na przełaj, przy pomocy kompasu Bezarda.

Dokucz nam szalone pragnienie. Wreszcie po przejściu dużych pól zrytych przez dziki, natrafiliśmy na źródło. Przed ludźmi uciekamy i chowamy się jak dzikie zwierzęta. W końcu przez smugi deszczu, ze szczytu wzgórze majaczą w dali domy Toporca. Schodzimy lasem w dół. W pewnym momencie na polanie zauważyliśmy czterech ludzi. Po krótkiej obserwacji Antek oznajmia, że poznaje dwu z naszej paczki, zagubionych w Szczawnicy. Antek i Klimek podchodzą do nieznanomych. Widzimy, że

Antek pomylił się. Rozsypujemy się po lesie, ogarnia nas niepokój – napięcie nerwów i pytanie co będzie dalej? Po kilku minutach, pełnych trwogi sytuacja wyjaśnia się. Dwóm Polakom pozostawionym przez przewodników na los szczęścia na Słowaczynie wskazuje kierunek powrotu dwu napotkanych Cyganów. Zmieniamy zaraz kierunek, by zmylić ewentualny pościg i przyczajeni w chaszczach oczekujemy Antka, który sam udał się do Toporca celem zasięgnięcia języka u znajomego karczmarza Żyda.

Po dwu godzinach oczekiwania nadchodzi Antek. Mówi, że właściciel taksówki, którą często jeździł został aresztowany. Opowiada, że tuż przed jego przyjściem do Toporczyka odjechali pociągiem wujek Jakób i Polek. Żyd opowiadał, że przewodnik poszedł dalej pieszo, a wujowie nie mogli sobie na to pozwolić, ze względu na wyczerpanie woleli jechać przez Słowację pociągiem. Przewodnik ten zostawił w karczmie – stacyjce kolejowej, złoty pierścionek, który dostał od wuja na koszt taksówki. Karczmarz poinformował Antka, że teraz Gestapo urządza częste obławy i radził, by zdwoić ostrożność. Równocześnie wskazał adres swego zaufanego, który może nam pomóc, ponieważ jest daleko od kolei i nie jest pod obserwacją, jak on. Na Magurę do karczmy Singera kawał drogi. Ma być ponad 12 km. Deszcz siecze niemiłosiernie. Pniemy się lasami w góry. Jest gęsta mgła. Robi się ciemno. Nadaremnie szukamy w określonym miejscu starej karczmy i drogi. Zmęczeni natrafiliśmy nareszcie na gościniec. Ale karczmy nie widać. Wysłaliśmy grupki po dwóch w oba kierunki drogi celem odnalezienia karczmy, lecz po przejściu kilku kilometrów obie grupki znów zeszyły się w środkowym punkcie. Obraliśmy nowy kierunek i ruszyliśmy naprzód. Byliśmy tak przemoknięci i zmęczeni, że postanowiliśmy z rezygnacją wejść do pierwszego lepszego, napotkanego domu. Zwątpienie udzielało się wszystkim. Jednak mimo to wytrwale szliśmy dalej.

Nagle w miejscu najmniej spodziewanym zauważyliśmy po prawej stronie obszerne zabudowania – najwyraźniej jakieś stare karczmissko. Przed zajazdem stał samochód ciężarowy. Gdy podeszliśmy spostrzegliśmy jakieś cienie i postacie kręcące się przed oknami. Antek podszedł do jednej z najbliższej nas stojącej postaci. Ja z Jankiem na wszelki wypadek ukryłem się w gęstwinie, nad rzeczką. Napotkanym człowiekiem był góral z Nowego Targu, który ze swymi znajomymi wracał po nieudanym przejściu granicy do domu. Opowiada, że aby przejść na Węgry trzeba mieć dużo złota. Granica jest od kilku dni obstawiona podwójnym kordonem i szkoda nawet marzyć, by można było przejść. Radzi, byśmy się nie narażali i razem wracali.

Po długim dobijaniu się, okno się otworzyło i z krótkiej wymiany słów przekonaliśmy się, że jesteśmy przed upragnioną karczmą. Gospodarz po otrzymaniu od Antka wyjaśnienia z czyjego polecenia tu przychodzimy – bez niczego otwiera drzwi. Za chwilę ogień się iskrzy, a każdy z nas ściąga mokre szmaty. Pantofle moje na deszczu rozleciały się zupełnie. Trzymały się jedynie na sznurkach. Gorące mleko pokrzepiło wszystkich. Po chwili wszyscy jak barany, jeden obok drugiego chrapali na podłodze małej kuchenki.

19.V (niedziela)

W dzień, z uwagi na bezpieczeństwo udaliśmy się do pobliskiej stodoły. Gramy dla zabicia czasu w bridge'a. Singer pojechał do Kieżmarku – szukać dla nas taksówki. Wieczorem wróciliśmy od tyłu do mieszkania. Musieliśmy zachowywać się bardzo cicho, ponieważ w sąsiednim pokoju nocowali niemieccy robotnicy leśni. Singer wrócił ze zwieszoną miną. Opowiada, że żaden szofer z Kieżmarku nie chce nawet za najwyższą zapłatę z nami jechać, ponieważ i tam już wielu aresztowali za podobne przewinienia. Mówi, że rzeczywiście zmobilizowano specjalnie jeden rocznik celem stworzenia drugiego kordonu granicznego w dziesięciokilometrowym pasie od granicy. Radzi, byśmy raczej wrócili. Jesteśmy złamani, lecz nie tracimy nadziei. Prosimy, by jutro udał się do Popradu, gdzie może prędzej coś wskóra. Tłumaczymy mu, że jesteśmy przygotowani na wszystko, ale wracać nie myślimy. Po wielkich perswazjach wyraził swą zgodę.

20.V

O świcie Singer wyjechał. Czekamy w ponurym nastroju. Niepokoiemy się, ponieważ przed karczmę często zajeżdżają samochody z niemieckimi leśnikami i robotnikami. Następuje krytyczny moment. Widzimy zbliżającego się do karczmy żandarma słowackiego. Żona Singera oznajmia nam, że przyszedł na rewizję. W pokoju ciemno od nadmiernej ilości wypalonych papierosów. Mówi, abyśmy wyszli przez okno i udali się do pokoju jej rodziców, który znajduje się w drugim skrzydle domu. Staruszkowie bez najmniejszej obawy kryją nas w swoim mieszkaniu. Cała rodzina ma dzielną postawę. Minuty ciągną się jak wieczność. Naradziliśmy się, że w wypadku wejścia żandarma do naszej kryjówki; obezwładnimy go i razem z nim pójdziemy lasami ku granicy, gdzie go dopiero puścimy wolno.

Manewr nasz udał się, bowiem w tym pokoju gdzie obecnie przebywaliśmy, było już po rewizji. Na pytanie żandarma po skończonej rewizji; czy byli tu Polacy, młoda Singerowa odpowiedziała: do karczmy przychodzą różni ludzie – możliwe, że właśnie ci o których Panu chodzi byli Polakami. Odetchnęliśmy i szybko nastąpiła równowaga. Pod wieczór wrócił Singer, tym razem z pomyślnym wynikiem. Przywiózł nam chleba i papierosów. Od niego też dowiedzieliśmy się, że rewizja odbyła się na skutek doniesienia jego pastucha – Polaka z okolic Nowego Targu, który widział nas dnia poprzedniego. Singer za swoje usługi nie zażądał nic. O godzinie 21:10 w umówione miejsce nadszedły dwie taksówki. Do pierwszej wsiadło nas sześciu. Antek, Donarski, jego przyjaciel, Piątek i ja z Jankiem. Drugi samochód miał jechać w odległości 300 do 500 m. 21:15 ruszyliśmy z miejsca. Szofer nasz wiedział dokładnie kim jesteśmy. Na zatrzymanie nas przez patrol policyjny w jednym z miasteczek odpowiedział dodaniem gazu. Za miejscowością tą znikł nam drugi samochód. Później przekonaliśmy się, że właśnie w tej miejscowości zostali oni zatrzymani i aresztowani. Nasz kierowca po wypiciu z mojej fłaszeczki pewnej zawartości śliwowicy, rozgadał się.

Brat mój jest już aresztowany za przewożenie Polaków. W areszcie bito go i kopano. Ja przewożę Panów z całą świadomością co mi może za to grozić. W międzyczasie, gdy jasnym wydało się, iż nasi koledzy wpadli, zatrzymał wóz – czekając na nich około

20 minut. Po tym czasie oświadczył, że na pewno i nas będą gonić, a zatem skręcę na mało znaną drożynę – nałożę dużo drogi, ale będziemy bezpieczni. Po półgodzinnej jeździe na marnej drodze nawaliła opona.

Deszcz dalej siecze. Kilku pomagało naprawiać, reszta ukryła się w zaroślach. Wjeżdżamy znów na główna szosę i po pokonaniu dużej serpentyny – na szczycie – samochód zatrzymał się. Słowak wyjął mapę turystyczną i pokazał miejsce, gdzie jesteśmy. Od granicy dzieliło nas zaledwie 3 km. Obok męki Pańskiej przeszliśmy na lewą stronę i na wszelki wypadek postanowiliśmy czekać na resztę jeszcze jedną godzinę. Nasz kierowca gdyby ich spotkał w drodze powrotnej, miał ich objaśnić, gdzie na nich czekamy. Była północ. Na niebie chmury, ciemno, deszcz rosi, a pod nami cicho szumi rzeka Hornad. Próżne były nasze oczekiwania. Maszerujemy po omacku gęstym lasem świerkowym. Mało brakowało, bym sobie na rogalu świerkowym nie wybił oka.

21.V

Antek niefortunnie zmienił kierunek. Po karkołomnych, mokrych przejściach – zatrzymujemy się. Najwidoczniej błądzimy. Już dawno powinniśmy widzieć Koszyce. Zdecydowaliśmy iść w kierunku południowym, po uprzednim zorientowaniu mapy przy pomocy kompasu Bezarda. Brodzimy po pas przez wezbrane strumyki. Trapią nas różne domysły. Spożywamy resztki naszych zapasów i szukamy dalej bezowocnie granicy. Po słupach telefonicznych orientujemy się, że błąkamy się po najbardziej niebezpiecznym pasie granicznym. Słupy i wydeptane w górach ścieżki upewniają nas, że wokół są placówki. Mgła nieco opadła, a oczom naszym u podnóża góry ukazała się rzeka. Po drugiej jej stronie widać było dwie miejscowości. Z mapy mogliśmy się domyślać, że to są Koszyckie Hamry i Koszycka Bela. Plecak Antka toczy się ze skały. Czekamy długo nim go odnalazł i wdrapał się ponownie na szczyt. Na jednej polanie zauważyłem małą pasterkę. Podchodzę do niej i pytam czy to Hungaria? Zamiast odpowiedzi uciekła w las.

Spotykamy jeszcze wóz z drzewem, ale uciekamy przed nim. Jesteśmy wyczerpani i zrezygnowani. W końcu Antek decyduje się iść do wioski po informacje i chleb. Czekamy długo. Antek przepadł jak kamień w wodzie. Ogarnia nas niepokój. Wreszcie nasz obserwator oznajmia, że ktoś się zbliża do lasu. Oby tylko Antek. Niektórzy sarkali już, że było to szaleństwem. Antek wrócił. W domu do którego wszedł przyjęto go bardzo życzliwie. Dowiedział się, że to są właśnie Koszyckie Hamry. W miejscowości tej kwateruje kompania ochrony pogranicza. Gospodarze sami powiedzieli mu, że domyślają się, iż jest Polakiem, a w lesie na pewno pozostała reszta uciekinierów. Dali Antkowi bochenek chleba, kawał słoniny, nie biorąc ni grosza. Poinformowali go, że do granicy jest jeszcze ponad dwa kilometry. Wskazali kierunek, określili dokładnie stronę węgierską i życzyli nam szczęścia.

Zbliżamy się lasem do strumyka. Opodal grupa chłopów ścina drzewa, wśród nich dwóch leśników z bronią palną. Przed nami strumyk i duża polana. Siedzimy w chaszczach z 10 minut i prowadzimy pilną oraz uważną obserwację. Umawiamy się, że szybkimi skokami po dwu przebiegniemy polanę, a potem biegiem do góry. Wysoczyłem razem z Antkiem. Po kilku zaledwie krokach za strumykiem, zaczęły ujadać

psy – a chłopci podnieśli krzyk. Reszta naszych nie wytrzymała i całą grupką puściła się pędem za nami. Biegliśmy po młodym, gęstym lesie bez wytchnienia – byle dalej i szybciej. Gałęzie smagały nas nietościwie, za kołnierz wlewały się strumienie deszczówki z potrząsanych liści; a ubrania darły się na strzępy. Robimy z nadmiernym wysiłkiem ostatni skok.

Wypadamy z lasu – przed nami otwarta przestrzeń uprawnych pól, opodal chłop orze ziemię. Podchodzimy do niego i prosimy o informacje. Jesteście już po stronie węgierskiej. Następnie wskazuje nam budkę strażniczą i przechadzającego się żołnierza. Mówi, że zaszliśmy za daleko, ponieważ jesteśmy 17 km na południe od Koszyc. Informuje nas, że za stojącą przed nami górą znajduje się ścieżka turystyczna do Koszyc. Idziemy lasem wśród odwiecznych buków. Po przejściu głównej szosy – weszliśmy na ową ścieżkę. Ciągłe jest to jeszcze pas graniczny, ale już po stronie węgierskiej. Przed nami pojawia się celnik. Kryć się. Ostatkiem sił, idąc po zboczach gór – mijamy komorę celną (koszary) i wychodzimy już z pasa granicznego.

Spotkani cywile mówią, że do Koszyc jest jeszcze tylko 2 km. Idziemy na śmiałego drogą. Odległość wydłuża się jednak do pięciu kilometrów, a Koszyc nie widać. Wstępujemy do jednego z przydrożnych domów na mleko. Tam wskazują nam przystanek tramwajowy, z którego jedziemy do miasta. Na ulicach świecą się już światła. Odnajdujemy oddział Polskiego Czerwonego Krzyża, w którym mieści się zakonspirowany komitet pomocy zbiegłym Polakom. Tam przyjmują nas czarną kawą i chlebem ze smalcem. Pospiesznie suszymy i czyszcimy ubrania oraz buty.

W czasie słuchania komunikatu spotykamy braci Brzezińskich, którzy wyszli razem z wujami. Mówią, że wujowie mieli zbyt duże i ciężkie plecaki. Ustawiali w drodze i opóźniali marsz. Oni wyjechali pociągiem z Toporczyka sami, bez przewodnika. Wujowie mieli jechać dnia następnego. Do tej pory powinni już tu być. Opowiadanie to zaniepokoiło nas bardzo. Wiadomości ze świata również niepomysłne. Stosunki jak zwykle. Wtajemniczony kierownik placówki jest wyniosłym Panem, którego mało obchodzi sprawy przybyłych. Tej samej nocy mamy odjechać pociągiem do Budapesztu.

22.V

Bilety dla całej grupy zakupił woźny. Wydano nam również po 2 pengi na śniadanie i taksówkę z dworca kolejowego do konsulatu. O godzinie 00:15 pociąg rusza. W połowie drogi, za węzłową stacją Miskolc wchodzi konduktor, przegląda bilety, a potem żąda po 2 pengi dopłaty, ponieważ pociąg ten od Miskolca jest pociągiem pospiesznym. Tak zaraz na wstępie mogliśmy się przekonać, jak w Koszycach przejmują się transportami do Budapesztu. Rano przejeżdżamy przez Dunaj. Pociąg zatrzymał się na Dworcu Wschodnim. Jest godzina 08:00.

Z tłumem podróżnych wychodzimy przed dworzec. Po lewej stronie, na placu stoją taksówki. Janek, Donarski, Piątek – siedzą już w samochodzie. Ja z Antkiem idziemy na końcu. Część transportu odjechała już innym samochodem. Na parę kroków przed taksówką podchodzi do nas policjant węgierski Nr 1.053 i zapytuje w języku niemieckim „Haben Sie Passport?” Janek zamiast uciekać dla solidarności czeka. Aresztuje nas

wszystkich. Po godzinie brama dużego więzienia z napisem „TOLONC HAS” zamyka się bezszelestnie na przeciąg kilku długich i bardzo przykrych dni. Spisują z nami protokół oraz zabierają rzeczy do depozytu. Jesteśmy w celi „przyjęć” i obserwujemy typowe okazy przestępców.

Na obiad dostaliśmy po 10 dkg chleba, wodziankę i soczewicę. Prowadzą nas do celi fryzjerni, gdzie czekamy w kolejce. Pogolili i ostrzygli nas jak najordynajniej. Następnie odbyła się kąpiel. Przed kąpielą wszystko od nas zabrano rzekomo do dezynsekcji. Zostaliśmy nadzy. Po kąpeli przekonaliśmy się, że zabrano nam dosłownie wszystko. Mnie zabrano chusteczkę i wiele drobiazgów. Donarskiemu trzy złote pięciokoronówki niemieckie. Piątek zrobił ruch, by mu zwrócono chociaż pamiątkowe etui Matki Boskiej z Lourd, które będąc dzieckiem otrzymał od matki. Dozorca uderzył go kilka razy w twarz; twierdząc cynicznie, że nikomu nic nie zabrano. Po tym zajściu prosił o rozmowę z naczelnikiem więzienia. Po zbadaniu sprawy i spisaniu protokołu oddano Piątkowi medalion – a mnie medaliki. Złoto przepadło. Piątek uratował 20 dolarów w złocie, które ukrył na brzuchu, pod pozorowanym bandażem. Kolację otrzymaliśmy już na korytarzu budynku więziennego. Na noc dostaliśmy się do celi Nr 1. W celi tej roilo się 70 ludzi, różnych narodowości – aresztowanych za przestępstwa polityczne. Przeważali Czesi. Zaraz na wstępie poznaję Cebulaka z za wody, który przebywa tu pod przybranym nazwiskiem Stawiarskiego. Został złapany w czasie ucieczki z obozu wojskowego. O łóżka i koce trzeba było walczyć siłą. Kto był słaby lub mało ruchliwy spał na betonie bez koca. Panuje ponury nastrój, a myśli nasze ulatują ku Polsce. Sen długo nie nadchodzi.

23.V

Wrzaskliwe Göring (pobudka) i Czemberlein (spokojnie) o godzinie 05:00. Dzisiaj Boże Ciało. Można iść na nabożeństwo do kaplicy więziennej – pod wezwaniem Serca Jezusowego. W czasie Mszy św. modłę się, a łzy spływają mi strumieniami. Kazanie po węgiersku. W celi pocieszamy się jak możemy. Przybyli nowi Polacy i jest nas już dwunastu. Między innymi znajduje się niejaki Bylica – umyślowo chory na skutek obrabowania go po przyjeździe z Ameryki. Szejta (spacer) odbywa się dwa razy dziennie – po pół godziny. Do małego ogrodu spędzają ponad 1000 więźniów, a gęste strażę na zewnątrz i wewnątrz ogrodu – w znanych, typowych – modelu austriackiego z czasów Franciszka Józefa, „kibelkach” (wysokie stojące czapki); wąsaci brzuchacze kroczący ze złowrogim



Jan Wadowski, brat Władysława

wyrazem twarzy nie dają możliwości nawet się zatrzymać, czy porozmawiać w grupkach. Jest to istna defilada nędzy oraz rewia świata podziemnego Budapesztu. Istnieje też w czasie takiej przechadzki możliwość sprzedania lub nabycia czegokolwiek. Niejako czarna giełda. Za sweter dostałem ćwierć bochenka chleba. Inni za pół papierosa otrzymują porcyjkę chleba. Niektórzy mają nawet pieniądze.

Straż obchodzi się zadziwiająco brutalnie. Obserwujemy z Jankiem przeróżnych rzezimieszków, apaszy, włóczęgów i męty społeczne. Targ odbywa się również z kobietami, które ze swych cel podchodzą ukradkiem do koszy i na migi ubijają kupno, bądź sprzedaż. Wychodzą one po nas na taki sam spacer do tego samego ogrodu. Zabierają ukryte „towary” i w te same miejsca chowają umówiona zapłatę. Komentantem w celi jest skazany na rok więzienia obywatel włoski, urzędnik konsulatu włoskiego. Nosi on nazwę „Soba Gazda”. Ciekawe, że karę odbywa we własnym ubraniu – jak zresztą wszyscy inni więźniowie. Z Czechami śpiewamy często piosenkę – Czeska heska polka od Podlahy.

24.V

Zaraz w pierwszym dniu aresztowania udało się Piątkowi dostać i wysłać kartkę do ojca, który pracował w konsulacie. W kartce tej prosił o pomoc. Przysługę tę wyświadczył pewien adwokat – Żyd z Warszawy, który za widocznie wręczoną łapówkę kierownikowi sali przyjąć mógł podać swemu klientowi paczkę. Bezczelność i stopień złodziejstwa ilustruje fakt, że dygnitarz ten nie zawahał się uprzednio w szufladzie przeliczyć otrzymanej łapówki. Łudziliśmy się też nadzieją, że Ci którzy szczęśliwie dostali się do konsulatu będą czynić starania o nasze zwolnienie. Niestety – tak nie było. Przed południem zostaliśmy nieoczekiwanie wezwani do sali odwiedzin. Zastaliśmy tam radcę z polskiego konsulatu, Sokołowskiego – który co kilka dni zjawia się w więzieniu, przegląda spisy aresztowanych, a potem stara się – oczywiście za łapówkę, o widzenie z uwięzionymi Polakami. Składamy mu krótkie sprawozdanie.

Pokrzepia nas na duchu i nakazuje zeznawać w czasie śledztwa, że jesteśmy cywilami i nic wspólnego z wojskiem nie mamy. W drodze powrotnej umieszczono nas chwilowo w celi włóczęgów. Oglądamy pięknie fabrykowane z chleba butelki – zdobne w kolorowe obrazy i rzeźby. Wyrabiają też szachy i warcaby. Przyglądamy się grze zwanej wyścigi konne. Asygnowanie przegranej odbywa się przez bicie po gołym tyłku. Najsilniej walił kuternoga, barczysty lecz bez nogi. Delikwent ledwo wstał, ale to mu nie przeszkadzało, że z zapałem zasiadł do następnej partii. Pełno tu ułomnych obdartusów. Jedzenie bardzo marne, sprzęt i warunki higieniczne niżej krytyki.

Dzisiaj też zostaliśmy szczepieni. Na skutek interwencji radcy Sokołowskiego, zarząd więzienia przeprowadza dochodzenia w sprawie Piątka i pieniędzy Donarskiego. Wynik rewizji wśród straży nie dał żadnego rezultatu. Jasne jest, że wszyscy kradną, a potem się dzielą. Natomiast policzka ukryć się nie dało. Naczelnik więzienia zawyrokował, że o ile Piątek sobie tego życzy, to sprawę skieruje do sądu, wyjaśniając, że do tego czasu musi Pan przebywać w więzieniu. Skończyło się tak, że Piątek z oskarżenia zrezygnował, a w zamian widocznie za to – uzyskał wolność.

Dwie godziny po odejściu Piątka przyniesiono do celi paczkę dla niego od znajomych. Była tam czekolada, ser, chleb, pasztetówka i boczek. Znikome ilości podzieliliśmy na nas pięciu. Momentalnie zostało wszystko zjedzone. Doniesiono nam również, że konsulat złożył dla nas 30 pengów na chleb. Dziadek Donarski (52 lata) nabiera humoru. Spokojniejszy sen z myślą o wolności i jutrzejszych możliwościach zakupów w sklepie więziennym pokrzepia nas.

25.V

Sobota dłuży się okropnie. Dzień mija według ustalonego szablonu. Panuje ponura i przewlekła procedura więzienna. Znajdują się też między nami Niemcy z Jugosławii, Rumunii i Austrii. Drogi ich krzyżują się. Jedni podążają do Hitlera; inni uciekają przed nim. Mają zupełnie różne zapatrywania. Przychodzi do bójki z elegantem – zagorzałym zwolennikiem narodowego socjalizmu. Dostał od nas porządne baty i gdyby nie interwencja dozorczy – nie wiadomo co by się z nim stało.

26.V

Niedziela. Na próżno czekamy na szejtę i możliwość pójścia na mszę św. Wyjaśniają, że dzisiaj jest dzień odwiedzin i doręczania poczty – przeto spaceru nie będzie. Psioczy-my, że i piątek zapomniał o nas. Czas się dłuży. Liczymy godziny i minuty. Dla zabicia czasu poznajemy bliżej współtowarzyszy doli i niedoli. Ciekawym okazem jest „Miśkarz” zwierząt i ludzi..., Rusin z Rusi Przykarpackiej. Opowiada, że raz na zamówienie przeprowadził pewnemu wdowcowi taką właśnie operację. Zapłacili mi za to dobrze. Jest też typowy dziad z Krynicy „Bartek”. W jego okryciu gnieźdzą się roje wszy. Dokuczają nam wszystkim, ponieważ koce składa się w dzień na jedno miejsce, a wieczór dostaje się zupełnie inny. Dziadek denerwuje się bardzo.

27.V

Zaprzyjaźnił się z nami obywatel węgierski, niejaki Tager. Opowiada o arcydziwnych metodach. Przed ośmioma miesiącami wyszedł bez czapki do kawiarni po przeciwległej stronie ulicy. Tam zastała go rewizja. Nie pomogły żadne tłumaczenia. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów. Nic z tego, że niedawno jeszcze pracował w węgierskim poselstwie w Algierze; do dzisiaj, mimo stałych próśb nawet go nie przesłuchano. Co więcej, nie może na domiar złego zawiadomić żony, gdzie jest i co się z nim dzieje. Później, gdy wychodziliśmy na wolność nadaliśmy kartkę do jego żony. Panuje tu duża rozbieżność i przepaść; między społeczeństwem, a organami bezpieczeństwa. Policja wynagradzana jest bardzo marnie. Miesięcznie otrzymuje 80 pengów, co równało się naszym 80 złotym. Niemniej jednak trzymają sztywny fason. Biały wysoki kołnierzyk – a jakże, na sztywno, białe rękawiczki i szabla.

28.V

Rozkład dnia przedstawia się następująco: o piątej pobudka. Godzina szósta szejta. Po 30 minutowym spacerze śniadanie. Ciepła woda na otrębach, z nieodzowną papryką i mały kawałek chleba 8-10 deka. O dziesiątej wizyta lekarska. Felczer z lekarzem przeglądają cele chcąc jedynie przekonać się, czy kto nie zmarł. Każdemu wrzuca

do ust jakąś pigułkę, czasami rycynus. O 12 obiad. Zupa z papryką, w niej parę pęczaków, kawałek chleba – 15-20 dkg., trochę grochu, albo soczewicy na gęsto. Łyżkę ziemniaków dali raz na osiem dni. W niedzielę nawet kosteczka mięsa wagi około 3-4 dkg. O godzinie drugiej ponownie półgodzinna szejta. O szóstej kolacja. Wodzianka i kawałeczek chleba, taki jak na śniadanie. Strawę podają w menażkach, bez żadnych przyborów; trzeba jeść palcami i popijać. O godzinie siódmej zbiórka na korytarzu i dokładne imienne sprawdzanie stanu. Przeczytany odchodzi zaraz do celi. Tam odbywa się teraz walka o łóżka i koce. Gawędzenie i hałas trwają do późnej nocy. Na sali panuje przeciąg, toteż wszyscy są poprzeziębiani.

W chwilach wolnych – długich wieczności godzinach, przy akompaniamencie pustego żołądka różne urozmaicenia; jak wzywianie do pracy, na dochodzenia, doręczanie poczty – no i zabawy w stylu więziennym. Największe i ogólne powodzenie ma „dupak”. Awantur i kłótni przy tej rozrywce bez liku. Przeważnie leją bez litości dezertera rumuńskiego – tęgiego, o słoniowatych ruchach dryblasza. Nim się podniesie, ten który walił już jest po drugiej stronie sali i najspokojniej rozmawia z innym. Poszczególne grupy prowadzą ożywione dyskusje. Jedni śpiewają, opowiadają; to znów na odmianę czytają szmuglowane gazety. Palenie jest surowo zabronione, ale zawsze ktoś przemyci jakiegoś papierosa, którego pali kilkudziesięciu. Na murku gorliwsi piorą bieliznę i polują na tłuste wszy. Są specjaliści, którzy z upodobaniem biją po ścianach i wężą pluskwy.

Chodzenie z kąta w kąt, oglądanie przez kraty słońca, beznadziejne nudy – mdłe horoskopy na przyszłość, tęsknota – nieopisany harmider i smutna rzeczywistość. Wprowadzają nowego Polaka, Kościńskiego z Brzozowa. Trzymali go w jeszcze gorszych warunkach w areszcie – Miskolc przez trzy tygodnie. Rugamy Antka, że zapewniał, iż w Budapeszcie nic nam już nie grozi, a tymczasem stało się zupełnie przeciwnie. Wytykają mu wszyscy, że można było tego wszystkiego uniknąć, gdyby chociaż słówkiem nadmienił o możliwości aresztowania. Ale stało się – dobrze jest jak jest. Mogło być znacznie gorzej.

29.V

Dzisiaj odeszli do obozu cywilnego Cebula i dwu innych Polaków. W celi zazdroszczą im wszyscy. Pojechali nad jezioro Balaton. Szczęśliwy dla nas dzień, wzywają naszą czwórkę do kancelarii więziennej. Tam zastajemy przedstawiciela konsulatu i trzech innych aresztowanych Polaków. Prosimy, aby spowodował wypłacenie nam pieniędzy, które na poprawę jedzenia złożył konsulat. Kwitujemy odbiór depozytów, a jutro czeka nas upragniony „Tolonc”, czyli wyjście z więzienia. Zapominamy o silnym przeziębieniu i rośniemy na duchu. Po południu prowadzą nas do fryzjera. Donarski w naszym imieniu w towarzystwie żandarma udał się po zakupy. Przyniósł parę bochenków chleba, słoninę, salami, mydło i małą paczkę papierosów. Okazuje się, że w węgierskich więzieniach panuje taki zwyczaj, iż strażnicy dzielą się po połowie zakupami więźniów. Zuchwałe złodziejstwo. Donarski nie chciał podpisać rachunku, lecz oświadczone mu, że w takim razie nic nie otrzymamy. Złodziejski rachunek podpisał i pobrał towaru jedynie za połowę pieniędzy. Dobrze było i to co przyniósł. Naję-

dliśmy się do syta, a reszta została na drogę. Humory wspaniałe. Kładziemy się spać z myślą o wolnym poranku.

30.V

Rażno podrywamy się na ostatnią pobudkę. Żegnamy uściskiem dłoni pozostających współtowarzyszy. Pod eskortą aż dwu strażników ruszamy na dworzec kolejowy. Na ulicy oglądam się i po raz ostatni odczytuję wyblakły napis: „Tolonc Has, Mossongi Utca 9”. Traf chciał, że na dworcu spotkaliśmy tego samego żandarma, który nas aresztował. Obrzuciliśmy go pogardliwym spojrzeniem i dobrze zapamiętaliśmy jego „maskę”. Po godzinie siódmej pociąg ruszył w kierunku południowym. Podziwiamy potężny i spokojny Dunaj, wodzimy wzrokiem po wyniosłej Cytadeli, gdzie również uwięzionych jest wielu Polaków – traktowanych jeszcze gorzej jak w Tolonc Hasie. Budę i Peszt oddziela Dunaj.

Pociąg mknie szybko malowniczym, nizinnym krajobrazem pełnym winnic, lasków akacjowych – po których uwijają się bażanty; i mija rzadko rozsiane domostwa. Po pastwiskach pasą się piękne, rasowe woły, krowy i stada świń. Podróżujemy oczywiście w „asyście” aniołów pod bronią. W wagonie jedzie wielu Polaków za paszportami. Janek prowadzi z jednym rozmowę, po czym okazuje się, że jest to krewny Basi. Za papierosy i tytoń, które rozchwycili nasi podróżni, zdobyłem pierwsze 14 pengów.

Na następnej stacji pijemy szprycera (wino z wodą sodową). W czasie postoju na stacji Kaposvar mieliśmy możliwość podziwiać przyjazd i powitanie wysokiego dostojnika. Grała orkiestra, a grono dostojnika otoczył tłum w pięknie jaskrawych strojach narodowych. Jest ładny, upalny dzień. Cel naszej podróży, miasteczko Csurgo (Czurgo). O godz. 15:00 policja oddaje nas notarowi (burmistrzowi). Po załatwieniu formalności „dziad magistracki” prowadzi nas na przydzieloną kwaterę. Ja z Jankiem zostajemy u pewnej, biednej wdowy, a Antek i Donarski w odległości kilometra, przy tej samej ulicy. Gospodyni oddała nam swój pokój z dwoma łózkami, na których piętrzyły się poduchy i pierzyny. We czwórkę udaliśmy się do świetlicy polskiej, gdzie mieściły się zarazem nasze władze organizacyjne. W chwilę po wejściu do świetlicy mieliśmy zajście z człowiekiem zarządu obozu. Stosunki uderzyły nas bardzo niemile. Mogliśmy zaraz przy stawianiu pierwszych kroków przekonać się, że siedzi tu klika, której dobrze się powodzi, nic nie robią, a odnoszenie się do nowoprzybyłych bardziej niż dziwne.

Na pytanie do kogo należy się zwrócić w sprawie szybkiego przerwania na stronę jugosłowiańską – popatrzył na nas z góry i odpowiedział, że za dużo od razu chcemy wiedzieć. Gdzie się Panom spieszy? Z kolei podniesionym głosem oświadczyłem mu, że na lotnisko tu nie przybyliśmy. Spieszy nam się tam, dokąd postanowiliśmy z kraju za wszelką cenę dojść. Od razu zmienia ton. Jutro dowiedzą się Panowie wszystkiego. Trzeba było od razu tak mówić.

W drodze powrotnej proszę na wino (bor). Po wypiciu kilku karafek języki się rozwiązały i na wesoło odgrzewamy nasze przejścia. Dwu muzykantów gra na cymbałach i skrzypcach Smutną niedzielę. Jankowi spływają z oczu łzy. Przed pójściem do łóżka – mówię do Janka, że najlepiej rozbierzmy się do naga, by nie zawsze być za pierwszym

razem pościeli. Mimo wygodnego i pachnącego świeżością łóżka zasnąć nie można. Myśli ulatują na trasę marszu i Dunaj. Dom staje mi żywo przed oczyma. Ty i dzieci – po prostu przy mnie. Słyszę wasz głos i ocieram się niemal bezpośrednio. Coś ściska za gardło, a łzy bezwiednie toczą się po policzkach.

31.V

Rano, pierwsza lekcja języka węgierskiego – odbywa się z naszą gospodynią na migi. Opowiadamy jej, że wyszliśmy z więzienia i dajemy do poznania, iż jesteśmy brudni i zawszeni. Rozumie nas doskonale. Zebrała naszą garderobę i zaraz wzięła się do prania. Po południu idziemy na polskie nabożeństwo majowe. Równocześnie wysyłałyśmy pocztę. Dziwią nas tutejsze zwyczaje. Na przykład, kobiety noszą wszystko na głowach. Ruch na ulicy lewostronny.

01.VI

W świetlicy dobijamy do zarządu. Poznajemy bliżej życie obozowe oraz polskich „uchodźców”. Słuchamy radia, są gazety i gry towarzyskie. Wypłacają nam po 20 pengów zapomogi. Dziadek się cieszy i zaprasza na wino. Litr dobrego wina kosztuje 80 do 100 filerów. Lekarz obozowy dał nam po 20 aspiryn na leczenie naszych dokuczliwych przeziębień. Codziennie, każdy osobiście musi o godzinie drugiej być obecnym u notara, gdzie sprawdzają stan i wydają kwity wartości dwu pengów na pokrycie kosztów wyżywienia i mieszkania.

02.VI (niedziela)

W Csurgo jest odpust. W czasie mszy św. śpiewamy nasze pieśni kościelne. Panuje powaga i skupienie. Na zakończenie ksiądz intonuje Boże coś Polskę. Kościół jest nowy i pięknie zbudowany. Główny ołtarz przedstawia serce Pana Jezusa. Podobnie jak u nas, przed kościołem porozstawiane są kramy z różnymi drobiazgami. Ponieważ na interwencję z konsulatu, Antek ma dzisiaj odjechać do Budapesztu, przeto piszemy na gwałt obszerne listy, które ma on zabrać. Po pożegnalnym borze, odprowadzamy go nocą na stację. Umówiłem się też z nim, aby mi z Budapesztu posłał pocztą 40 pengów, za które ma od Ciebie otrzymać 50 kg cukru.

03.VI

Kuchnia węgierska nam nie smakuje. Wszystko przepaprykowane i tłuste. Herbata i kawa są tutaj mało znane. Do każdego posiłku podają wodę. Dziadek mieszka osamotniony u Haholki Kömiwesza. Spotykamy się stale. Z zarządu organizacji tajnej otrzymaliśmy dzisiaj po 5 pengów na zrobienie zdjęć do paszportów. Fotografie wykonał umówiony zakład.

04.VI

Wiadomości z pola bitwy we Francji coraz gorsze. W miarę tego zmienia się też stosunek władz węgierskich i ludności cywilnej. Mówią otwarcie, że Francja i Anglia – przegrają wkrótce wojnę. Oczekujemy wiadomości od Antka.

05.VI

Męczą nas obozowe nudy i bezczynność. Wertujemy „Wieści Polski”, dziennik redagowany w języku polskim – wychodzący w Budapeszcie oraz artykuły pism w innych językach.

06.VI

Mieszkamy przy ulicy Josef Ter Utca Nr 11, u Pauliny Szanto. Jest to starsza niewiasta, zapracowana – bardzo nam życzliwa. Ma dwu synów. Starszy lat 28 jest fryzjerem. Młodszy – jest ułomny i upośledzony na umyśle. Ogromnie się cieszy, gdy z nim rozmawiamy. Nazywam go Paulem. Miasteczko Czurgo ma około 6.000 mieszkańców i jest siedzibą powiatu. Chodniki zrobione są z cegły, a każdy dom ma drewniane stopy w oknach. Żydzi posiadają piękne sklepy. Miasteczko spokojne, mało interesujące się losami świata. Blisko nas znajduje się ulica, przy której mieszkają sami Cyganie. W rynku jest kino.

07.VI

Ludność można podzielić na dwie warstwy. Jedna to świat możnych obszarników i baronów, często jeżdżących brykami z zaprzęgiem czterech par koni. Drugą reprezentuje biedny ludek pracujący. Warstwa średnia nie istnieje. Rewolucja w stylu Beli Kuna znów by się tu przydała. Rząd węgierski prowadzi politykę uległości – wobec potężnych sąsiadów. Społeczeństwo jest rozbite politycznie i każde ugrupowanie ma odmienne poglądy. Czynniki rządzące wysuwają stale pretensje terytorialne w stosunku do Rumunii, Jugosławii i Słowacji. Stosunek do Polaków jest w jednym przypadku nacechowany życzliwością i wdzięcznością, w drugim są zakłopotani i niezdecydowani.

08.VI

Starszy obozu, inż. Stasziewicz – podlega węgierskiemu komendantowi, który jest zarazem obernotarem. Każe nam w interesie ogólnym – czekać cierpliwie. Wiadomości radiowe – fatalne.

10.VI

Dzisiaj otrzymałem pieniądze od Antka. Włochy wypowiadają wojnę Anglii i Francji. Wśród nas – ogólne przygnębienie. Po podstępnych i zdradzieckich pociągnięciach rządu włoskiego, pałamy do nich uczuciem nienawiści i pogardy. Na twarzach zwolenników niemieckich maluje się radość. Wypowiadają się ostro i złowrogo pod adresem aliantów.

11.VI

Na skutek niepomysłnych wiadomości z frontu znać u Polaków zdenerwowanie. Jutro staje się niepewne; a widoki na dalszą tułaczkę coraz czarniejsze. Z niepokojem oczekujemy paszportów, bądź pomyslnych rozkazów.

12.VI

Idę do spowiedzi i komunii św. W życiu Polaków istnieją różne fermenty. Są tacy, którzy ani na chwilę nie myślą się ruszać poza Węgry – bowiem tutaj powodzi im się lepiej jak w Polsce, nie trzeba nic robić; a w Syrii, czy Francji – czeka wojsko i wojna. W naszych oczach zdarzył się wypadek; ze trzech ludzi wyznaczonych na dzisiaj do przejścia granicy – podniosło wobec wszystkich na zbiórce u notara krzyk. Co, chcecie nas wysłać pod nóż? Nie idziemy nigdzie. Dajcie przykład i sami idźcie pierwsi, a my dopiero pójdziemy za Wami. Rezultat był taki, że zapisali się na listę powrotu

do kraju. Dziwnym wydało się takie postępowanie. Tych, którzy nie chcieli iść dalej, po prostu siłą się wypycha, zaś nam, mimo starań i zabiegów – przedostanie się do Jugosławii, utrudniali i opóźniali. Naród węgierski nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa toczącej się wojny. Pracują w nadziei, że kraj ich nie zostanie bezpośrednio dotknięty wojną, a tym bardziej naruszony. Są niemal pewni, że czekają ich zdobycze terenowe, do których roszczą sobie pretensje.

13.VI

Idziemy z Donarskim na cygański pogrzeb katolicki. Uroczystość cechuje powaga, solidarność i tłumny udział współbraci w ostatniej posłudze. Nędza i łzy dzieci budzą współczucie. Ładna trumna i krzyż na karawanie. Nad grobem wszyscy się modlą. Orkiestra cygańska wykonuje ostatnie pienia żałobne. Prowadziła ona orszak pogrzebowy od domu, aż na odległy cmentarz.

14.VI

Nasycaamy się w dalszym ciągu papryką i gasimy pragnienie winem. Codziennie wczesnym rankiem rozlega się trąba rogowa (buczenie), na zbiórkę świń. Wypasane są całymi stadami na pastwiskach, pod nadzorem pastucha i psów. Wieczorem każdą odrywa się przed swoim chlewem. Kwik słychać już na odległość. Krów na trawie nie pasą. Często widzimy duże transporty wspaniałych wołów, wysyłane koleją do Niemiec.

16.VI

Słoneczna niedziela. Na targu kupujemy czereśnie i truskawki. Po obiedzie idziemy na mecz piłki nożnej między drużyną polską, a węgierską. Wynik 2:2. Sympatia publiczności cały czas po naszej stronie. Wielka radość, otrzymaliśmy wieczorem listy od Was. Rozpogadzamy się i strasznie cieszymy. Zapał do dalszych trudów potęguje się. Podobno nadeszły też nasze paszporty. Francja prosi o honorowy pokój z Niemcami i Włochami.

17.VI

Myślamy jesteśmy przy Was i o kraju. Piszemy do Was kartki. Spodziewamy się Antka, który według umowy z nami, miał nam przynieść listy od Was.

18.VI

Wysłałem kartkę do Ameryki, na adres Zosi. Nocy wczorajszej usiłowała grupa naszych przekroczyć granicę. Wsypali się na całego. Dzisiaj przez Czurgo „Koguty” przeprowadzili około 60 tych biedaków, popychając i bijąc kolbami ustających. Dwóm młodym chłopakom udało się zbiec. Nastrój smutny. Wyczekiwanie na naszą kolejkę nuży nas bardzo.

19.VI

Zaczynamy się zastanawiać, czy moglibyśmy próbować szczęścia na własną rękę. Do granicy jest raptem 7-8 km. Ale Janek nie chce się na to zdecydować. Byłem taki wściekły, że sam poszedłem do komendanta obozu, urządziłem awanturę i oświadczyłem mu, że dłużej nie czekamy i bez żadnych dokumentów idziemy na własną rękę. Przeszliśmy już tyle granic, to i tą przejdziemy bez pańskiej pomocy. Następstwa nie

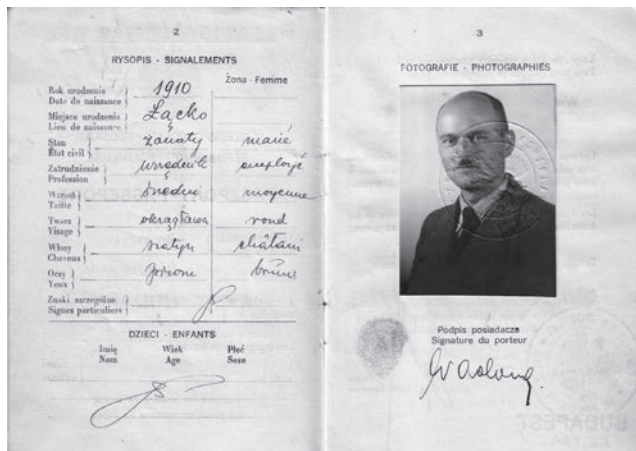
dały na siebie długo czekać. Po obiedzie wezwali nas z Jankiem do kancelarii, wydano nowe ubrania, półbuciki, kapelusze, krawaty i poinformowali nas, że jutro wyruszymy. Dziadka który na tę wiadomość posmutniał pocieszamy i mówimy mu, że i jego kolejka nadejdzie szybko.

20.VI

Żegnamy się z gospodynią wyjaśniając, że jedziemy nad jezioro Balaton celem leczenia przestarzałego przeziębienia. Domyśla się jednak, że idziemy do Jugosławii. Daje nam na pamiątkę obrazki i razem z Paulem w ryk. Wracamy jednak z powrotem, ponieważ dzisiaj transport nie może odejść, gdyż są sygnalizowane na dzisiejszą noc obławy. W domu mówimy, że brakło w kasie pieniędzy i dopiero jutro, po wypłacie będziemy chcieli wyjechać.

21.VI

Bierzemy ostatni raz kartki u notara i o godzinie 15:30 w towarzystwie Donarskiego, który nas odprowadza, ruszamy własnym przemysłem do miejscowości Szamoudwajhej, na przełaj, przez pola, około 14 km. Przed Berezence pożegnał nas Donarski. Byliśmy tak zżyci, że i jemu zakręciły się łzy. Rzeczy nasze zabrał komendant obozu na samochód, abyśmy nie zwrócili na siebie uwagi celników. Idziemy bardzo ostrożnie i czujnie. Mijamy ładne, przydrożne winnice i pola. Obchodzimy Berezence, koszary celników i wydostajemy się na drogę do celu, która przedstawia piękną aleję włoskich topoli. Donarskiego żałujemy. W końcu skradamy się ku wsi granicznej. Tam zetknęliśmy się z Polakami u ogrodnika. Mieliliśmy list od komendanta z Czurgo. Poinformowali nas gdzie mamy z tym iść oraz oświadczono, że dzisiaj w nocy pójdziemy.



Dopisują nas na koniec zakończonej listy i wypłacają po 100 dinarów. Wyznaczają nam tymczasową kwaterę.

Otrzymaliśmy wprawdzie oryginalne paszporty, lecz granicę będziemy przechodzić na zielono. O godzinie 23:30 ruszamy na umówiony punkt za wsią. Jest piątek – piękna księżycowa noc. Posuwamy się bardzo ostrożnie. Psy we wsi ujadają. Uwaga! Na drodze widać światło i rower. To strażnik. kryjemy się za płoty. Widma przesuwają się

chyłkiem ze wszystkich stron. Na punkcie zbornym jesteśmy jedni z pierwszych. Siedzimy cicho, śledząc uważnie zbliżające się postacie. Przewodnik węgierski za czasów austriackich był w Polsce. Liczymy minuty. Co jakiś czas księżyc chowa się za chmury. Trawi nas pytanie – czy uda się? Ostatnie uwagi: nie palić, zdjąć jasne płaszcze i iść cicho, trzymając się gęsiego.

22.VI

Ruszamy o godzinie 00:15. Sobota – Dzień Matki Boskiej, powinno się wszystko udać. Ścieżka przez akacjowy las, wychodzimy na drogę, mijamy przejazd kolejowy – szarpę, słysząc ujadanie psa, przechodzimy mostek na kanale i łąkami podchodzimy do małego bagnistego strumyka. Pies szczeka coraz bliżej. Przewodnik informuje, że właśnie ten strumyk to granica. Ściągamy obuwie i brodzimy w bagnie. Na stronie jugosłowiańskiej wychodzimy wprost na placówkę straży granicznej. Sprawdzają nasze dokumenty i ilość osób. Jest nas 26. Strażnik odprowadza nas do placówki, a w końcu na posterunek żandarmerii, we wsi Zdale. Z niepokojem czekamy do rana na komendanta i jego decyzję. Dwoma furmankami odwożą nas wzdłuż granicy do miejscowości Gola, Gotalowo – promem przepławiamy się przez Drawę do stacji kolejowej Drnie.

Dokucza pragnienie, bowiem słońce praży przez cały czas drogi. Zatrzymujemy się przed restauracją Polki z Przemyśla. Długo i na próżno czekamy na posterunku. W rezultacie oświadczają nam, iż otrzymali rozkaz z Belgradu, aby nas wrócić do miejsca przekroczenia granicy i z powrotem przerzucić na stronę węgierską. Wiadomością jesteśmy przybici. Paszporty znajdują się w rękach policji. Snujemy różne pomysły i plany. Na ósmą wieczór jesteśmy znów w Zdale. Ucieczka była niemożliwa, ponieważ konwojowało nas dwu policjantów. Tu zastajemy inną grupę Polaków, którzy zatrzymani zostali na innym odcinku. Ja decyduję się w najgorszym wypadku zbiec w las i namawiam do tego Janka. Układając nasz plan ucieczki spotykamy w pewnym momencie Filipa Plechtę.

23.VI

Po północy nadjechał samochód z Zagrzebia. Przybył nim nasz przedstawiciel z konsulatu. Po wręczeniu łąpówki, zamiast odesłać nas na stronę węgierską, sami pomagają i odprowadzają ku Drawie, gdzie czeka już na nas przewoźnik, a po drugiej stronie rzeki – furmanki do stacji kolejowej Virie. Drawa jest potężną rzeką, większą od Wisły. Płyń w prawo i tworzy dużo zdradliwych wirów. Spieszmy się, by zdążyć na pociąg odchodzący o godzinie 06:20. Mijamy miejscowość Molve i zajeżdżamy przed stację. Ledwo zdążyliśmy kupić bilety, a już na dworcu zatrzymał się pociąg. Wagony przepełnione. Krajobraz zupełnie podobny do naszego. Godzina 11:50 załatwiamy już formalności w konsulacie polskim – stolicy chorwackiej Zagrzeb. Na przydzielonych kwaterach otrzymujemy ciepłe jedzenie.

24.VI

Piszę do Ciebie i Zosi. Dla zmylenia cenzury o odwrócenia od Was podejrzenia podpisałem się Zofia Zakrzewska.

25.VI – 9.VII

Mieszkamy przy ulicy Trianskiej, w domu emigracyjnym Towarzystwa Francuskiego. Tęsknimy i niepokoiimy się różnymi wersjami oraz niepowodzeniami na froncie. Na kwaterze nudy niesamowite. Kojarzą się przeróżne pragnienia, wizje i ogarnia żal. Zwiedzamy z Jankiem piękne miasto, ogród zoologiczny, parki, ogród botaniczny, muzeum etnograficzne i wiele innych osobliwości. W niedzielę idziemy na nabożeństwo do katedry. Mszę św. odprawia biskup. Chodzę do kina i często przyglądam się ruchliwej karuzeli. Niemal codziennie jesteśmy na plaży, zażywając kąpeli w rzece Sawie oraz bierzemy kąpiele słoneczne. W czasie spacerów oglądam piękne wystawy, marzę i obserwuję życie dużego miasta. Gdy patrzę na wypchane po brzegi sklepy, przed oczyma mam dom, Polskę i czasy przedwrześniowe. Teraz mógłbym wszystkiego nakupić, ale nie ma znów pieniędzy. Zdarzył się wypadek kradzieży w naszym domu. Na sprawcach dokonano samosądu. Tak zbitych ludzi nigdy przedtem w życiu nie widziałem. Od 8.VII. zaczął się kurs języka angielskiego. Wybraliśmy się też w odwiedzinach do Plechty, który znalazł gościnne przyjęcie w jednym z klasztorów, lecz nie zastaliśmy go, bowiem wyjechał na dalsze studia teologiczne do jednego z seminariów na prowincji. W międzyczasie rozdzielono nas z Jankiem, który został przeniesiony na kwaterę oficerską. Tak więc i tutaj robią już różnice.

10.VII

Mam służbę na sali i bramie z Drożdżikiem. Przy bridge'u poznaję niejakiego Błaszczaka. Jego wyczyny są bardzo dowcipne. Patrzę na niego jak na typową ofiarę losu. O Was myślę stale, toteż śnicie mi się często. Stacha: Twego ulubionego specjału – kremówek, jest tutaj w bród. Są dobre i takie tanie.

12.VII

Myślami jestem stale przy Was. Często zadaję sobie pytanie, czy złoty zegarek, bielizna i inne drobiazgi kupione na Węgrzech będą Ci kiedyś doręczone. Może być również, iż w ogóle o tym wiedzieć nie będziesz. Nawet teraz, w tych ciężkich czasach, ograniczam dla siebie wszystko, by tylko Wam sprawić radość i dać dowód, że jesteście dla mnie wszystkim. Na wyżywienie otrzymujemy po 30 dinarów dziennie. Od biedy za 20 można wyżyć, a 10 zaoszczędzić. Dzisiaj byliśmy w łaźni, a potem opalaliśmy się nad Sawą.

13.VII

Chodziłem do spowiedzi. Zapisałem się na kurs języka niemieckiego. Rozmyślam i rozpaczam nad faktem, który oderwał mnie od Ciebie i dzieci. Trawi mnie żal i straszna tęsknota. Zatrzymuję się na widok matek prowadzących swe ładne i rozbawione dzieci. Staram się rozmawiać z miłymi bachorami. W każdym dopatruję się podobieństwa do Dziuni i Zygmunia i wtedy czuję, że serce mi się żywcem rwie.

14.VII (niedziela)

Jest piękny, słoneczny dzień. W kaplicy sióstr Dominikanek przystępuję do Komunii św. Prawie w każdą niedzielę staje mi przed oczyma wyobraźni wizja domu. Po godzinie jedenastej, Ona w czystym fartuchu „urzęduje” w cichej, zaciemnionej kuchni. Coś

tam obraca, to znów na stolnicy robi... roześmiana z tajemniczą miną... coś widocznie knuje. Oczywiście zanosi się na jakąś lepszą leguminę. Niby zła przez uśmiechnięte oczęta – zda się mnie pytać po cos tu przylazł? W pokoju stół przykryty pięknym, złotym obrusem, czeka zastawiony świąteczną przystawką. Nie brak do kompletu i Babci, którą mimo pewnych wad lubię i chętnie przebywam w jej towarzystwie.

Czujemy się dobrze i chyba szczęśliwie. A dzisiaj? A teraz? Pamiętam i żywo stają mi przed oczyma duszy niezapomniane chwile po obiedzie. Ty masz przynajmniej przy sobie dzieci, zajęcie z nimi i z gospodarstwem. A co mam z sobą zrobić ja? Naprawdę czuję wokół siebie pustkę i jest mi strasznie duszno. Stacha! Wołam Cię...! Tak bardzo pragnę przy Tobie i z Tobą być...

Po obiedzie idę do ogrodu botanicznego, gdzie podziwiam w akwarium złote, żółte i czarne rybki. Deptakami snuje się pełno przechodniów. Z pobliskiego lokalu dolatują tony pięknej muzyki. Z Drożdżikiem idziemy na plac karuzeli, gdzie w czasie przyglądania się wariackim wybrykom zajadamy świeże zielone figi. Wieczorem byłem w kinie.

15.VII

Dzisiaj wysłałem kartkę do Zosi.

16.VII

Pomału, przeciągłe melodie południowe zaczynają mi się podobać. Jestem zupełnie czarny, do tego stopnia, że od opalenia kawałkami łuszczy mi się skóra. Chwilami jest mi tak ciężko, że wolałbym nie myśleć o domu. A tyle przecież mnie z nim łączy... Czy go jeszcze kiedy ze wszystkim zastanę? Boże! Rozstania naszego nie doceniałaś. Być może, iż było ono ostatnie. Myślam i jestem przy Was. Idę do kościoła, jak zwykle w to samo miejsce. Zaglądam do fabryki i razem spacerujemy po polnych miedzach... Widzę nasze piękne jabłonie i śliwy. Zieleń i biel w ziemniakach... kołyszące się łany zbóż... a Ciebie ufna we mnie. Dziunię i Zygmutia mimo, że tej właśnie przyjemności na spacerach w polu z malutkim jeszcze synkiem nie zaznałem. Boję się o Ciebie i zagryzam wargi na myśl, czy Tobie z ich strony nie dzieje się jaka krzywda. Myślę o tym, czy zdołam pomścić Gustka i tyle, tyle innych gwałtów oraz bezprawia. Stacha! Trzymaj się. Miej wiarę w przyszłość. Dzieci pilnuj i w miarę rozwoju uświadamiaj. Powiedz im, że ich ojciec dla nich i dla ojczyzny musiał odejść w dalekie, nieznane kraje, by wykuć ciężką, żołnierską tułaczką lepsze jutro i jutrzeńkę swobody. Za splugawione świątynie pańskie i bluźnierstwa – Bóg wcześniej czy później wymierzy im sprawiedliwą karę.

17.VII

Dzisiaj wizytował nas ksiądz biskup Radoński. Janek i ja wieczorem byłem na winie z Hołym, Żytkowiczem i Drożdżikiem. Wypiliśmy cztery litry i ledwośmy doszli do domu.

19.VII

I znów myśli ulatują ku Tobie, naszym przeżyciom – radościom i smutkom. Tęsknię za minioną przeszłością i cierpię.

20.VII

W dniu dzisiejszym policjant jugosłowiański zastrzelił na ulicy umyślowo chorego Polaka. Inny znów utopił się w Sawie. Bieliznę piorę sobie sam w czasie kąpieli w Sawie. Na ogół jest tutaj bardzo tanio. Pieczywo jak słońce. Czarnego chleba nie wypiekają nawet na lekarstwo. W jadłodajniach przy obiedzie można jeść chleb bez ograniczenia. W naszej dzielnicy Trnie – jedno ze stronnictw politycznych urządziło obchód narodowy. W blaskach różnokolorowych lampionów, stroje narodowe wypadły nader uroczym i wspaniałym. W czasie pochodu i przy ogromnym ognisku, tłum śpiewał z werwą i życiem piękne chorwackie piosenki.

21.VII (niedziela)

Kazanie po polsku. Po podniesieniu ksiądz intonuje *Z tej biednej ziemi*. Ta piękna i potężna pieśń wyciska mi łzy z oczu. W czasie Mszy św. myśłami jestem przy Was – i o Was. Zadaję sobie pytanie, czy Boże Narodzenie zastanie nas przy nowym, wspólnym stole wigilijnym, o którym pisałaś. Dzisiejszej nocy śniłem dużo o Tobie. Na zakończenie nabożeństwa śpiewamy *Boże coś Polskę*.

22.VII

Piszę i wysyłam list do Ciebie. Ciekawym, czy go dobrze zrozumiesz. W trakcie pisania, parokrotnie robiłem przerwy, bo łzy nie pozwalały mi pisać. Wzruszenie brało górę. Jugosłowianie strasznie brzydko przeklinają. Nadużywają szczególnie imion boskich.

23.VII

Pisałem do Was. Nic też dziwnego, że całą noc miałem bezsenność. Nękały mnie koszmarne widziadła, a Ty ukazywałaś się w różnych okolicznościach. Chwila przebudzenia była ciężka i straszna. A Ty? Śpisz może spokojnie w wygodnym łóżku i masz przy sobie Zygmunta i Dziunię. Otacza Cię ciepło... Ale mimo to, i Ty miewasz podobne wizje, urojenia oraz pragnienia.

24.VII

Odprawa i przegląd lekarski.

25.VII

Wysłały kartkę do Donarskiego i Budapesztu dla Antka Marka. Niejaki Baumgarten, który dopiero teraz dostał się do Zagrzebia – przynosi nam wiadomość o Donarskim; obecnie jest w obozie Natkanisza. Opowiada też o góralu, który posłał Donarskiemu 50 pengów. Miał również wysłać jakieś listy przyniesione z kraju. Domyślamy się, że chodzi tu z całą pewnością o Antka Marka. Cieszymy się bardzo, bo skoro Antek przyszedł ponownie na Węgry, to w takim razie doręczył Wam nasze listy. Żyjemy w nadziei, iż przyniósł dla nas odpowiedzi. Dlatego też napisaliśmy do Łopatki w Budapeszcie, prosząc go, by pocztę przyniesioną przez Antka wysłał nam do Zagrzebia. Do łaźni chodzimy co tydzień. Litr dobrego wina kosztuje tutaj 10 dinarów, a mała szklanka piwa 5.

27.VII

Dzisiaj byliśmy na nabożeństwie za poległych. Gdy patrzę w czasie lekcji na kursie języka niemieckiego po ścianach, na których wiszą piękne, propagandowe fotografie

Polski, ze szczególnym zainteresowaniem zatrzymuję się nad fragmentem Pienin. Zawsze w tych chwilach staje mi przed oczyma przełom Dunajca i nasza cudna, a zarazem jedyna wycieczka w Pieniny z Tobą „poczętym Zygmuśkiem” i Dziunią. Czy mogę słowami wypowiedzieć na papierze mój żal, moją tęsknotę i moje pytanie, czy jeszcze kiedy wrócą te dni, gdy wprawna ręka góralska prowadzić będzie pewnie małe, wywrotne łódki po burzliwym przełomie Dunajca. Nie mogę więcej oddawać się wspomnieniom, bo coś ściska mi gardło, a łzy leja się strumieniem. Sobota. Myślę o Was bardzo dużo. Szczególnie o Tobie. Tak strasznie cierpię. A Ty? Boję się o Ciebie, czy wytrwasz oraz zostaniesz taką, jaką Cię zawsze pragnąłem widzieć.

28.VII (niedziela)

Ileż wspomnień, porównań i tęsknoty... Chodzę jak błędny nie mogąc się niczym zainteresować.

31.VII

Śniłem dużo o Tobie i domu. Obudziłem się uprzytamniając sobie smutną rzeczywistość. Jest mi ciężko i tak bardzo brak Ciebie, dzieci i domu.

01.VIII

Janek dopiero dzisiaj zmienia kwaterę. Julek „Gędzba” (Żytkowicz z Zakopanego) odjeżdża dzisiaj do Belgradu w charakterze kwatermistrza. Coś się widocznie znacznie. Wieczorem spotykam się z Henrykiem Krzywdzińskim, który wrócił ze Splitu. W paszporcie Janek ma wizę do Francji, a ja do Syrii. Ponieważ Francja zawarła z Niemcami pokój, nasze wizy nie mają żadnego znaczenia. Dlatego też, wszyscy ci, którzy mieli wyjechać drogą morską ze Splitu do Francji, czy Syrii – obecnie wracają do Zagrzebia, by innymi drogami dostać się do armii polskiej. W nocy – przed kinem na Trianskiej widzę malutkiego chłopczyka jak wyciąga rączkę i woła: Tata! Ojciec bierze go za rączkę z jednej, a matka z drugiej strony. Jest prawie taki duży jak Zygmuś. Stacha! Ile żalu i goryczy... Tyle myśli, pragnień, cierpień – sennych i złudnych marzeń ulatuje w cichą niczym nie zmaconą noc...

03.VIII

Byliśmy z Henrykiem w kinie. Film osnuty był na tle życia sieroty dziewczynki, podobnej do Dziuni. Serce mi ściskało i łąły się łzy na myśl, by kiedyś naszych dzieci los tak nie doświadczył.

05.VIII

Otrzymaliśmy kartkę od Donarskiego bez żadnych wiadomości o Antku. Niecierpliwie i niepokoje się brakiem odpowiedzi na wysłane do Was listy. Janek ma dzisiaj odjechać do Belgradu. Po wielu zabiegach udało się zmienić postanowienie w ten sposób, że jedziemy razem. W naszej sprawie pomógł wiele niejaki pan Patyna. Po południu dano nam znać, że wyjedziemy dopiero jutro.

06.VIII

O godz. 08:20 pociąg ruszył z Dworca Zagrzebskiego. Żegnamy gościnną Chorwację. Patrząc ze smętną zadumą na mknące domy, pola, Sawę; myślę o Was i o tym, że zamiast zbliżać się ku Wam, los niesie mnie w nieznaną... Coraz dalej i dalej... A kiedy

i czy wróć, Bóg jedynie raczy wiedzieć. Na polach już pusto. Po żniwach. Jedynie zielenią się łany kukurydzy. Rankiem padał drobny deszcz, a później wyrobiła się pogoda słoneczna. Zaczyna się upalne południe. Ciężko mi na duszy i sercu, że jedziemy bez wieści od Was. Z mknącego pociągu widnieje daleki horyzont. Nizina zamknięta pasmem górskim. Myślę, porównuję, tęsknię – to znów rozrzewniam się... A pociąg lekko i falisto w pulmanowskim wagonie unosi nas hen! Ku krańcom Bałkanów. Serbia... Słoneczników długie rzędy... Po ścierniach pasą się krowy o bardzo dużych wymionach. Tu i ówdzie spotyka się już Serbów jeżdżących wierzchem na osiołkach. Mijamy piękne i bujne winnice. Po kontroli w pociągu polecono nam zameldować się w komisariacie policji. Według nieoficjalnych informacji, po krótkim postoju w Belgradzie, czeka nas droga dwu dni i nocy; prawdopodobnie do Palestyny. Jeszcze w Zagrzebiu uprzedzono nas, że na dworcu w Belgradzie będą czekali nasi ludzie, którzy wyprowadzą nas z dworca kolejowego w bezpieczne miejsce. Ludzi tych poznamy po czerwonych kwiatkach umieszczonych w klapach marynarek.

Godzina 20:05, wysiadamy z pociągu. Z łatwością odnajdujemy „czerwone kwiaty”. Wszyscy gromadzą się wokół nich. W pewnym momencie zauważam jakieś podejrzane ruchy. Mówię do Janka – zmykajmy. Ciągnę go za rękaw, lecz on twierdzi, że tutaj niż nam nie grozi. Dla pewności oddalam się parę kroków w prawo i w tym momencie widzę, że cała grupka jest otoczona i aresztowana. Ja z kilkoma innymi więcej w stronę wyjścia. Siłą przepychamy się koło biletera i wypadamy przed dworzec. Tu natrafiam na Julka Zytkowicza, który po zapoznaniu się z sytuacją prowadzi nas do małego parku przed dworcem, a sam wraca, by ściągać innych, którym udało się zbiec. Później okazało się, że wsypał nas policjant, który dla bezpieczeństwa jechał z nami z Zagrzebia do Belgradu.

W czasie drogi policjant ten zaczął z naszymi grać w karty. Przegrał wszystkie pieniądze i w odwet za to zameldował przedstawicielowi Gestapo o naszym transporcie. Na kwatery prowadzi nas Julek. Po drodze obserwuję prześliczną harmonię odbijających się różnokolorowych świateł w Dunaju i wspaniałe blaski neonów. Podnieceni mkniemy... Martwię się o los Janka. A Dunaj cicho, groźnie, a zarazem melancholijnie płynie sobie beztrąsko. Jego spokojną taflę rozbijają falujące statki. Po przyjeździe na kwatery pytam się w jaki sposób pomóc przytrzymanym. Zapewniają nas, że reszta wnet nadejdzie, bowiem nasz konsul interweniuje już w tej sprawie. Po pół godzinie jest i Janek. Gawędzimy z Julkiem. Jutro może wyjedziemy dalej. Kwatery jest wygodna.

07.VIII

Idę do łaźni. Po obiedzie dowiadujemy się, że dzisiaj razem z Jankiem wyjeżdżamy do Grecji. Robię zakupy na drogę. Stacha! Ile myśli o Tobie i o Was... Na odprawie omawiają organizację wyjazdu transportu. Międzynarodowy pociąg rusza o godz. 23:40 ze stolicy Jugosławii. Jest to pociąg pospieszny, który zdąża do Salonik w Grecji. Usadawiłem się na górnej siatce przeznaczony na bagaż i otwarłem oczy dopiero o godzinie piątej rano.

08.VIII

Pogoda upalna. Okolice bardzo biedne. Pociąg mknie jak strzała, to znów zwalnia na zakrętach i pod górę. W separacie gorąc nie do zniesienia. Wychodzę na korytarz. Krajobraz zmienia się. Nagie góry bez trawy, to znów słabo porośnięte, o dzikich zarysach. Nędzne chaty, wokół których znajdują się łąny tytoniu. Im dalej, poczynają pojawiać się meczety z minaretami. Mężczyźni w fezach, a kobiety z czarnymi zasłonami na twarzach. mięso pieką na rożnach. Omłot zboża odbywa się przez deptanie końskie, osłe, bądź krowie rozłożonego na klepisku zboża. Na stacji kolejowej Leskovic, trzy Polki z pobliskiego obozu pozdrawiają nas aż do zniknięcia pociągu. Wiedzą ku czemu zdążamy. Miały łzy w oczach.

Tor kolejowy ciągnie się teraz aż do granicy doliną rzeki, podobnej do kanionu. Po obu jej stronach wznoszą się strome, nagie skalne ściany górskie. Mijamy sześć tuneli i o godz. 14:15 jesteśmy na stacji granicznej Dzerdzeli. Po godzinnym postoju i rewizji celnej podjeżdża parowóz grecki i unosi nas za granicę. Belgrad jest pod każdym względem brzydszy od Zagrzebia.

Grecja... Urzędnicy greccy przy odprawie granicznej bardzo grzeczni. Krajobraz raptownie się zmienia. Ziemia urodzajniejsza, rzadkie i skąpe zaludnienie. Jedziemy krajem Hellenów... przez Macedonię. Godzina 18:31, pociąg zatrzymuje się na dworcu kolejowym w Salonikach. Na nocleg udajemy się do przygotowanego hotelu. Z okien trzeciego pietra rozpościera się widok na morze, a w dali kołysze się na kotwicy duży okręt. O piątej rano mamy mieć pobudkę, celem wyjazdu w dalszą drogę. Następnym etapem ma być Sztambuł. Mamy pokoik o dwu łóżkach razem z Jankiem. Mimo zmęczenia kapiemy się, by na rano być gotowymi do dalszej podróży. Przy otwartych oknach śpi się doskonale.

09.VIII

Budzimy się o godz. 7-mej. Okazuje się, że nasz transport jest wstrzymany. Idziemy nad morze i strugamy prawdziwych Greków, bo nie możemy się z nikim porozumieć. Przeważa tutaj znajomość języka francuskiego. Po obiedzie udajemy się łódką na morze. Z morza roztacza się piękny widok na miasto. Jest ono ładnie położone i duże. Po powrocie robimy w hotelu pranie. W dzień upał jest straszny. Leżę goły na łóżku i pocę się niesamowicie. Na noc za przykrycie służy jedynie białe prześcieradło. Wystarcza ono aż nadto. Jemy czerwone melony i białe arbuzy. Winogron, brzoskwiń, i różnych kawonów w bród. Wieczorem urządzam sobie z naszego okna łożę i oglądam film wyświetlany po gołym niebem po drugiej stronie ulicy. Dopiero teraz w Grecji czujemy się spokojnie. Bowiem podróżujemy już legalnie i oficjalnie, a zatem ze strony władz nic nam nie grozi. Kuchnia w Grecji znacznie gorsza.

Idziemy kąpać się do łaźni sprzed 550-ciu lat. W łaźni tej są dziwne malowidła i urządzenia. Po łaźni zwiedzamy z Jankiem ruiny odnawianej katedry z roku 412. Podziwiamy oryginalne mozaiki, które utrzymały się w stanie zupełnie dobrym. Następnie pniemy się w górę, do starej dzielnicy. Stoją tu antyczne domy. Wąskie uliczki, brud i nowoczesna bieda. O zmroku zachwycamy się morzem i obserwujemy światła Salonik. Dopiero o godzinie 8-iej wieczorem zaczyna się tutaj życie. Deptak przy morzu

po prostu faluje. Pełno spacerowiczów. W dzień z powodu spiekoty wszystko siedzi w domach. W czasie przejażdżki po morzu Grek, który nas wiozł pokazywał nam pływające po morzu meduzy (podobne do gąbki), które pieką niemal śmiertelnie. Oficerowie pobierają więcej pieniędzy. W mieście cały ruch kołowy odbywa się tylko nocą i wczesnym rankiem. Trudno jest zasnąć, ponieważż koła zaprzęgów łomocą głośno.

10.VIII

Godzina 05:00 pobudka. O 7-mej pociąg rusza ze stacji Tessaloniki. Jedziemy do Konstantynopola. Pogoda upalna. Mówią, że naszym celem podróży jest Palestyna via Irak. Znamiennym jest fakt, że w Jugosławii było stosunkowo bardzo dużo karczm. W wagonie śmiejemy się z tego, jak to Grecy nabili nas w „butelkę”. Raz na łódce, a potem przy kupnie brzoskwiń i melonów. Za łódkę pobrał Grek 10 drachm, zamiast umówionych pięć; do brzoskwiń włożono parę ziemniaków, no i za melona pobrano 30 – zamiast 15. Piwo w Grecji bardzo drogie. Wino tanie jak woda. Dziesięć drachm za litr dobrego i mocnego wina. Szalona różnica krajobrazu i pod każdym innym względem w stosunku do Polski. Stacha! Ile już razy myślami jestem z Wami. Śledzę Waszą pracę w zacisznej i chłodnej fabryce... Pragnienie dokucza, tak chętnie napiłbym się chociaż łyk, ale naszej wody. Jak dotąd, po Csurgo czujemy się dobrze, zdrowo i nic nam nie dokucza. Oczywiście, za wyjątkiem cierpień moralnych, a przede wszystkim; przeogromnej tęsknoty.

W tej chwili pociąg okrąża malowniczo położone jezioro Limi. Okolice górzyste. Warunki podróży dobre. I tutaj przejeżdżamy obok winnic, plantacji tytoniu oraz lasków morwowych. Na polach jest już jesień. O godzinie czwartej po południu mijamy rzekę Nestos i wjeżdżamy do Tracji. Tor kolejowy snuje się wzdłuż koryta rzeki i wysokich gór, podziurawionych tunelami. Do Morza Marmara naliczyłem ich aż 43. Z pasażerami greckimi i tureckimi prowadzimy rozmowy na różne sposoby. Bolą przy tym palce. Ciekawe jest zjawisko, że rozwój u małych dzieci jest tutaj bardzo szybki. Patrząc na góry i myślę o tym, co Wy teraz robicie? Jest godzina 19:00 – sobota. Ciekawym, czy zadajesz sobie pytanie, gdzie też obraca się Władek i co porabia. Wygląd żołnierza węgierskiego, jugosłowiańskiego, greckiego i tureckiego; w stosunku do naszego bardzo marny. O 23:00 jesteśmy na punkcie granicznym. Grecy robią rewizję i szczegółowo sprawdzają paszporty. Mam kłopot co zrobić z bielizną przeznaczoną dla Ciebie kochana, a kupioną jeszcze na Węgrzech. Z Belgradu do Tessalonik jechaliśmy bezpośrednio 20-cia godzin. Z Tessalonik do Istambułu, z jedną przesiadką na punkcie granicznym – 32 godziny.

11.VIII

O godz. 03:00 pociąg turecki rusza do Istambułu. Turcja europejska jest o wiele ładniejsza i urodzajniejsza od Grecji. Góry porośnięte są drzewami, widać więcej życia i ruchu. Po raz pierwszy widzę stado wielbłądów jednogarbnych i dużo bydła. Na każdym kroku spotyka się żołnierzy. Dłuższy czas jedziemy wzdłuż morza Marmara, które w niektórych punktach jest odległe od toru kolejowego zaledwie o parę kroków. Widać na nim statki i wielu kąpielowiczów na plażach. Im bliżej Istambułu, tym częściej i więcej spotyka się osobliwości; jak stare mury obronne, baszty, rowy średniowieczne – napełnione wodą, stare budowle i różne zakamarki. Na każdym miejscu widnieją

półksiężyc i gwiazdy. Przed wiekami ludzie ci wojowali z nami; byli niekiedy postrachem – a dziś? Szczerze podają nam dłoń, okazując niekłamaną życzliwość i sympatię. To o czym kiedyś skrycie marzyłem, dziś staje się rzeczywistością. Zbliżam się do krajoz egzotyki, a nasza piękna, żyzna i bogata ojczyzna zostaje coraz dalej i dalej...

Zazdroszczę Tobie, że jesteś tam i masz przy sobie dzieci. To znów martwię się o Was, i to mi bodaj najbardziej tu na obczyźnie dokucza. Kończą się Bałkany... Glinie Europa. Pociąg unosi nas ku Małej Azji. Morze Marmara widoczne jak na dłoni. W dali las minaretów... Jeden wyróżnia się specjalnie. To meczet o sześciu minaretach. Konstantynopol! Bez rewizji celnej idziemy do przystani. Przechodzimy po moście nad zatoką Złotego Rogu i zajmujemy miejsca na statku przybrzeżnym. Za małą chwilę statek lekko rusza, rozbijając głębinę morską. Bosfor!... Wsiadamy na azjatyckiej stronie. Kwatera mieści się w Domu św. Józefa, należącym do zakonu francuskiego. Po obiedzie idziemy z Jankiem, Drożdżikiem i Gęźbą nad Morze Marmara. Kąpiemy się. Woda jest bardzo słona. Po wyjściu z wody włoski na ciele białą się – wszędzie smak soli. W Grecji przesunęliśmy zegarki o jedną godzinę, a tutaj o następną. Na kolejowych stacjach tureckich sygnałem do odjazdu pociągu jest głos dużego dzwonu. Jest niedziela – wieczorem idę do spowiedzi.

12.VIII

W kaplicy zakonnej jestem na Mszy św. i przystępuję do Komunii. Trasa drogi ma być zmieniona. Mówią, że z tureckiego portu Mersyna mamy przekradać się na wyspę Cypr, a później wojenny okręt angielski przewiezie nas do palestyńskiego portu w Haifie. Nasza grupa liczyła 50-ciu ludzi. Przed południem – grupkami po dziesięciu ludzi wybraliśmy się statkiem do Istambułu, na zwiedzanie miasta.

Podziwiamy wspinały meczet Hagya Sofia (obecnie muzeum amerykańskie), wybudowany na miejscu, gdzie stał pierwszy kościół chrześcijański, ufundowany przez św. Zofię. W kościele tym, za czasów Bizancjum odbywały się koronacje cesarzy rzymskich. Meczet jest kolosem o dużym półkolistym sklepieniu. Na ścianach znajdują się złote mozaiki. Zachowała się kolumna, zwana kolumną życzeń. Według podania, do kolumny tej skrył się ksiądz, który ostatni odprawiał mszę św. w czasie, gdy Turcy zdobyli Bizancjum. Ma on wyjść z tej kolumny i dokończyć rozpoczętą mszę św. w chwili, gdy meczet zostanie znów zamieniony na kościół. W kolumnie znajduje się otwór, do którego wkłada się dwa palce i odmawiając modlitwę, prosi się Boga o spełnienie swych życzeń.

Zwiedziliśmy jeszcze dwa inne meczety, obelisk z przed kilkuset lat, przywieziony z Egiptu; następnie obelisk Pytii z Delf z oryginalnymi hieroglifami, olbrzymi bazar – z byłej stajni sułtańskiej, stare armaty i cytadelę. W drodze powrotnej obserwujemy igrzyska delfinów, obok naszego statku. Wysłałem kartkę z podpisem „Głąc”. Na Węgrzech używałem podpisu Stanisława Wójcik, zaś w Jugosławii Zofia Zakrzewska. Kartkę tą wrzuciłem do skrzynki pocztowej w Scutari.

13.VIII

O godzinie 7-mej ogólna Msza św. z podniosłym, żołnierskim i patriotycznym kazaniem, na naszą intencję. Ksiądz specjalnie dużo mówił o zwyciężaniu samego siebie

i wierze w Boga. Po Mszy św. specjalne błogosławieństwo na drogę. Jestem głęboko wzruszony. Im dalej, tym bardziej stajemy się już żołnierzami. Na dziedzińcu żegna nas attaché wojskowy, kończąc swoje przemówienie wezwaniem: wnieśmy okrzyk – Niech żyje Polska! Godzina dziewiąta, siedzimy już w pociągu. Mamy przed sobą 38 godzin jazdy do Mersyny. Panuje upał. Jestem dziwnie rozżalony i rozrzewniony... Łzy co chwila cisną mi się do oczu... myślę o Was... na brzegu uwija się mnóstwo mew. 09:25 ruszamy z Kadiköy. Migają minarety i przedmieścia. Istambuł za nami. Wzyna się coraz dalej i dalej, w Małą Azję.

Europa już dawno znikła. Jedziemy pociągiem pospiesznym. Największy meczet muzułmański znajduje się w ich świętym mieście Mekce i posiada 7 minaretów. Do tej pory najgorsze jedzenie było w Grecji. Tutaj brak jest wody. Za szklankę czystej wody płaci się jednego kurusa. Obok zagród widać specjalne urządzenia konne, służące do nawadniania. Co jakiś czas spotyka się Murzynów i Murzynki. Widać, że i Turcja mimo wszystko jest w pogotowiu wojennym. Każdy nawet najmniejszy mostek, czy tunel jest strzeżony przez wojsko. Mknijemy wzdłuż Morza Marmara ku Dardanelom. Godzina 11:45 przejeżdżamy koło portu wojennego Deringe.

Na morzu widać okręty wojenne, a przy brzegu kanonierki. Jedziemy okolicą górzystą, zalesioną, o ładnych widokach. Do 13:40 minęliśmy dwa tunele. Wielu w czasie drogi odpada z różnych powodów.; jak choroby, śmierć itp. I znów tor wije się wśród kanionów, gór i rzek. Góry! Podobne do naszych... kto z nas do nich powróci? Transport nasz liczy 80 osób. Podzieleni jesteśmy na plutony. Stacha! Gdybyś wiedziała ile myśli, ile serca – tkliwości i prawdziwego uczucia towarzyszy mi całą drogę; to dopiero wówczas, poznałabyś czym jesteście dla mnie. Stacha! bądź dzielna i godna powierzonego Ci ogniska rodzinnego... Pociąg ciągnął dwa parowozy, ciągle w górę i w górę. Do godziny 17:00 przejechaliśmy znów 15 tuneli. Gdzie są rzeki, tam i przy brzegach ziemia jest urodzajna. Poza tym nagie skały, bądź nieużytki. Zaludnienie bardzo rzadkie. Miejscami jedzie się dziesiątki kilometrów bez znaku o życiu. Rasa krów czarna, brzydka – podobna do bawołów. Po górach pasą się stada owiec i kóz.

14.VIII

Domy, to prędzej z gliny o powalach bez dachu. Kobiety chodzą w barchanowych spodniach, podobnych do „pompek”. Po spalonej słońcem górskiej ścieżynie, wolnym krokiem ciągnie się długa karawana wielbłądów. O 18:00 jesteśmy w paśmie wysokich gór Taurus. Minęliśmy 16 tuneli. Góry sakramencko wysokie. Dzikie i nagie. Po godzinie znów 17 tuneli. Dwa ostatnie bardzo długie. Trudno było wytrzymać i doczekać się końca. Ja, mimo to, że siedziałem przy zasłoniętym oknie – byłem czarny jak maszynista. Koszuła na rękawach, jedna sadza. Wokół wąwozy, rozpadliny i jary. Do 19:45 jeszcze 6 tuneli. Po przejazdach długich tuneli, na najbliższej stacji kolejowej znajdują się specjalne koryta betonowe, nad którymi są umieszczone krany z wodą, celem obmycia się. Noc jest zimna, a księżyc jasno świeci. Tubylcy śpią na dachach swych domów.

W pewnym momencie pociąg stanął w szczerym polu. Później okazało się, że na torze stała krowa, którą trzeba było siłą usunąć. Na drogę każdy z nas otrzymał paczkę,

w której znajdowało się: chleb, 6 jaj, ½ kg marmolady, ryba w konserwie, pudełko sardynek, ¼ kg sera i ¼ kg kielbasy. Martwię się o Was do tego stopnia, że nie mogę nic jeść, ni spać. Myślę i tęsknię..... Odtwarzam wiele chwil z naszego wspólnego życia, wspomnienia te raz przytłaczają mnie, to znów rozdrażniają. Godzina 22:30. Dojeżdżamy do Mersyny. Otaczają ją drzewa i plantacje bawełny. Przy blasku księżyca widać błyszczącą taflę Morza Lewantyńskiego. Urządzenia portowe marne i bardzo prymitywne. Sieć telefoniczna i telegraficzna zawieszona na marnych słupkach, a nawet i konarach. W przystani czekają nas dwie szalupy żaglowe i jedna motorowa. Po wzburzonych falach zbliżamy się do zakotwiczonego o kilka kilometrów od portu, na pełnym morzu, polskiego okrętu „Warszawa”. Okręt nasz nie mógł zawinąć do portu, ponieważ Turcja jest krajem neutralnym. Fale morskie rzucają szalupy jak bańki mydlane. O 11:15 windujemy się na oświetlony statek. Na pokładzie stoi duża grupa naszych, którzy przyjechali tu wcześniejszymi transportami i wita nas śpiewem Warszawianki – *Hej kto Polak na bagnety...* Panuje ożywienie i serdeczny nastrój. Jesteśmy na części polski. Nasz statek, nasi polscy marynarze. Po kołysance na falach czuję się kiepsko. Nie jem kolacji. W czasie mycia kręci mi się w głowie i jadę do „Rygi”.

15.VIII

Dzień wstał upalny i pogodny. W kabinie zaduch, gorąc, a pot po każdym spływa niemal ciurkiem. Ja jestem formalnie „zdechły”. Sam nie wiem czego chcę. Trapi mnie najwyraźniej choroba morska. Dzisiaj Święto Żołnierza Polskiego. Na zbiórkę do modlitwy wyszło około 300 ludzi. Spotkaliśmy też starych znajomych z Zagrzebia. Mamy czekać aż zbierze się ponad 500 osób. Po nabożeństwie pięknie przemówił kapitan okrętu. Potem odczytano rozkaz naczelnego wodza. Następnie odśpiewaliśmy *Jeszcze Polska nie zginęła*. Uroczystość została zakończona hymnem angielskim. W ciągu dnia kąpię się w morzu. Piorę brudy i zmieniam bieliznę. Czynności te przypominają mi wiele podobnych i kochanych chwil z życia w domu. Oby Bóg dał, by czasy podobne wróciły. Stacha! Tak strasznie ciężko mi bez Ciebie i dzieci... A to dopiero początek... Jedzenie na statku dobre. Odwiedził nas delegat angielski. Turcy z portu Mersyna puścili nas bez żadnych formalności. Na statku powiewa nasza polska bandera. Obiad oddaję mewom za burtę... Na akademii wieczornej obecny był konsul angielski. Czuję się tak źle, że po kilku minutach wychodzę i kładę się na pokładzie w zacisznym miejscu.

16.VIII

Dzisiaj jest mi trochę lepiej. Nie jechałem do Rygi. Jutro wyjeżdżamy. Na statku jest ciasno. Chodzę jak pijany.

17.VIII

Śniłaś mi się. Byłaś dla mnie niedobra i robiłaś wszystko na przekór. Samopoczucie znów kiepskie. W nocy spałem bardzo mało. Jeszcze nigdy się tak nie pocilem. Na statku jest kot i dwa pieski. Zorganizowano wykład o ratownictwie morskim. Na statek podwożą kilka rodzin żydowskich z Rumunii. Stojący obok nas na kotwicy grecki statek „Castor” wyrusza przy blasku księżyca w nieznaną nam drogę. Niknący statek pozostawia za sobą smugę dymu i ginie na horyzoncie. Widok na morze piękny. I my

spodziewamy się dzisiaj wyjazdu. Wieczorem odjeżdża konsul angielski. Nim ruszył w kierunku brzegu, dwukrotnie motorówka objechała nasz statek. Śpię na pokładzie.

18.VIII

O wschodzie słońca nasz statek kończy wyciągać kotwicę. 07:15 wolno rusza. Dziób okrętu pruje głębiny morskie i pomału tracimy ląd z oczu. Po statku krąży pogłoska, że grecki statek „Castor”, ten który wczoraj wyjechał, został storpedowany i zatonął.

O godzinie 08:00 pojawia się na horyzoncie okręt wojenny. Dają znać, że to polski albo angielski. Zbliża się. Spostrzegam na rufie naszą polską banderę. Krzyczymy Niech żyje! Nosi nazwę „H37”. Podchodzi ku nam, a załoga ustawiona na pokładzie odpowiada: Niech żyją! Kontrtorpedowiec ten okrąża nasz statek i sunie naprzód. Konwojuje nas. Jakaż wiara i otucha w nas wstępuje na widok polskiego okrętu i najeżonych na nim dział. Zadaję sobie pytanie, czy Pan Bóg pozwoli nam wrócić i przynieść na ostrzach naszych bagnatów; wolność znękanemu i poniewieranemu narodowi. Im dalej, tym tafla wody staje się bardziej niebieska. Na okręcie wydają gazetkę, której odpis z pierwszego dnia podróży dosłownie podaje.

S.S. „WARSZAWA” 18.VIII.1940 r.

Nr 10.

Gazetka transportu wojskowego „NAPRZÓD”
Żołnierze!

Wpłynęliśmy na pełne morze. Jedziemy polskim statkiem „Warszawa” konwojowani przez polski kontrtorpedowiec „H37”. Płyniemy spokojnie strzeżeni przez potężne działa i dzielną, wypróbowaną w boju załogę naszego towarzysza. Ufamy, że pod jego opieką dopłyniemy spokojnie i szczęśliwie do celu.

19.VIII

Czuję się źle. Dziś mamy być u celu. Noc przeszła spokojnie. O godzinie 11:00 widać już na dalekim horyzoncie ląd. Są to wysokie pasma górskie. Morze jest niespokojne, statkiem kołysze na wszystkie strony. Przez całą drogę moje samopoczucie było fatalne. Płyniemy po wodach Morza Śródziemnego... a ziemia „obiecana” coraz bliżej i bliżej, a zatem i wyraźniej okazuje swoje oblicze. Płyniemy wolno, by nie najechać na miny. Nasz stróż stale na przedzie. Wreszcie statek wjeżdża do portu w Haifie. O 13:30 jesteśmy na molu. Miasto jest dosyć duże, nowoczesne i czyste. Lwia część rozłożyła się na stokach góry Karmel. Autobusami przewieziono nas do punktu zbornego, parę kilometrów za miasto. Mieszkamy w polu pod namiotami. Do morza jest najwyżej 100 metrów. O brzeg rozbijają się z łoskotem potężne fale.

20.VIII

Zaczynam powoli przychodzić do siebie i czuję się znacznie lepiej, jak na okręcie. Obóz znajduje się u północnego podnóża góry Karmel, na której stoi kościół Karmelitów z klasztorem. Jedzenia dużo i dobre. Przychodzą mi na myśl często używane zwroty w stosunku do Żydów „Do Palestyny!”, a dziś? Sami jesteśmy wygnańcami na ziemi świętej w Palestynie. W obozie tym mamy być przez kilka dni celem załatwienia formalności czysto wojskowych. Po komisji udajemy się do polskiej brygady, która stoi między Tel Avivem, a Jerozolimą. Dziś wieczorem krąży pogłoska, że nasz kontrtorpedowiec „H37” po odprowadzeniu nas do portu, zawrócił na pełne morze i tam

przyłapał dwa włoskie okręty. Następnie zmusił je do zawinięcia w porcie Haifa. Na statkach tych ma znajdować się 144 samochodów ciężarowych, które mają być przydzielone naszej brygadzie. Konwojujące transport trzy kontrtorpedowce włoskie, podobno uciekły bez walki. W namiotach prowadzimy ożywione dyskusje na temat jadowitych gadów i owadów grasujących w krajach tropikalnych. W Palestynie znajduje się dużo skorpionów i pajaków tarantula. Spotkałem znajomego płk. Ostrowskiego, byłego dowódcę 4 pp. leg.

21.VIII

Oddaję w kancelarii wypełnione formularze dotyczące wojska i okoliczności w jakich znalazłem się za granicą. Janek kwateruje w sąsiednim namiocie. Śpimy na ziemi (warunki polowe). Mimo iż morze jest tak blisko, kąpać się nie można, bowiem całe wybrzeże usiane jest kamienistą rafą. Janek już jutro ma odjechać do brygady. przed odjazdem rozmawiamy z Jankiem na poważne tematy o Was i o wszystkim.



Palestyna 22.IX.1940

22.VIII

Janek dzisiaj odjechał. Myślę o Was i rozważam jak ułożyliście sobie życie i jak w ogóle dajecie sobie radę. Chodzę po skalistej ziemi palestyńskiej, lecz dusza ma i wszystko inne jest hen! daleko... przy naszych pięknych górach... szumiącym Dunajcu i wszystkim, co polskie. Chciałbym mieć skrzydła i chociaż przez chwilę patrzeć z góry na swoją ojczystą ziemię. Wieczorem opowiadania „w stylu” żołnierskim.

23.VIII

Obserwowałem wspinały zachód słońca nad morzem.

24.VIII

Sobota, godzina 18:00. Czy wiesz, że stoję teraz nad morzem i patrząc na wspinające fale liżące brzeg morski myślę w zadumie tylko o Tobie i o Was. Czy możesz wiedzieć ile myśli, ile różnych obaw, pragnień, tęsknoty i chęci szarpie moja duszę?... I znów jak wczoraj, tak samo dzisiaj na krańcu wód horyzontu zachodzi słońce i mrok zapada... A ja, nie mogę sobie dać rady. Widzę Ciebie, nasz szary dom, nasze dzieci... pola, fabrykę... kościół i coś mnie boleśnie ściska za gardło i czegoś mi strasznie brak i żal...

Droga powrotu, to jakieś dalekie, wprost nierealne słowo. Tak – mogę Was widzieć, mogę z Wami rozmawiać, lecz tylko tak, jak dziś. Myśli... można nimi szybko przemierzać świat, lecz jakże ułudnie, radośnie, bądź smutno. One mi ciągle towarzyszą,

toczą mą duszę i ciało. Nie dają spokoju ni w dzień, ni w noc. A gdy popatrzę wizją przeszłości na nasze ostatnie chwile pożycia, nasze rozstanie... Jest mi bardzo ciężko i wolałbym w ogóle o tym nie myśleć. Chciałbym, by chociaż te zapiski do Ciebie dotarły, a kiedyś... by dzieci czerpały z nich to, cośmy razem przeżywali i co ja teraz przechodzę. Wierzę, że Polska powstanie, wierzę w to, że mściciele żyją tutaj, i rosną tam, w uciśnionej ojczyźnie. Lecz ilu z nas powróci i co zastaną, to tylko raczej wiedzieć jeden Bóg.



Palestyna 1940 r.

25.VIII

Stawałem przed komisją poborową. Jutro wyjadę do brygady strzelców karpackich. Radio doniosło, że wojska włoskie przekroczyły granicę albańsko-grecką. I tutaj na ziemi świętej, obok mojego nazwiska Twoje imię oraz dzieci, jest kilka razy zapisane. Jest też rubryka, kogo zawiadomić w razie wypadku. Dzisiaj po raz ostatni pojechałem samochodem na haifską plażę, gdzie zażywałem wspaniałej kąpieli na kilkumetrowych falach wzburzonego morza.

26.VIII

Wyjazd do brygady. Jedziemy autobusami 160 km. Po pięknej, asfaltowej szosie, równej jak stół mkniemy z dużą szybkością. Mijamy olbrzymie gaje pomarańczowe i winnice. Obecnie widać na drzewkach duże, zielone owoce. W jednej z miejscowości, przez którą przejeżdżamy widzę sadzenie ziemniaków. Po drodze spotykamy karawany wielbłądów, zakryte woalkami Arabki, żywopłoty z kaktusów, palmy, drzewa bananowe, cytrynowe i wiele innych ciekawych osobliwości. Godzina 11:00, wysiadamy w miejscu postoju brygady karpackiej w Latrum. Spiekota większa jak w Haifie. Po lewej stronie widać biblijne miasteczko Emaus. Spotykam Janka, który jest już w mundurze. Dostaję przydział do kompanii łączności, a potem do plutonu radio.

Z ulgą i ciekawością patrzę na naszych żołnierzy, karabiny, orzełki, a śpiew maszerujących oddziałów rozrzewnia mnie. Zaszło już kilka wypadków ukąszeń przez skorpiony.

27.VIII

Jestem umundurowany. Nosimy krótkie spodenki i tropikalne koszulki. Docierają różne wiadomości o powikłaniach politycznych między Włochami, Grecją, Rosją i Turcją. Zmartwiła mnie plotka jakoby całe Generalne Gubernatorstwo zostało włączone do rzeszy. Dowiedziałem się, że Franek Sopata z Czernca leży w szpitalu na czerwonce. Adaś Twardowski jest w kompanii mułowodnych. Są tutaj również bracia Brzezińscy.

28.VIII

Przed południem pierwsze ćwiczenia z bronią. Potem egzamin z odbioru słuchowego alfabetu Morsa. Jedzenia dają dużo i jest ono dobre. Martwię się, że cierpicie może niedostatek, a tu tyle pięknego, białego jak słońce chleba rozdaje się między biedotę arabską. Jestem znów żołnierzem! Maszeruję zadowolony z żołnierską pieśnią na ustach, a w słońcu kołysze się stal... Dopiąłem z własnej woli tego, co nakazywało mi moje polskie pochodzenie. Byłem u Janka i razem szukaliśmy Twardowskiego.

29.VIII

Śniła mi się Dziunia. Całowała mnie i płała, a Ty robiłaś mi znów na przekór. Upały straszne, toteż pot leje się strumieniami. Wieczorem odwiedził mnie Adam Twardowski. Opowiadaliśmy sobie swoje przeżycia, wędrówki przez zielone granice i wiele innych drastycznych momentów. Opodal naszego rejonu znajduje się piękny klasztor francuskich Trapistów. Położony jest na małym wzgórku w dużym ogrodzie – parku, do którego przylega mały, sosnowy lasek. Wszystko otoczone jest murem. Tuż za nim, na wzgórzu znajdują się ruiny zamku krzyżowców, pozostałość po wyprawach krzyżowych. Nazwa miejscowości Latrum pochodzi od dawnego klasztoru pod wezwaniem „dobrego łotra”.

30.VIII

Jedziemy na ćwiczenia przez Emaus. Przed Emaus znajduje się drugi klasztor należący również do Trapistów. Naradzaliśmy się z Jankiem nad sposobem napisania do Was i do Ameryki. Wiadomości do Polski można przesyłać, lecz tylko drogą pośrednią i bardzo ogłędnie. O tym, że ciągle o Was i Waszym losie myślę i tęsknię nie będę pisał, bo temat ten jest moja formalna choroba. Wsie arabskie doskonale harmonizują z terenem i trudno je z daleka wypatrzeć, ponieważ domy są zupełnie podobne do skał i otoczenia. Są one bardzo biedne. Domy, to brudne i cuchnące nory bez dachów. Wokół pełno much, które dokuczają złośliwie i trudno je odegnąć. Gorąc taki, iż wydaje się, że ziemia płonie przejrzystym ogniem. O ziemi święta! Jakaś ty biedna, skalista, pusta, sucha i upalna.

31.VIII

Otrzymałem pierwszy żołd. Pobieram 1.400 milsów na tydzień. Kwota ta równa się naszym 35 złotym. Jasne jest, że obecnie wszystko jest droższe, a pieniądź stracił na wartości. Na każdym kroku pełno jest kameleonów i mrówkojadów. Porównuję rok ubiegły – wielkie ożywienie społeczeństwa, transporty, ruch, my na poczcie i wreszcie



Palestyna 1940 r.

wybuch wojny. A dziś? Po roku... Jestem tysiącami kilometrów oddalony od Was. Myślę o przeszłości, terażniejszości, a o przyszłości lepiej nie wspominać, bo przedstawia ona jedną, wielką niewiadomą. W Palestynie ziemniaki są o kilka razy droższe od winogron. Kilogram winogron kosztuje 10 milsów (25 groszy), a za ziemniaki trzeba zapłacić 30-40 milsów.

01.IX (niedziela)

Jestem na mszy św. i słucham pierwszej ewangelii w głębi ziemi świętej. Ksiądz wygłasza patriotyczne kazanie. Wiem, że Ty i Dziunia modlicie się za mnie. Ja również proszę Boga o opiekę nad Wami i doczekanie szybkiego, szczęśliwego powrotu. Kobieta arabska przedstawia obraz nędzy i rozpacz. Jest ona zarazem w całym tego słowa znaczeniu niewolnicą Araba. Pieniądzy mam dosyć. W kantynie można niemal wszystko kupić. Czy mnie to jednak cieszy? Wam bowiem jest zupełnie inaczej. Brakuje Wam wiele. Gniotą Was, ale za to jesteście razem. Masz przy sobie dzieci. A czy może być od dzieci droższego i milszego na świecie, prócz samych rodziców?

Wokół Ciebie reszta bliskich i znajomych. Ja natomiast, jestem odosobnionym żołnierzem. Wojna trwa... Pochłania ona wiele ofiar. Żądza odwetu kipi. A na drodze do pokonania wroga i wolności, jeszcze dużo chmur. Wiele trupów zaściele pobojuwiska. Krew ludzka użyżni spaloną słońcem i suszą ziemię, a Bóg w specjalnej opiece będzie miał tych, którzy to wszystko przejdą, przeprowia się przez morza, różne kraje, by wreszcie na wolnej ziemi ojczystej zatknąć zwycięskie sztandary i w naszym polskim, złotym słońcu oglądać twarzą w twarz swoich najbliższych. W szeregach brygady karpackiej spotyka się dosłownie cztertnastoletnich, wątłych chłopaczków, a obok nich ludzi, którym siwizna przypuszyła skroń. Ramie przy ramieniu, obok szeregowca adwokata, starosty, profesora, czy sędziego, stoi chłop polski, robotnik, urzędnicy – starcy i...dzieci...

Od kilku dni czuję się źle. Widocznie od ukąszenia muszki piaskowej, która posiada mikroskopijną wielkość. Następstwem jest 5-8-mio dniowa choroba gorączkowa, zwana papataczką. Dziś spotkałem Cyconia z Czarnego Potoka, tego który chodził do Łącka pobierać pensje dla Wiśniewskiej. Natrafiłem też na Cebulaka z wierchów; towarzysza i częściowego przewodnika Gronusiów. Wieczorem widziałem się z Sopaciakiem. Po czerwonce wygląda bardzo mizernie i strasznie dziecinnie.

02.IX

Już drugi rok wojny! Palestyńskie nagie skały, ćwiczenia, szakale, moskity, raptownie zapadające zimne i ciemne noce. Czuję się źle. W gorączce myślę... odtwarzam wiele z przeszłości, gonię za Wami i tak strasznie tęsknię... Nie wyładowany ogrom uczucia gnębi mnie i dusi. Czekam niecierpliwie na wieści od Was. Syna, którego tak bardzo pragnąłem, czy jeszcze kiedy zobaczę? Czy przytulę, popieszczę – porozmawiam; czy też będzie on żył bez znajomości ojca... I znów jak wczoraj zachodzi słońce, mrok zapada... a ciszę wieczorną chwilami przerywają jeno dalekie, stłumione wycia szakali. Biedne kochane dziecko... nasz Zygmus! A szczerze obfite ojcowskie łzy, po obu stronach zalewają mi twarz.

03.IX

Zachodzą wypadki zachorzeń na jaglicę (nagminna choroba Arabów). Częste są też choroby gorączkowe. W moim namiocie na czternastu, jest czterech obłożnie chorych. W ogrodzie Trapistów są piękne palmy kokosowe i daktylowe. Resztki jedzenia rozdajemy między biedotę arabską.

04.IX

Dziwna rzecz! Śniłaś mi się znów przekornie, na złość. Krążą różne wersje na temat Włoch i Ameryki. Jest mi już nieco lepiej. myślę o Was dużo i stale. Ciekawym jak trzyma się babcia? Co z Gustkiem i u Rózi? Gdzie Franek? Jakie nastroje na Brzyzku, co dzieje się z księżmi, kościołem w ogóle? Anglicy przepowiadają, że jeszcze w tym roku będziemy w Polsce.

05.IX

Wczoraj widziałem się z Jankiem. Oczekiwanie na wieści od Was przedłuża się, ponieważ druga tura z Zagrzebia, około 400 ludzi – podobno ugrzęzła w Grecji. Osobliwością jest arabski wójt z Emaus, jeżdżący na karym koniu, rozpierając się na nim jak prawdziwy basza. W siodle, z którego spływają pstre ozdoby oraz piękna uprzęż sprawiają, że upodabnia się do typowego władcy wschodniego.



Historia rodziny Łąckich Chwalibogów – część III



Józefa i Henryk Chwalibogowie

poniżej ołówkiem: Zofia Miśtak, na Jeźówce, Czarny Potok.

A więc mamy do czynienia z II wojną, bo to przecież Korpus Andersa... a jednak gdy przewrócimy kartkę widzimy dziwny tekst zaczynający się od słów:

Henryknek!

Kis fui vagy meg, następnie kilka słów trudnych do odczytania, potem: *Magyar ev Lengyel egy gondolat!* „Jag do szabli tag do szklanki”. I jeszcze kilka słów a poniżej podpis:

d.Gral R.G. i wreszcie: Łącko, 1915, IV/18.

Dodatkowo jest tu włożona mała podłużna karteczka wydarta z notesu (boczna perforacja), na której ten sam tekst wypisano po niemiecku: *Hungar – Pole ein Gedanke* „Jag do szabli Tag do szklanki” a ostatnie słowo to *Bratanki*.

A więc brulion jest starszy niż można było sądzić. Musi mieć przynajmniej 95 lat i widocznie należał do doktora Henryka. Wówczas w 1915 roku, w trakcie działań wojennych w Galicji jakiś oficer – Węgier wpisał te słowa zapewne na pamiątkę miłej wizyty w domu Chwalibogów.

Dzięki uprzejmości znajomego Węgra poznałem znaczenie tego wpisu, brzmi ono tak:

Dla Henryka

Jesteś teraz młodym chłopcem, ale kiedy dorośniesz pamiętaj że jesteś synem swojego Ojca i Polakiem. Węgier-Polak jeden duch, jak do szabli tak do szklanki”!

Walcz tylko piórem. Bądź jak twój Ojciec!

Twój bratanek

A więc węgierski gość nie zwracał się do doktora Henryka Chwaliboga, ale do jego najstarszego syna, także Henryka, który miał wówczas 13 lat...

Doktor niczego już nie notował, a w zeszycie znajdziemy następnie tylko charakterystyczne regularne i ukośne pismo jego żony Józefy, czyli Józii, jak się do niej zwracał. To ona właśnie napisała wiersz, który musiał zapewne powstać z okazji imienin męża:

Drogi nasz Tatusiu

*Przyszli my¹⁾ do Ciebie rażno i wesoło, przyszli my do Ciebie z pełnymi sercami
Otoczyli my Cię w około – w około, Drogi nasz Tatusiu raduj że się z nami.
Raduj że się z nami że w tym strasznym roku, kiedy tyle dzieci swoich ojców płacze...
Ty nas wszystkich tulisz u swojego boku, i ani my zbiegi, ani my tułacze...*

*Stoją murowane wszystkie nasze ściany, ogród się zieleni i kwitną lilije,
I tyś między nami Tatusiu kochany, i nie pokrzywdziły nas ręce niczyje,
Łaska, wielka łaska pełni się nad nami, a my ją ocenić umiemy sercami.
I dziś na wiązanie niesiem Ci w ofercie garstkę postanowień pomyślanych szczerze,*

*Chcemy za te łaski, które Bóg nam daje, wszystkie nasze grosze uskładane w roku
Złożyć na tych, którym tatusia nie staje, bo poległ lub walczy z orężem u boku...
Mieliśmy Ci kupić coś za to nasz Drogi, lecz wiemy że miłszy taki dar Ci będzie
Składaliśmy sobie ot do grosza grosik, chcieliśmy Ci kupić na wiązanie cosik...*

*Ale tu Najświętsza, co nam domu strzeże natchnęła „sierotkom dajcie to w ofercie!”
I wiemy że Twoje zacne polskie serce więcej się ucieszy takim dzieci czynem
Niż gdybyśmy dali smyrneńskie. kobierce podbijane nawet samym karmazynem.
A czego Ci życzym? – Tatusiu nasz Drogi, na to słów za mało i mówić zbytecz-
nie...*

*Uściskiem Twoje opleciemy nogi, utulim, upieścim szczerze i serdecznie
I jedno tylko przez lzy zawołamy: Bądź taki szczęśliwy, jak my Cię kochamy!
I dajże nam Boże by w następnym roku my wszyscy zebrani u Twojego boku
Obchodzili dzień ten w wolnej polskiej ziemi, wolni i niepodlegli i równi z równymi...*

Ten wiersz musiał powstać w 1915 lub 1916 roku przed dniem św. Henryka (15 lipca). Jego przesłanie to wzruszający dar dzieci, które zamiast przynosić ukochanemu ojcu jakiś upominek chcą te grosiki przeznaczyć na pomoc dla sierot. Autorka, którą musiała być moja babka nie poprzestała na tych kilku zwrotkach ale kontynuowała dalej teksty od każdego z dzieci. A przynajmniej rozpoczęła realizację tego zamiaru zaczynając od najmłodszego Zbyszka (mojego ojca, który miał wówczas 5 czy 6 lat):

*I Zbyszeczek mały, cichy i nieśmiały
Tatusiowi życzy zdrowia i słodyczy
Dużo, dużo latek i pociechy z dziątek
Szczęścia między swemi
W wolnej polskiej ziemi...*

A więc w tych dziecięcych wierszykach kwestia wymarzonej niepodległości Polski oraz życia w wolnym kraju okazuje się być wątkiem najważniejszym. To chyba istotne że mój dziadek – doktor Henryk zmarł na hiszpankę dopiero w końcu grudnia 1918 roku, bo w ten sposób dożył do tej niepodległości, którą słowami jego żony życzyły mu jego dzieci.

Na następnych stronach brulionu pisany tym samym, charakterem Babki ukazuje się tekst znamienity dla tego okresu historii Polski:

Dwadzieścia i jeden miesięcy trwa już straszna klęska wojny na ziemiach naszych. Milionowe armie depcą – tratują – ogniem i żelazem pustoszą kraj nasz polski, plony, dobytek i nawet dach nad głową, wydzierając nieszczęsnym jego mieszkańcom. Z tej części kraju w której my mieszkamy nawała wojny i mordy odsunęła się ale szaleje z równą gwałtownością po innych stronach naszej polskiej ziemi. By wrogów z tej ziemi wyrzucić i pobić poszli bracia nasi, mężowie i synowie, poszli własnymi pierściami tej ziemi bronić. Poszli na trud twardy – na znoj krwawy – na dolę ciężką żołnierską – na poniewierkę, na rany – na śmierć!

Więc nam kobietom, cośmy w domu zostały, nam żonom, matkom i siostram został się wraz z żalem i tęsknotą po nich obowiązek święty by im tę dolę ich twardą osłodzić i wedle sił i możliwości złagodzić.

Większa część tych, których tęsknem sercem oplakujemy poszła na wezwanie Naszego Najjaśniejszego Pana i o tych on staranie ma. Ale z chat naszych poszło także wielu chłopców młodych, których do wojska jeszcze nie wołano, a którzy dobrowolnie ponieśli w ofierze życie swoje młode dla obrony ukochanej ziemi polskiej – dla ratowania przed wrogiem braci swoich Polaków. Żołnierzyków tych młodych – dzieci czasem prawie, w szarych mundurach z polskimi orzełkami na czapkach znamy dobrze wszyscy. Wszak oni to gnali Moskala z naszych osad tutejszych, oni go z Podhala wypędzili, im zawdzięczamy że wróg u nas nie miał czasu pohulać jak hulał gdzieindziej.

O tych chłopakach serdecznych i dzielnych my musimy mieć staranie przede wszystkim, bo to krew z krwi naszej, to kość z naszych kości! To wojsko nasze – polskie wojsko, więc któż jeśli nie żony, matki i siostry Polki mają o nich pamiętać?! To też po całej ziemi polskiej pozawiały kobiety stowarzyszenia, których celem jest dbać o potrzeby tych polskich żołnierzy. Stowarzyszeń tych zadaniem jest dostarczać żołnierzom naszym bielizny, rannym pościeli, dbać o pozostałe po żonatych legionistach sieroty, zajmować się okaleczonymi w wojnie legionistami.

Takie stowarzyszenie czyli Liga Kobiet jest już w Łącku. Brakuje jednak w niej gospodyń wiejskich – a przecież większość legionistów to chłopcy spod wiejskiej strzechy! Czy zatem nie straszną rzeczą jest, aby o najbliższych swoich wiejskie matki, żony

i siostry takie miały staranie? Tembardziej, że teraz właśnie okazało się podczas wojny, że największymi paniami są właśnie gospodynie wiejskie, które o drożyźnie ze strachem nie potrzebują myśleć, bo wszystkiego co mieszczuch za grosz kupić musi dostarcza im ich własna ziemia żywicielka!

Do wszystkich lig kobiet rozesłały teraz szpitale legiońskie prośbę o sienniki dla rannych żołnierzy naszych. Kupić je za te skromne datki, które miesięcznie jako składkę płacimy, nie sposób, więc liga kobiet w Łącku zwraca się do sióstr swoich – gospodyń w Czerncu²⁾, by zechciały do stowarzyszenia naszego przystąpić i wesprzeć nas tem, czego u nich nie braknie i czego kupować nie potrzebują. Wierzymy że słowa te znajdą zrozumienie u zacnych i rozumnych gospodyń polskich w Czerncu¹⁾ i dlatego pewne jesteśmy, że naszym biednym rannym żołnierzom będzie mogła i liga kobiet z Łącka i okolicy posłać parę tak bardzo potrzebnych sienników. Warunki należenia do Ligi są ogromnie łatwe.

Na kolejnych stronach brulionu teksty patriotycznych pieśni – pierwsza Rota ze słowami obecnie nieznanymi:

*Pójdziemy naprzód nigdy wstecz
Za starem hasłem naszym
W krwi Pospolitą tworząc Rzecz
Bagnetem i pałaszem
Rosnącą szlakiem naszych dróg
Tak nam dopomóż Bóg!.....*

Po niej następują „Przybyli do wsi ułani”, „Strzelcy” i wreszcie:

*Legiony to żebracza nuta
Legiony to ostatni zew.....
Polska już nie będzie więcej skuta
To wolności ukochanej śpiew
 Więc dalej legioniści
 Niech serce drży ogniście
 Niech bagnet w naszej dłoni drży
 Pal dyabli nasze życie
 Ujrzymy się w błękicie
 Niech bagnet w naszej dłoni drży
Legiony to są „Termopile”
Legiony to ze świata głos
Będziemy widzieć słońce na mogile
Bo taki świt uczynił nam los!
 Więc dalej legioniści.....*

I znowu następuje tekst, jak można przypuszczać, jakiegoś wystąpienia na zebraniu o tematyce patriotycznej:

Mamy mówić tu o rzeczach które się dzieją na naszej ziemi i powiadamiać tych, co albo czytać nie umieją – albo sposobności lub czasu nie mają aby czytać o tem co w Polsce już zaszło ważnego lub co się na przyszłość stanowi. Wypadki ważne dni ostatnich omówili już poprzedni mówcy – ja chcę teraz przed oczy Wasze postawić obraz powstania – życia i walk bohaterskich legionów naszych, których wieść rozpaczliwa o oderwaniu Chełmszczyzny pchnęła na drogę śmiałego czynu i żołnierskiego protestu.

Na drogę, która część Legionów rzuciła na drugą stronę rowów strzeleckich pod sztandary generała Muśnickiego – a część większą, z nieznanym nam jeszcze przyczyn, które przeszkodziły przemarszowi wszystkich – jak było zamierzone – i do czego była zupełna jedność od szeregowca do najwyższego zwierzchnika (mówię to na podstawie wiarogodnego listu w nocy przed wymarszem do Kamieńca pisanego przez jednego z najlepszych synów Polski) zawiodła do męczeńskich baraków dla jeńców wojennych w Hust. W tem samym Hust, które w 1915r broniły zwartym murem od moskiewskiej nawały, krwią ofiarną obficie ziemię węgierską zlewając.

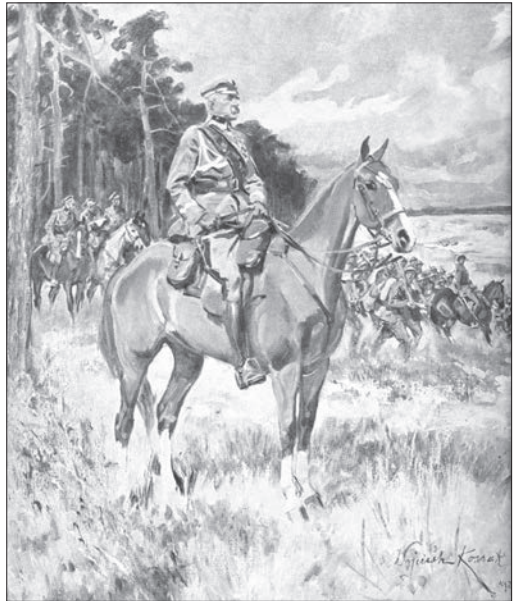
Te szare żołnierzyki nasze – ci obecni jeńcy wojenni internowani dzisiaj są na wybronionej przez nich ziemi węgierskiej. Straszny jest los narodu w niewoli! Szafuje krwią naszą kto chce i jak chce – handlują ziemią naszą i frymarczą naszym dobytkiem a gdy się o swoje upomniemy – zawołamy przez usta najlepszych „nie pozwalam” – znajdą się zawsze jacyś obcy wśród nas wkręceni judasze – czym sparaliżują i zawiodą bohaterów do baraków dla jeńców, przed sąd polowy.....

Tekst jest obszerny, dlatego przez chwilę zastanawiałem się czy dalej cytować, jednak zdecydowałem że dla współczesnych „Łąckowian” związanych ze swoją małą i dużą ojczyzną powinno być interesujące czym żyli nasi przodkowie w okresie walk o odzyskanie niepodległości przed 95 laty:

Znamy wszyscy i wspominamy wdzięcznym sercem tych naszych żołnierzy z orzełkami polskimi na czapkach okrągłych, którzy w listopadzie i w początkach grudnia wygnali Moskala z naszych górskich stron i przeszkodzili by mógł sobie brat słowianin po swojemu na naszych śmieciach pohulać. Znamy i pamiętamy wszyscy najlepszym wspomnieniem naszych dusz polskich tych dzielnych, serdecznych chłopców – dzieci prawie, którzy nieczuli na głód, ból i brud – nieodstępnych towarzyszy żołnierskiej ich doli – z uśmiechem w oczach a pieśnią o Polsce na ustach szli w bój z czterokrotnie liczniejszym wrogiem i bili go zawsze!

Te legiony – ich powstanie i powołanie do życia zawdzięczamy Józefowi Piłsudskiemu – który dziś męczy się także w więzieniu niemieckim potrójnym cierpieniem. Cierpieniem ciała – bo wiemy jak mu tam ci wrogowie nasi tam dogadzać muszą – i gorszym jeszcze cierpieniem duszy, która się trwoży, szarpie i rozpacza na myśl o losie tych chłopców, których głos jego komendy od książki, od warsztatu lub od pługów oderwał i rzucił w święty dla Polski bój!

Generał Józef Piłsudski to Polak z Litwy wychowany pod moskiewskim knutem, który jako dziecko przeżył we wspomnieniach matki i domowników dzieje roku 63go – roku naszego powstania, bez broni prawie i bez wojskowego wykształcenia przeciwko moskiewskiej przemocy. Smutny ten rok męczeńskiego wysiłku doprowadzonego do rozpaczy narodu zapadł mu w duszę krwawą pamięcią. A gdy wyrósł z myślą o Polsce i z wiarą że nie zginęła, postanowił życie poświęcić na przygotowanie narodowi zastępu wojskowo wykształconej młodzieży – któraby – gdy godzina wybije mogła stanąć w obliczu wroga i zawołać głosem nie bezbronnego niewolnika ale głosem zbrojnego, znającego swoją wartość żołnierza „co nam obca moc wydarła – mocą odbierzemy!”



Marszałek Józef Piłsudski – obraz Wojciecha Kossaka

Ponieważ pod Moskałem trudno było pracować nad taką sprawą przeniósł się do Krakowa gdzie więcej pozornej mieliśmy swobody i zaczął formować stowarzyszenie Strzeleckie młodzieży. Austria – w nadziei, że wdzięczni za trochę swobody Polacy w razie wojny z nią pójdą ręką w rękę, patrzyła na ten ruch sprawnych szeregów strzeleckich pobłażliwym okiem.

Na wzór drużyn strzeleckich potworzyły się po wsiach drużyny bartoszone i drużyny podhalańskie w naszych górach. A kiedy wojna przewidywana z dawna wybuchła strzelcy i drużyniacy złączyli się razem – Austria dała mundury i broń (jaka była taka była ale chłopakom naszym i do takiej się oczy śmiały i rozklekotanymi bili wroga uzbrojonego w najnowszy sposób!

Poszli w bój o swoje! Na swoją własną – serdeczną ziemię tak zwanego Królestwa Polskiego – to jest na ziemię polską zabraną przez Moskala. Pierwszy wyprawili patrol z siedmiu ludzi złożony pod dowództwem Beliny. Jechali wózkami ku granicy – w ubraniach cywilnych a mundury i broń mieli schowane. Jechali co koń wyskoczy by nastraszyć i spłoszyć komisję moskiewską w Jędrzejowie i Miechowie, która ludzi zabierała do wojska. Wieść o ich przybyciu – przesadzona, jak zwykle bywają takie wieści spłoszył komisję, która rekrutów rozpuściła do domów – a sama w nogi! Tak to siedmiu młodych śmiałków uwolniło tysiące chłopców od rosyjskiego wojska!

A okolica nasza – parafia nasza – dumna być może, bo w gronie tych najpierwszych czynnie występujących żołnierzy Polski był syn tych stron – tej parafii – Pan Tomasz Kowalczyk – Rusiek między strzelcami zwany. Konni strażnicy kozaccy mijali ich

często, lecz zaczepić nie śmieli, bo myśleli, że za tym podjazdem Bóg wie jaka siła stoi – kiedy tych siedmiu tak śmiało i pewnie wprost wilkowi w gardło lezie!

W Słownikach 800 strażników nocowało tuż obok naszych zuchów – a rano skoro świt wzięli nogi za pas i czmychnęli. Toż to była radość! Teraz nasi podjechali do dworów polskich gdzie dostali konie i mogli już jako pierwszy oddział kawalerii polskiej wrócili do uradowanego Komendanta Piłsudskiego zwanego serdecznie w szeregach strzeleckich „dziadkiem”.

Jak bohaterski i po polsku śmiały był początek wojaczki naszej – tak też ona i potoczyła się dalej. Legiony wzrastały. Utworzyła się obok pierwszej i drugiej także trzecia Brygada. Pierwsza walczyła bohatersko na ziemiach polskich zawsze posyłana przez Austriaków walczących wspólnie na pierwszy ogień, lub osłaniająca ich odwrót. Stara tradycja – stary zwyczaj za Napoleona już wypróbowany – szafowania krwią polską. Dobrze i trafnie to jeden z naszych gospodarzy określił: „Każda matka to dzieci własne szanuje – a pasierby ile gdzie najgorzej!” I słano gdzie najgorzej te biedne pasierby. Pod Laskami całą noc trzyma polski pułk przeważające moskiewskie siły póki nie nadeszli Austriacy. Na jednego polskiego żołnierza wypadło czterech Moskali! A przecież kilka godzin bili się zęb za zęb, kilka razy szli na bagnety i wzięli 200 jeńców.

Pod Krzywopłotami stoczyli nasi także większą bitwę i tam pierwszy raz popisały się armatki kapitana Brzozy – małe – stare, o których sami Strzelcy śpiewali:

„Cóż to za kawał grata a to nasza harmata
Jak cielę uwiązana starym powrozem
Skacze jak opętana z tyłu za wozem!”

Ale po bohatersku kierowane i rzucone tuż prawie przed nieprzyjaciela nie mała to graty Moskali napsuły.

Tymczasem II Brygada Legionów pod dowództwem generała Durskiego rzucona została na węgierską ziemię – z dala od swoich – w Karpaty, by zatrzymać i odrzucić wdzierającego się do ziemi Świętego Szczepana rosyjskiego wroga. Prosto z wagonów posłano chłopców naszych do bitwy. Wypędzili najpierw Kozaków z węgierskiej ziemi Marmaroszu Ligia a potem zimą całą – wśród największych niewygód – głodu i chłodu powstrzymali najwyborowskie, w wojnie japońskiej zahartowane pułki syberyjskie. Zbudowali tam Legioniści własnymi rękami drogę przez przełęcz Pantyrską, z jednej strony Karpat na drugą gościniec drewniany – by móc dowozić żywność i amunicję i wywozić rannych. W 5 dni się uwinęli budując gościniec ten długi na 7 kilometrów!

Na jego szczycie, na najwyższym punkcie tej drogi Legionów, jak ją teraz na mapach nazywają, wzniesli 7-mio metrowy biały krzyż – a jeden z legionistów Adam Szania, rzeźnik z zawodu, polskiego zastępu zwykły szeregowiec, wyrył na nim bagnetem wiersz prosty a głęboki:

Młodzieży polska, patrz na ten krzyż
Legiony polskie dźwignęły go wzwyż
Przechodząc góry, doliny i wały
Dla Ciebie Polsko i dla twojej chwały

Krwawa zimowa kampania karpacka zapisała się w pamięci polskiej bitwami Legionów pod Nadwórną i Mołotkowem. W grudniu rozdzielono II Brygadę na dwie nierówne części. Jedna większa poszła wypędzać Moskali z Karpat najpierw na Huculszczyźnie – potem znowu na węgierskiej ziemi, wreszcie na Bukowinie i w Galicji. Potyczek i walk wszystkich trudno zliczyć bo by to za długo trwało – wspomnę tylko bitwę pod Kirlibalog stoczoną 18 stycznia 1915, która uitorowała wojskom sprzymierzonym – to jest austrijackim i pruskim drogę do Galicji.

Druga mniejsza część II Brygady pod dowództwem podpułkownika Hallera obsadzała przez całą prawie zimę wioskę galicyjską Rafajłową, na którą się okrutnie Moskale zawzięli, by ją dla siebie na leże za wszelką cenę zdobyć! Urządzili więc pod nieobecność Hallera, który wyjechał na urlop, nocny napad na okopy polskie, zakończony jednak zupełną porażką. 500 Moskali żywcem wzięli nasi chłopcy a więcej niż 100 zabitych okryło śniegi Rafajłowskie. Legł nawet dowódca tej nieudanej wyprawy – dzielny sztabskapitan Żoliofin. Od tej pory mieli Legioniści od Moskali spokój lecz zaczepiali ich sami, a w końcu odparli daleko.

Kiedy II Brygada tak ciężko w Karpatach zmagala się z nieprzyjacielem, I-sza tymczasem wojowała w zachodniej Galicji zasłaniając Kraków od ciągle pchających się Moskali – i na Podhalu – w naszych stronach, gdzie też przepędzili Mocha za dziesiątą granicę. Tutaj ludność dopomagała im dzielnie – tak że z tych stron najmiłsze wyniósł wspomnienie Piłsudski: „Tu człowiek oddycha swobodnie, czuje że jest w Ojczyźnie”, tak mówił umiłowany Komendant.

Po krwawych walkach pod Marcinkowicami i Limanową odparł Piłsudski wroga mimo wielkiej przewagi i wszedł radośnie witany do Nowego Sącza. Było to przed naszą wigilią Bożego Narodzenia 1915r. Strzelcy się cieszyli że święta spędzą wśród swoich – w gościnnym polskim mieście i Sącz oswobodzony cieszył się że obrońcom swoim zgotuje drzewko i opłatek. Tymczasem sroga dola żołnierska przecięła rozkazem wymarszu słodkie marzenie o spokojnych świętach, a los zgotował im wigilię krwawą pod gradem kul i granatów w pamiętnych okopach pod Łowczówkiem. Od 22-go do 25-go grudnia stali chłopcy nasi w ogniu i dymie – do tego głodni, bo przez drogi zawalone błotem tak że konie grzęzły, nie można było dowieźć pożywienia.

Trzeba było być Polakiem i walczyć o Polskę by w takich warunkach wytrwać! Nie podolałby temu żaden inny żołnierz – to śmiało powiedzieć możemy – prócz tych potomków rycerzy spod Wiednia i Chocimia! Na jednego polskiego żołnierza – często 17 letniego ucznia 6-tej lub 7-mej klasy wypadalo 4 do 5 Moskali, a wytrwali przez 4 dni i noce w szale bojowym, o głodzie i chłdzie. Nie cofnęli się na krok – nie załamali frontu – nabrali jeńca z wyborowych sybirskich strzelców, których często po 20 i 30-tu jeden nasz dzieciak prowadził „w plen”. Od 24 stycznia do 26 lutego była I Brygada na odpoczynku w Kątach a stamtąd poszła znów walczyć w Jędrzejowskie i Pińczowskie błota nad Nidą. Tam trwała długa, nużąca walka pozycyjna.

Dzień 3-go maja chłopcy postanowili uczcić! III kompania I pułku, I batalionu dostała rozkaz nocą przeprowadzić się na drugą stronę rzeki, zająć najbliższe okopy nieprzyjacielskie, wziąć jeńca a okopy zniszczyć dynamitem. Zadrżały chłopcom serca. Sposobili

się na wycieczkę z nabożeństwem ale radośnie, bo tam w głębi czarnej nocy – za rzeką czekała ich śmierć albo zwycięstwo i sława! Każdy z nich po to przecie wyruszył w pole! O wpół do dziewiętej kapelan ich rozgrzeszył i pobłogosławił, komendant przemówił krótko ale dobitnie: „Chłopcy, pamiętać! Trzecia kompania, psia krew! I poszli...

Około jedenastej wróciła Trzecia kompania cało i zdrowo prowadząc 62 jeńców. Nie wystrzelili ani jednego ładunku, nie utracili ani jednego człowieka a spełnili rozkaz i żywcem – gołymi rękami wywlekali Mochów z okopów, którzy oglupiali i przerażeni dali się prowadzić jak barany. Rzecz cała odbywała się w zupełnej ciszy – nie padł ani jeden strzał, więc z okopów sąsiednich nikt z pomocą nie nadbiegł i chłopaki wrócili bez szwanku. Uczcili po swojemu narodowe święto!

Potem – już po przełamaniu linii moskiewskich nad Dunajcem – to jest po przepędzeniu ich z pod Gorlic, ruszyli się Moskale i znad Nidy. Legioniści za nimi! Były bitwy pod Konarami, zwycięska pod Kozinkowem, która trwała od 22 do 25-go maja i kosztowała nas wiele bolesnych strat. Potem potyczki ułańskie pod Bidzinami 24 czerwca – pod Stodolami, gdzie bohaterską śmiercią poległ kapral Korski, który ranny w nogę, leżąc, póty się bronił otaczającym go Moskalom – póki go bagnietami nie zakłuli na miejscu. Temu to bohaterowi Warszawa sprawiła owacyjny pogrzeb.

Stoczyli jeszcze legioniści bitwy pod Tarłowem i Józefowem. Czwarty, nowo sformowany pułk przyłączono do I Brygady. Kiedy zdobyli Lublin tak o tym śpiewały Lublińnianki zasypując ich kwiatami:

Jak to było ładnie kiedy do Lublina
Na karkach Moskali wjechał Pan Belina
Jak to było ładnie gdy potem na rynku
Stanął z ułanami w bojowym ordynku
Na żołnierskich znakach kędyś nad głowami
Zaszumiały orły białymi skrzydłami
I kto chciał to słyszał w Lublinie i wszędzie
Jeszcze nie zginęła jeszcze jest i będzie!

Za Lublinem raz jeszcze Moskale stawili zacięty opór pod Jastkowem. Trzy dni trwała walka. Tu wstawili się młodzi czwartacy. 50-ciu ich poległo, wielu było rannych ale zdobyli silne obwarowania zwane redutą. Teraz już droga na Litwę była otwarta. Legioniści rwali się do bitwy o stolicę naszą, o Warszawę, śpiewali pieśni o tem marzeniu złotem:

Marsz, marsz Piłsudski
Prowadź na bój krwawy
Za twoim przewodem
Wejdzim do Warszawy!

Ale podstępny, chytry – dobrze wszystko obliczający Krzyżak w pikielhaubie nie dopuścił do tego by polskie ręce odbiły Warszawę. Polacy krwawili się w ciężkich bitwach i wygnali wroga z całej krainy polskiej – ale gdy już Moskal się cofał i bronić wiele nie myślał – stolicę oswoił Prusak by światu głosić mógł że on zdobył stolicę więc w niej rządzić zwierzchniczo ma prawo!

Szatańskie plany ich, wtedy dopiero przez niewielu z bystrzejszym poglądem a może tylko lepiej znających Niemców ludzi odgadywane, dziś cały obietnicami długo tumaniony naród ma jasno przed oczyma.

Po drodze przeszli jeszcze nasi żołnierze męczeńską ziemię podlaską i Chetmszczyznę. Tę ziemię, której lud krwią niejednokrotnie wypisał świadectwo przynależności swojej do polskiej narodowości i do polskiej wiary! Tam kapelani legionowi nieśli duchową pociechę płaczącym głośno z uniesienia unitom to jest katolikom greckiego obrządku, którzy od lat nie spowiadali się ani dzieci nie chrzcili, bo nie chcieli iść do popa a księdza im nie dawano!

Tu ci nasi apostołowie z białym orłem na czapkach i na sztandarze, znaleźli w marszu wojennym czasu dosyć, by niejedną cerkiew bezprawnie przez Moskali na prawosławną przerobioną na nasz kościół przemienić. Tak było we wsi Drelowie, tak było w Leśnej.

Tymczasem II Brygada odpocząwszy przez kilka tygodni w Kołomyi poszła z wiosną na nowe walki biorąc z sobą wielu ochotników szczególnie górali karpackich czyli Hucułów. W pierwszych dniach czerwca ruszyli Legioniści naprzód pchając Moskali przed sobą.

W bitwie pod Lubrańcami cudów wytrwałości i waleczności dokonywał dzielny żołnierz karpacki. Bo nie tylko zwyczajne trudy bitwy musiał ponieść ale jeszcze duży marsz zupełnie bez dróg, po zaoranej roli – przez jary i błotniste zarośla, w straszny upał letni prażący, jak ogniem. A zmogli wszystko nasi dzielni wojacy i zmusili Moskali do ucieczki a z własnego ich karabinu maszynowego prażąc ogniem rozpędzili artylerię moskiewską biorąc po niej w spadku 4 karabiny maszynowe a oprócz tego jeszcze 2 bataliony jeńców nabrali! Uznała to męstwo bezprzykładne komenda austrijacka i nazwała ten dzień „dniem Polaków”.

12 czerwca wkroczyła II Brygada w pogoni za wrogiem do jego prowincji Besarabii. Wiele godzin przeszło w ciężkiej walce zanim w nocy odebrano wieś Rokitnę. Tu nieśmiertelną sławą okryła się konnica polska pod wodzą komendanta Wąsowicza biorąc atakiem poczwórne okopy rosyjskie. Powiadają fachowi ludzie, że rozkaz, który dostał Wąsowicz był pomyłką, bo nikt dzisiaj nie wysyła konnicy do takiego ataku – kiedy ta nie mogąc strzelać w pędzie stanowi tylko cel bezbronny do ukrytego w okopach nieprzyjaciela i naraża się na wybite zanim dobiegnie do celu. Inny żołnierz i inny dowódca pewnie nie poszliby na śmierć tak pewną jak dwa a dwa jest cztery. Ale dla Polaka, gdy chodzi o sławę i honor oręża polskiego nie ma rzeczy niepodobnej!

Poszli w 60-ciu – poszli jak burza – jak wicher – jak grom! Zdobyli okopy – zdobyli podziw swoich



Rotmistrz Zbigniew Dunin Wąsowicz
mal. J. Ryszkiewicz



Rokitna mal. Wojciech Kossak

i zachwyty nieprzyjaciela co do dobiegających do czwartej linii okopów już nawet nie strzelał a czapki w górę wyrzuciwszy wołał „gierojom sława!” Ale gdy stanęli u mety z 60-ciu pozostało 6-ciu! 15-tu padło, 8 zaginęło, reszta ciężkie odniosła rany.

Zginął komendant Wąsowicz, zginął porucznik Topór

Kisielnicki, zginął porucznik Włodek. Zginęło 15 ludzi młodych, odważnych i dzielnych – których życie przydatniejsze byłoby ojczyźnie niż ta śmierć bez celu na wadliwy austriacki rozkaz!

Wiele jeszcze bojów stoczyła II Brygada, wszystkie jednakowo dla oręża naszego chlubne. Tymczasem w kraju coraz większe robiono starania żeby wszystkie brygady połączyć. Tęsknili do tego i sami żołnierze polscy, pilno im było poczuć się nareszcie w jednej wielkiej gromadzie – jako że to wtedy zawsze większa siła i człowiekowi raźniej

Długo, za długo tułali się rozłączeni, rozsypani po dalekich krańcach swoich i obcych ziem, tęsknotę za krajem, za umiłowaną ojczyzną przelewając w pieśń – wierną drużkę i pocieszycielkę żołnierskiej doli. Dziwnie prosto a szczerze przemawia do nas dźwięk tej nieuczzonej piosenki zwróconej do generała Darskiego podczas karpackiej tułaczki:

Jedzie pan generał, jedzie samym przodem
Raz to na koniku a raz samochodem
A za generałem cały sztab w ordynku
Przejechali Węgry prawie bez spoczynku,

Prowadzą prowadzą, do Polski nas wiodą
Do Polski nas wiodą
Tylko że nie wiedzą którą by to drogą

Prowadź że nas prowadź, Panie Generale
Przy tobie Moskala nie boim się wcale
Prowadź że nas prowadź choćby jak najdalej
Byleśmy się wreszcie do Polski dostali!

I dostali się wreszcie do Polski w październiku 1915 roku przemaszerowała II Brygada na Wołyń, gdzie I Brygada już od kilku tygodni dzielnie biła Moskala w bagnach nad Styrem i Stochodem. Przybył tam także najmłodszy pułk 6-ty, dopiero utworzony ze świeżych ochotników, który wspólnie z 4-tym utworzył III Brygadę.

Wszystkie siły legionowe zostały wreszcie połączone na jednym miejscu – odtąd już razem miały walczyć z odwiecznym wrogiem – razem pracować nad utworzeniem mocnego i bitnego wojska polskiego, bojującego dla Polski!

Ale Prusak inne względem nas miał zamiary. Takie bohaterskie wojsko – taki żołnierz niezrównany walczący wspólnie z Niemcami był im bardzo na rękę. Zнали miłość Polaków do Ojczyzny – wiedzieli że przy dźwiękach mazurka Dąbrowskiego obiecującego im że jeszcze nie zginęła, pójda na dziesięćkroć liczniejszego wroga i zwyciężą. Zнали też niestety zapalność i łatwowierność na-



Rokitna mal. A.Bylina

szą i postanowili nas łudzić obiecankami nie dając nic pewnego – a wskazując nam gdzieś – kiedyś, po bojach zwycięskich majak wolnej, z łaski Niemiec, Polski.

Przytem patrzyli z bólem w duszy i zawiścią w sercu na tyle pozostawionego przez Moskali materiału ludzkiego w Królestwie, którego Niemcom według prawa międzynarodowego pod broń powoływać nie było wolno.

Wymyślili w krzyżackich bystrych głowach plan szatański. Manifestem z dnia 5 listopada 1915 roku niepodległe państwo polskie ale bez granic – z rządem zwanym „Tymczasową Radą Stanu”, bez prawa rządzenia, za to z prawem werbowania do wojska polskiego, któryby ślubowało Niemcom braterstwo broni i nad którym zwierzchnictwo miałby generał niemiecki!

Ale tu się Niemcy przeliczyli! Polacy w Królestwie okazali się politycznie dojrzałymi, trzeźwymi i zdrowo na ich kręte drogi patrzącymi obserwatorami. Jasnowidzów nie wabiły uwodzące wieści. Cesarz austriacki podarował Radzie Stanu Legiony w tej myśli, że one dziesięciokrotnie się pomnożą rekrutem z Królestwa i potem wdzięcznie pójda pełnić straż nad Renem! Rada Stanu Legiony przyjęła – ale rekruta nie dała i oparła się wysłaniu Legionów na front. W odpowiedzi na to wbrew uczynionej darowiźnie rozdzielono legionistów na poddanych austriackich i królewiaków i kazano tym ostatnim przysięgać braterstwo broni Niemcom i bezwzględne posłuszeństwo zwierzchności niemieckiej.

Żołnierzowi polskiemu który tyle krwi przelał, tyle głodu i chłodu przemógł, tyle walk bohaterskich przetrwał z myślą i wiarą że to dla Polski – przysięgać kazano nie Pol-



„Siódemka”, zaczątek odrodzonej jazdy polskiej. U góry: Ludwik Kmicic Skrzyński, Władysław Belina Prażmowski, w środku: Zygmunt Bończa Karwacki, Stanisław Grzmot Skotnicki, Janusz Głuchowski, Antoni Zdzisław Jabłoński, u dołu leży Stefan Hanka Kulesza. Fot. ze zbiorów Krzysztofa Chwaliboga

sce ale Niemcom! Tym Niemcom na których rabunkową gospodarkę patrzyli w Królestwie i których nienawiść do żywiołu polskiego coraz lepiej poznawali. Większość chłopców odmówiła przysięgi, za co uwięzili i wywieźli ich Prusacy do obozu jeńców wojennych do Szczypiorna, Beniaminowa i Łomży a oficerów do Zegrza. Uwięziono Piłsudskiego i wywieziono go w głąb Niemiec!

Pomieszczono ich w takich warunkach że tyfus głodowy – tyfus brzuszny i dyzenteria zbierały wśród tych nowych męczenników obfite żniwo. Społeczeństwo robiło co mogło. Zawiązało się towarzy-

stwo opieki legionowej – zbierano składki – dostarczano im odzienia, bielizny, żywności, lekarstw, słodzono im dolę niewoli we własnym kraju o ile było można i o ile było wolno!

Legioniści –poddani austriaccy zgłosili w większej części wystąpienie z Legionów, w których już nie widzieli wojska wolnego wolnej niepodległej Polski, lecz najemnych żołnierzy sprzedających się za mundur, broń i żołd. Pozostali którzy objawili chęć wstąpienia do armii austriackiej – gdzie również walczyć musieli nie w swoim interesie ale przynajmniej nie w polskim uświęconym mundurze, zostali przydzieleni zaraz do różnych pułków austriackich i wysłani gdzie śmierć najkrwawsze zbiera żniwo – na włoski front. Część bardzo mała Królewaków, którzy przysięgli i część mniejsza poddanych austriackich, która została pod sztandarami legionowymi, w przekonaniu – że trzeba by przecież został jakiś zawiązek przyszłej armii polskiej, zostali wysłani na Bukowinę.

Kiedy państwa sprzymierzone to jest Austria i Niemcy zawarły pokój z Rosją w Brześciu Litewskim i za ten pokój darowali Ukraińcom część ziemi polskiej zwanej Chełmszczyzną, kiedy dopuszczono się na nas nowego gwałtu i bezprawia zamiast obiecanej za krew naszą w tyłu bitwach przelaną, wolnej, niepodległej Polski dano nam nowy, czwarty jej rozbiór – wtedy w naszych chłopakach zakipiła krew!

Na zbrojny protest – na walkę orężną było ich za mało – garść nic nie znacząca wobec armat i karabinów maszynowych „sprzymierzeńców i opiekunów naszych”! A wiedzieli – słyszeli, że po tamtej stronie utworzyło się także polskie wojsko – takie jakby legiony walczące za Polską i przebijają się do Polski pod wodzą generała Dowbór Muśnickiego i Michelisa.

Decyzja była prędką – żołnierska – tu nie zrobimy już nic, a tam czeka nas jeszcze czyn dla Polski! Więc idźmy tam gdzie czyn! Chcieli przejść wszyscy zbrojnie granicę nocą z dnia 15 na 16 lutego i pójść szybkim marszem do Kamieńca Podolskiego gdzie stał generał Michelis.

Jednomysłność była zupełna... Co się stało – jakie zaszły wypadki, jakie działały sprężyny, że przeszła ich tylko część a większość aresztowano – to przyszłość dopiero wyjaśni.

Dzisiaj tylko to jest pewne – że baraki jeńców w Hust na ziemi węgierskiej zapełniono naszymi chłopcami – oswobodzicielami tej węgierskiej ziemi! A znajdują się tam w tak opłakanym stanie – w takiej wprost nędzy – że jak piszą gazety – patrząc na ich dolę krwawymi łzami człowiek płacze! Żywią ich tam tak chojnie – że według jednego z nich – kawę, którą im dają, gdyby ktoś przez tydzień składał toby nie uzbierał litra! Brak im bielizny, brak odzienia, brak lekarstw dla chorych, których jak w każdym takim stłoczeniu ludzi w okropnych warunkach higienicznych nie brakuje!

Za wszystko co przeszli – co przecierpieli, co przewojowali – taka im nagroda... Niewola, nędza i głód....A przecież to dzieci nasze! To nasi synowie – bracia – narzeczeni! To krew z krwi naszej i kość z naszych kości! Nie wolno nam ich tak zostawić! Święty obowiązek nasz pamiętać o tych co życie – młodość – zdrowie ponieśli w ofierze na stos wojny, by nam dać wolną ziemię pod stopami i wolne niebo nad głową! Więc jak ktoś może powinien się przyczynić, by ulgę przynieść tym naszym biedakom uwięzionym.

Pieniądze zebrane podczas podpisywania protestu z dnia 18 lutego b.r. a których jest przeszło 500 koron wysłamy na ten cel do redakcji Kuriera codziennego – a kto może i ile może niech dorzuci jeszcze – bo wiecie jaka teraz drożyzna – a tam cierpią głód tysiące chłopaków naszych, co czynem zawołali: „Nie damy ziemi skąd nasz ród!”

Nie dajmy my im za to zginąć z głodu! Tak okażmy im naszą wdzięczność i naszą łączność z niemi naszą wiarą niezłomną w to: „Że ta co nie zginęła z ich ofiarnej powstanie krwi!

I tak kończy się ten niezwykle obszerny tekst – wykład historii legionów, jaki Józefa Chwalibogowa zapewne wygłosiła na zebraniu Ligi Kobiet lub innego patriotycznego zgromadzenia. Słowa te czytane dzisiaj mogą brzmieć chwilami patetycznie i dramatycznie czy sentymentalnie. Pamiętajmy jednak że były pisane w kraju który jeszcze nie odzyskał niepodległości po 120 latach niewoli.

Wydaje się, że nie można było pominąć zawartości zniszczonego czarnego brulionu, który z tym zapisem miał po dwudziestu kilku latach przejść daleką tułaczkę zanim powrócił do Polski. Jest on jakimś drobnym ale cennym ułamkiem historii Łącka z roku 1916-go. Ułamkiem który pozostawia rodzina łąckich Chwalibogów.

- 1) „przyszli my” – w całym tekście zachowuję większość oryginalnych wyrażen z języka jakiego używała autorka.
- 2) „w Czerncu” – w naszej rodzinie tak odmieniało się nazwę Czerniec i tak mówiono w latach kiedy bywałem w Łącku.

1.

Chociaż byliśmy sąsiadami, gdyż jego dom, zbudowany przez ojca w latach sześćdziesiątych w Czarnym Potoku, znajdował się tuż koło Krupówki, chaty, w której się urodziłem, nie zetknęliśmy się w dzieciństwie. Dzieliła nas różnica dwunastu lat. Kiedy on ukończył pierwszy rok życia, ja udałem się „do szkół”, do liceum ogólnokształcącego w Nowym Sączu, a potem na studia do Krakowa. Później parę razy spotkaliśmy się przypadkowo na grzybobraniu w okolicach Czarnego Lasu. Pewnego popołudnia – pamiętam – wyłonił się z gęstwiny szczupły mężczyzna, o ascetycznej twarzy, w pelerynie od deszczu jak pλανetnik z opowieści mojej matki. Wymieniliśmy konwencjonalne uprzejmości, zajrzeli do koszyków zaciekawieni obfitością zbiorów i każdy poszedł w swoją stronę zazdrośnie strzegąc pewnych miejsc z prawdziwkami. Podczas moich rzadkich zresztą pobytów we wsi, podczas rozmów z sąsiadami raz po raz powracało jego nazwisko. Uważano go za oryginała, padało słowo „artysta”; łązi po lesie, ciekawią go stare charakterystyczne postaci jak Jantoska, służąca u Michała Rostockiego, chyba rozmawia z ptakami. Inny! Inny niż jego brat, który pracuje w Nowym Sączu i uprawia odziedziczony po ojcu skrawek pola, inny niż jego szkolni koledzy ze wsi.

Kiedyś w Boże Ciało odwiedziłem jego matkę Stefanię, dzisiaj ponad pięćdziesięcioletnią kobietę. Lato spędza w starym domu, jaki wybudowali z mężem. To drewniana z werandą chałupa, oszalowana pomalowanymi na żółto deskami, charakterystyczna dla tej okolicy. Na zimę udaje się do syna Adama, który mieszka obok, w murawanej „piętrówce”, tam jest ciepło. Mimo podeszłego wieku jest sprawna, bez trudu chodzi do kościoła, odwiedza sąsiadkę Ludwikę Pulit, młodszą od niej o rok. – Coraz mniej tych koleżanek – powiada z żalem.

Na ścianie izby, w której rozmawiamy, obrazek syna, a na nim stylizowana według wyobraźni ludowej postać anioła na tle przydrożnej kapliczki. To „Anioł wiejski” – objaśnia. Opowiada, że Włodek już w przedszkolu, w ochronce u zakonnic ujawniał talent malarski. Zwraçała jej na to uwagę siostra Mieczysława. Pamięta, że już jako małe dziecko rozróżniał kolory: „gdzie jest moja fioletowa piłka” – wołał. Wcześniej mieszkali w starym drewnianym dworze państwa Reklewskich w środku wsi, tzw. „Resztówce” po parcelacji. Tam się Włodek urodził, tam jako dziecko poznawał gości, co z Krakowa przybywali, a bywali tam m.in. Ludwik Solski i Jan Taranczewski, który przyjeżdżał na plenery. Obserwując go przy pracy pewnego razu syn stwierdził, „jak dorosnę to zostanę albo malarzem albo nieudacznikiem”. Być może, iż to przypadkowe spotkanie dziecka z artystą i sztuką w tej – jak się to kiedyś mówiło – zabitej deskami wsi miało swój udział w wyborze jego drogi życiowej. Matka z syna artysty jest dumna. Cieszy się z każdego jego odwiedzin, wizyt synowej i wnuczek.

2.

Bliższy kontakt z Władysławem Bartkiem Talarczykiem nawiązałem przed trzema laty. Pewnego dnia zatelefonował do mnie, przypomniał wspólne czarnopotockie korzenie i zaprosił na retrospektywną wystawę malarstwa i tkaniny w 30-lecie pracy twórczej pt. *Powrót* w Galerii Pałacu Vauxhall w Krzeszowicach. Zaproszenie przyjąłem. Od tej pory stale towarzyszę jego wernisażom, m.in. otwarciu wystawy prac, jaka miała miejsce w Centrum Kultury i Rekreacji Seniorów w Krakowie, zorganizowanej w piętnastolecie prowadzenia przezeń warsztatów plastycznych dla ludzi starych, czy ekspozycji *Mistrz i uczniowie* w grudniu 2009 w Krzeszowicach (zorganizowanej również z tej okazji), wystawie malarstwa w Starym Sączu z okazji jubileuszu siedemsetpięćdziesiątej rocznicy powstania miasta; wernisażach w krakowskich kawiarniach i hotelach. Odwiedziłem artystę w jego mieszkaniu – pracowni na Kurdwanowie, nabyłem dwa obrazy *Sądeckie wspomnienie* oraz *Chata*. Z dnia na dzień odkrywam w jego malarstwie coraz nowe aspekty. Stało się ono bardzo mi bliskie, a artysta – jeżeli tak można rzec – przyjacielem. Połączył nas rodzinny krajobraz wsi położonej 650 m. nad poziomem morza, a więc krajobraz górski ale oswojony, bez ekstremalnych wzniesień, o stosunkowo łagodnym klimacie, dzięki któremu zmieniał się on na naszych oczach, zarastał coraz to mocniej nowymi sadami, a wiekowe chaty znikają z niego, zastępowane przez murowane „piętrówki”. Ten stary krajobraz pozostał jednak w wyobraźni malarzkiej Władysława Tatarczyka, któremu znajomi i przyjaciele nadal dali miano „Bartek”.

3.

Anna Konopka, kurator wystaw Galerii w Pałacu Vauxhall w Krzeszowicach, od lat towarzysząca twórczości Bartka, na otwarciu wystawy w Galerii Faust w Krakowie w lutym 2008 roku powiedziała:

„Znamy się z Bartkiem Talarczykiem od bardzo, bardzo wielu lat i mam możliwość obserwowania tego artysty. Artysty, który po pierwsze od zawsze wie to, co powiedział mi Wajda. a więc artysty, który kocha to, co robi, i który przez lata tworzy swoją malarską księgę, na przekór wszelkim okolicznościom (o tym zapewniam!) i modom. I artysty, który przez cały czas sięga do miejsca, z którego jest, i do swoich korzeni, który ma tych korzeni głęboką świadomość”.

Miejszem tym jest wspomniany już Czarny Potok, w którym w 1949 roku przyszedł na świat, skąd udał się do Wiśnicza, do tamtejszego liceum sztuk plastycznych, by uczyć się tkactwa artystycznego. Z kolei na jego drodze edukacyjnej był Kraków, Akademia Sztuk Pięknych, której drzwi szturmował dwukrotnie. W końcu się udało. Studiował na Wydziale Malarstwa ze specjalnością tkanina artystyczna. Dyplom uzyskał w roku 1979 u prof. Stefana Gałkowskiego, równocześnie odbył studia malarskie w pracowni prof. Włodzimierza Buczka. W latach 1980 – 1987 zamieszkał w Krzeszowicach. Decyzja ta miała podłoże ekonomiczne. Tu można było w bloku kupić mieszkanie taniej niż w metropolii. A nie przelewało się wówczas. Utrzymanie rodziny, dwóch córek dla młodego artysty było nie lada wyzwaniem, na domiar

złego dla twórcy uprawiającego sztukę pracochłonną i kosztowną, jakim jest tkactwo artystyczne. Anna Konopka uważa, „że spokój krzeszowickiej prowincji, przyroda, przestrzeń, wiejskie krajobrazy wokół miasteczka przypominały mu trochę rodzinny Czarny Potok koło Łącka i zamieniły się w energię twórczą”. Jego sąsiedzi, znajomi wspominają go z tych czasów jako człowieka pogodnego, łagodnego, uśmiechniętego, niezwykle uczynnego, życzliwego. Ta pogoda ducha pozwala mu akceptować, afirmować miejsca, w których się znalazł, żyć z dala od polityki, od zawirowań współczesności, żyć w swoim mitycznym, uporządkowanym świecie. tak jest zawsze, tak było w Krzeszowicach, tak jest teraz w Krakowie.

4.

Twórczość artystyczną rozpoczynał Władysław Talarczyk od tkaniny unikatowej. Malarstwo bez towarzystwa tkaniny zaczął uprawiać dopiero po roku 2000. Jakie były przyczyny porzucenia tej pierwszej jego fascynacji artystycznej? Myślę, że przede wszystkim rosnący z roku na rok brak zainteresowania galerii tkaniną. „W malarstwie Talarczyka – napisała Jolanta Antecką – czuje się bliskie związki twórcy z tkaniną: w budowaniu obrazu, w posługiwaniu się kolosem. Kreuje świat z pogranicza baśni i rzeczywistości, snu i bardzo materialnej jawy – bez względu na to, czy maluje pejzaż czy przypowieść” („Dziennik Polski” 5 kwietnia 2005). Marcin Kołpakowicz uważa wręcz, „że właśnie z tego dialogu między krosnem tkackim a malarstwem zrodził się specyficzny, syntetyczny i dekoracyjny styl Talarczyka, jego malarski >>charakter pisma<<” (*Katalog do wystawy w Ostoya Palace Hotel w Krakowie, 2006*).

Krytycy sztuki, dziennikarze zajmujący się plastyką od lat próbują sklasyfikować dorobek artystyczny Talarczyka, umieścić go w kontekście tradycji. On sam przyznaje się do fascynacji Rembrandtem i Tadeuszem Makowskim, a więc artystami z dwóch pozornie odległych biegunów, z jednej strony „manichejska walka światła z ciemnością”, a z drugiej zaś „nostalgiczne wspomnienie zabaw w pokoju dziecięcym”. Jeżeli się bliżej przyjrzeć obrazom Talarczyka, to łatwo na jego płótnach odnaleźć ślady tych fascynacji: holenderskim mistrzem na abstrakcyjnych, monumentalnych obrazach, Makowskim na małych prezentujących anioły, strachy na wróble, postaci wiejskich chłopców w trójkątnych czapkach na głowie czy dziewcząt w podobnych nakryciach. Malarstwo Talarczyka raz po raz świadomie ociera się o kicz, przypomina zabawki sprzedawane ongiś na odpustach. Ten sam kolorowy świat, te same niebieskie, złote czy czerwone barwy. Wieś Bartka jest wsią mityczną, pełną aniołów, postaci ze zwierzętami, a to z kotem, a to z krukiem, kapliczek przydrożnych, chat strzechą krytych, z rozwalającym się drewnianym płotem i nieodłącznymi malwami. To świat, którego dzisiaj w Czarnym Potoku już nie ma. Pewne jego relikty mógł zapamiętać z dzieciństwa, jak dom Michała Rostockiego czy chatę Tadeusza Cyconia (Michorowskiego). Jako historyk literatury nie mogę, nie przywołać tutaj kontekstu literackiego, a mianowicie prozy Tadeusza Nowaka, mitycznego świata *Diabłów, Dwunastu* czy *A jak królem, a ja katem*. Wprawdzie literatura, operująca słowem, dawała pisarzowi inne możliwości niż te, którymi dysponuje malarz, to jednak można mówić u obu autorów o analogii kreowanych światów mitycznej rzeczywistości wiejskiej.

„Wieś w malarstwie Talarczyka – napisała Anna Konopka – jest ukazana jako miejsce nierealnego bytowania, ostoja poetyckich, magicznych wydarzeń. Jego piękna malarska księga jest opowieścią o wsi z jej wierzeniami, moralnością, sposobem myślenia i tak ważnym podziałem świata na to, co dobre, i to, co złe. To jednoznaczna i jasno określona moralność buduje świat czysty i piękny, gdzie zło nie ma dostępu. Bezpieczna bajkowa strona życia. Bartek jest właścicielem niezwykle pogodnego świata wewnętrznego, w którym panuje akceptacja, brak chaosu i strachu, dobre spojrzenie na wszystkich ludzi, tolerancja. Wszystko jest poukładane, bo wynika z głębokiej wiary” (Katalog wystawy *Władysław Talarczyk i Uczniowie*, Krzeszowice, grudzień 2009).

Przytoczyłem dłuższy fragment wypowiedzi przyjaciółki artysty, gdyż jak sądzę – postawiła ona tutaj niezwykle trafną diagnozę na temat osobowości twórcy, która kształtuje nie tylko jego życie ale jest również widoczna i na tkaninach, i obrazach.

Talarczyka fascynuje postać ludzka, poświęca jej sporo miejsca w swej twórczości. Daleki jest od realistycznego odwzorowywania rzeczywistości, są to postaci z innego wymiaru, z mitu, z baśni, o nieco kubistycznej fakturze. Przypomnijmy niektóre tytuły: *Stróż ptasich gniazd*, *Wytchnienie*, *Objawienie*, *Niebieski anioł*, *Myśliciel*, *Mały czarodziej*, *Jasiek od kotów*, *Franciszek z krukiem*, *Łąka*. Czy pierwowzorów tych postaci można szukać w prymitywnej rzeźbie ludowej, w której samoucy kreowali świat według własnej wyobraźni? Myślę, że tak, chociaż malarstwo Talarczyka jest bardzo dojrzałe, wynika z głębokich przemyśleń, refleksji nad życiem. Nie bez znaczenia jest tutaj zapewne wieloletnia praca pedagogiczna artysty z ludźmi starszymi, systematyczny z nimi kontakt.

5.

Jest w dorobku artystycznym Władysława Talarczyka jeszcze jedna warstwa, inna grupa obrazów, w których ujawnia się malarz jako kolorysta, odważnie operujący zestawieniami ostrych barw: czerwonej, żółtej, niebieskiej. Oto niektóre tytuły tych płócien: *Vanitas*, *Misterium*, *Katedra*, *Grand Opera*, *Boreasz*, *Vanitas II*. Na tych monumentalnych płótnach, tworzonych szpachlą i laserowanych, chyba najwyraźniej widać jego doświadczenia wyniesione ze szkoły tkactwa artystycznego, a więc wykorzystanie większych przestrzeni, śmiałe pociągnięcia pędzlem, zdecydowana kolorystyka. Niewiele odbiegają w swej kolorystyce od obrazów abstrakcyjnych jego płótna z cyklu „martwa natura”. I tak *Martwa natura z kotem* to przede wszystkim przestrzeń wypełniona kolorem żółtym i czerwonym z trzema owocami i w rogu czarnym kotem, podobnie *Cytryny* (znowu dominuje czerwień i żółty kolor owoców), czy *Martwa natura* (kolory czerwony, żółty, niebieski).

W ostatnim czasie w twórczości Talarczyka pojawił się motyw drogi, nie jest to zapewne jeszcze cykl zamknięty, a droga ma wielorakie metaforyczne konotacje: „Ale u Bartka – stwierdziła Konopka – ta droga znowu ma charakterystyczny dla niego, pozbawiony dramatyzmu wyraz, nie jest końcowym pytaniem i tragicznym wyborem. Jest propozycją dalej mieszczącą się w pogodnej wizji życia z takim jednoznacznym

podziałem na to, co dobre i złe. Ta jednoznaczna i jasno określona moralność buduje malarski świat niezwykle czysty i piękny, i bezpieczny i niewzruszony. Niezmienny punkt odniesienia, do którego chce się powrócić” (*Słowo wstępne na otwarcie wystawy w galerii Faust*. Luty 2008).

Władysław Bartek Talarczyk obchodził w roku 2009 trzy ważne rocznice: 60. urodzin, 30-lecie pracy twórczej oraz 15-lecie pracy dydaktycznej w Miejskim Dziennym Domu Pomocy Społecznej w Krakowie, gdzie prowadził – jak już wspominałem – warsztaty plastyczne. Jest artystą dojrzałym, w pełni sił twórczych, artystą osobnym, niezależnym, żyjącym w swym własnym świecie sztuki, nieczułym na mody estetyczne, daleki od koterii artystycznych. Aczkolwiek już od 1981 należy do Związku Artystów Plastyków, niedawno wstąpił do Stowarzyszenia Twórczego Polart; jest aktywny na rynku wystawienniczym: uczestniczył w ok. dwudziestu wystawach zbiorowych w kraju i za granicą, miał dwadzieścia wystaw indywidualnych, a w *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej* zamieszczono jego biogram.



Władysław Bartek Talarczyk z żoną i córkami



Bartek Talarczyk ze swoją tkaniną



B. Talarczyk „Stróż ptasich gniazd” (olej, płótno)



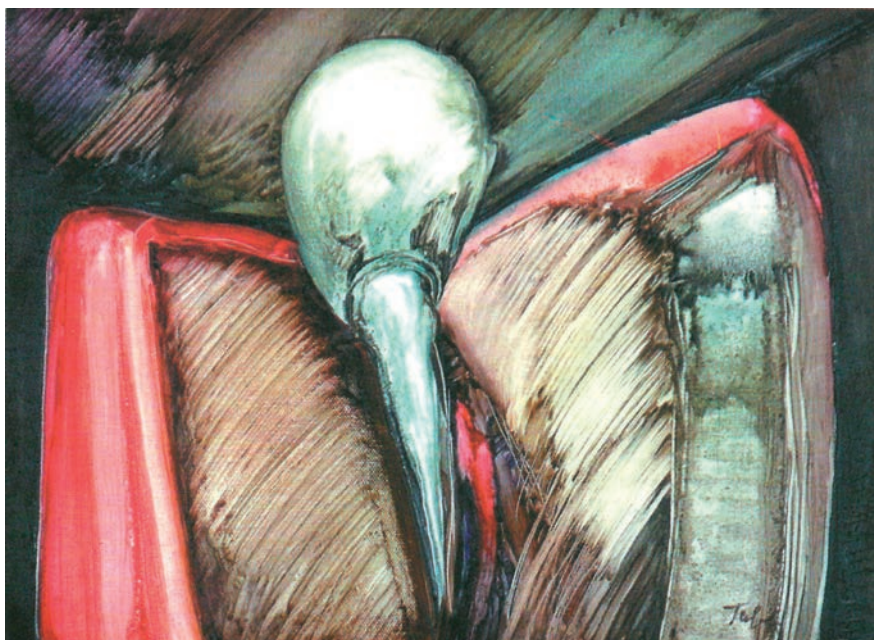
B. Talarczyk „Czerwone korale” (olej, płótno)



B. Talarczyk „Zastony IV” (olej, płótno)



B. Talarczyk „Spotkania” (olej, płótno)



B. Talarczyk „Ptaszysko” (olej, płótno)



B. Talarczyk „Teatr” (olej, płótno)



Zatrzymane w kadrze



*Edward Oleksy (nauczyciel) i Jan Łatka,
1958 rok. Ze zbiorów Fryderyka Jana Łatki*



*Jan Łatka, 1958 rok. Ze zbiorów Fryderyka Jana
Łatki*



Jazowsko – budowa mostu. Ze zbiorów Wincentego Tokarza



Jazowsko, stary most, lata 70. Ze zbiorów Wincentego Tokarza



Łabuda Andrzej – rolnik z Obidzy. Ze zbiorów Fryderyka Jana Łatki



Przysłop. Ze zbiorów ZP o/Obidza



Panorama Obidzy. Fot. Wincenty Tokarz, 2010 rok



*Stanisława Kozik, pocz. lat 50 XX w.
Ze zbiorów Stefana Kozika*



Stara kaplica w Brzynie. Ze zbiorów Wincentego Tokarza



Wojciech Łatka, Obidza – Majerz, ok. 1935 r. Ze zbiorów Fryderyka Jana Łatki



Zagroda Owsianków, Brzyna. Ze zbiorów Wincentego Tokarza



Znalazłem zdjęcie z lat pięćdziesiątych przedstawiające łącki rynek. W samym centrum stoi Piotr Jarek, pracownik Gminy, którego obowiązkiem było ogłaszanie rozporządzeń i obwieszczeń urzędowych. Robił to przy pomocy werbla, wałąc pałką w bębny i odczytując treść zarządzenia.

Pamiętam jedno takie obwieszczenie przed kościołem :

„Podajecie do wiadomości. Dzisiaj po drugiej mszy świętej (w tym miejscu wszyscy mężczyźni, razem z członkami PPRu zdejmowali nabożnie czapki i kapelusze z głów) łodbydzie się w remizie strażackiej zebranie partyjne członków PPR. Pamiętajcie cobyście wszystka przyśli, bo bedom ważne sprawy omawiane.”

Miejsce ogłoszeń w niedzielę przed kościołem było wybrane nie przypadkiem. Wszyscy członkowie PPR chodzili wtedy do kościoła!

Na powiększonej fotografii widać więcej szczegółów: z tyłu za Jarkiem wylania się postać kaleki Karola, syna Francigi, gospodyni u Salomei Wadowskiej. Karol często prowadził powiązane łańcuchami 2 lub 3 krowy na pastwisko w Niemieckiej Wsi. Trudno sobie wyobrazić jak on to robił, ale było to możliwe, bo wtedy po drogach jeździły tylko furmanki!



Po drugiej stronie rzeki widać wózek ciągniony przez Franciszka Górskiego, zwanego Irzykiem. Mieszkał w chałupie pożydowskiej w rynku. Po rynku tym kuştykał zajmując się do różnych usług. Nosił wodę ze studni, rąbał i piłował drewno, kolaską (wózkiem dwukołowym) przewoził worki ze zbożem i inne różne rzeczy.

Nad rzeką widać kładki drewniane, zwane ławami, których było w obrębie rynku 4, oraz 2 mosty, też drewniane.

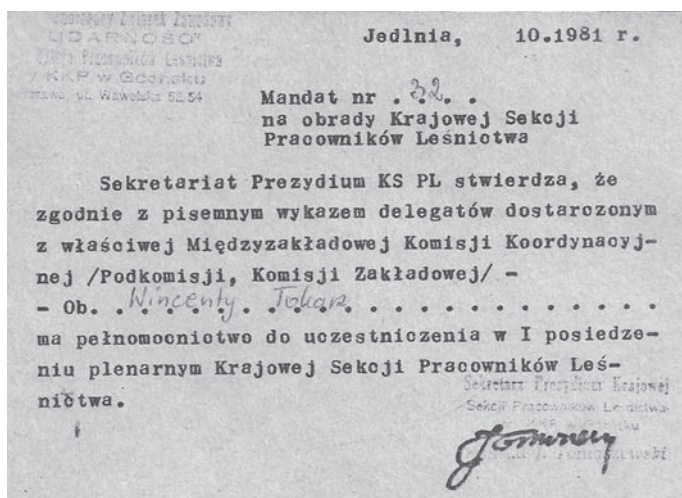
Nawierzchnia rynku, co widać na zdjęciu, była brukowana kamieniami dunajcowymi (gradówkami). Nawierzchnię tę tworzyły wypukłe, podłużne pasy oddzielane od siebie rowkami odpływowymi. Chodzenie po rynku w szpilkach było wtedy niemożliwe.!

Jak na jedno zdjęcie, to całkiem dużo informacji.

Minęła w tym roku 30 rocznica podpisania Porozumień Gdańskich i powstania Ruchu Solidarności. Nie chciałbym, żeby to było odebrane jako przechwalanie się teraz, gdy jest tyle ambicjonalnych nieporozumień wśród dawnych działaczy, kto był pierwszy i ważniejszy, ale jestem dumny, że brałem aktywny udział w tych wydarzeniach od samego początku tworzenia się Ruchu. Teraz możemy ocenić, że były to wydarzenia historyczne, które zadecydowały o zmianach ustrojowych w Polsce i Europie.

Byłem jednym z pierwszych, którzy tworzyli związek „Solidarność” na terenie Starego Sącza w nadleśnictwie, gdzie byłem pracownikiem. Z ogromną nadzieją i przekonaniem włączyłem się w działalność, pomimo niebezpieczeństwa jakie w końcu nastąpiło, czyli ogłoszenie Stanu Wyjątkowego.

Byłem członkiem Zarządu zakładowej „Solidarności” i delegatem do reprezentowania Związku na szczeblach Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Krakowie. Przez Okręgową Komisję Koordynacyjną „Solidarność” zostałem tam wybrany do reprezentowania Okręgu na Walny Zjazd Delegatów w celu dokonania wyboru statutowej władzy dla sekcji zawodowej pracowników leśnictwa NSZZ „Solidarność” w skali krajowej. Obrady odbywały się w dniach 23-24 maja 1981 roku na terenie OZLP Łódź w Jedlni k/Radomia w Branżowym Ośrodku Doskonalenia Kadr Lasów Państwowych. Okręg Krakowski reprezentowali jeszcze Zdzisław Brandys (OZLP Kraków), Alojzy Głowacz (Nadleśnictwo Nowy Targ) i Jan Nowak (Nadleśnictwo Pińczów). Ze skromnością teraz muszę przyznać, że było to dla mnie wielkie zaszczytne wyróżnienie. Więcej na temat tych wydarzeń zamierzam napisać w oklejnych wydaniach Almanachu.



Okręgowy Komisja
Koordynacyjna OZLP
Kraków

NSZZ Solidarność

Kraków, dnia 12 maja 1981 r.

Obywatele Delegaci
do Krajowej Komisji Koordynacyjnej
Pracowników Leśnictwa

mgr inż. Zdzisław Brandys OZLP Kraków

mgr inż. Alojzy Glowacz N-cтво Nowy Targ

Minerki Tokarz " Stary Sącz

Jan Nowak " Pińczów

Na podstawie uchwały KKK PL, podjętej w dniu 29 kwietnia 1981 r. podczas plenarnego posiedzenia w Sekocinie, zwołuje się walny zjazd delegatów z wszystkich organizacji związkowych zrzeszonych w KKK PL celem dokonania wyboru statutowej władzy dla sekcji zawodowej pracowników leśnictwa NSZZ "Solidarność" w skali Krajowej.

Zjazd odbędzie się w dniach 23-24 maja 1981 r. na terenie OZLP Łódź w Jedlni k/Radomia w Branżowym Ośrodku Doskonalenia Kadr Lasów Państwowych.

Przyjazd delegatów przewiduje się w dniu 22 maja br. po południu ze względu na nawał zadań przygotowawczych do zjazdu i organizacyjnych w ramach zespołów problemowych.

Warunki dojazdu do miejsca obrad:

Dojazd Koleją do Radomia

- z Radomia autobusem PKS spod dworca kolejowego do miejscowości Kolonka ca 12 km /kierunek Pionki-Kozienice/ skąd około 300 m pieszo do Ośrodka w Jedlni,
- autobusem NPK w Radomiu z Placu Zwycięstwa linią "J" w kierunku Jedlni, wysiąść na przystanku w miejscowości Siczki skąd ca 1000 m pieszo do Ośrodka w Jedlni,
- przewidziany jest dowóz uczestników, przyjeżdżających niektórymi głównymi relacjami PKP, również mikrobusami marki Nysa, których dane zostaną informującym napisem będzie oczekiwał Delegatów przy dworcu PKP w Radomiu.

Wyżywienie w ramach diet.

OKK OZLP Kraków uprasza PT Kierowników Jednostek Organizacyjnych o wystawienie Delegatom delegacji służbowych.

Obecność Delegatów obowiązkowa.

Załączniki:

Mandaty 2 x

Do wiadomości:

- Ob. Dyr. OZLP Kraków w/m
- Ob. Nadleśn. N-cтва Nowy Targ
- Ob. Nadleśn. N-cтва Nowy Sącz
- Ob. Nadleśn. N-cтва Pińczów
- a/a

Za OKK PL NSZZ "Solidarność"

OZLP Kraków

mgr inż. W. Kaczkowski
Przewodniczący



*Z obrad Walnego Zjazdu Delegatów Krajowej Sekcji Pracowników Leśnictwa.
Z lewej W. Tokarz. Fot. ze zbiorów W. Tokarza*



Fot. ze zbiorów W. Tokarza

Obchody 100-lecia Ochotniczej Straży Pożarnej w Czerńcu

Uroczystości związane z obchodami setnej rocznicy powstania jednostki Ochotniczej Straży Pożarnej odbyły się w niedzielę 29 sierpnia 2010 roku.

Jubileuszowe obchody poprzedziła msza św. w intencji strażaków i ich rodzin odprawiona przez ks. prałata Józefa Trzópka oraz wicedyrektora Radia RDN, ks. Krzysztofa Orła pod przewodnictwem kapelana strażaków, ks. st. kpt. Władysława Kuliga. Część oficjalna uroczystości odbyła się na placu obok remizy. Otwarcia obchodów dokonał komendant placu mł. kpt. Konrad Gurgul. Następnie po wciągnięciu flagi na maszt, któremu towarzyszył hymn państwowy, odbyły się dalsze uroczystości.



Swoją obecnością uroczystość uświetnili m.in. senator RP Stanisław Kogut, poseł na Sejm RP Anna Paluch, Wiesław Janczyk, Arkadiusz Mularczyk i Bronisław Dutka, zastępca małopolskiego komendanta Państwowej Straży Pożarnej w Krakowie st. bryg. Piotr Konar, dyrektor Małopolskiego Ośrodka Doradztwa Rolniczego w Krakowie Marek Kwiatkowski, starosta nowosądecki Jan Golonka, wiceprzewodniczący Rady Powiatu Nowosądeckiego Jan Dziedzina, małopolski kapelan strażaków st. kpt. Władysław Kulig, komendant policji w Nowym Sączu insp. Witold Bodziony, komendant PSP w Nowym Sączu bryg. Janusz Basiaga i wójt Łącka Franciszek Młynarczyk. Bardzo licznie stawili się również mieszkańcy Czerńca, którzy całymi rodzinami uczestniczyli w świętowaniu stulecia.

Niezwykle ważne dla strażaków było poświęcenie sztandaru, który dla jednostki OSP ufundowała spo-



łeczność wsi Czerniec. Sztandar ten posiada elementy regionalne charakterystyczne dla wsi Czerniec. Jest to obraz matki Bożej Bolesnej z Czernieckiej kapliczki wyhaftowany w górnym prawym rogu sztandaru oraz gałązki kwitnącej jabłoni wyhaftowane u dołu, u stóp św. Floriana.

W trakcie uroczystości poświęcono również nowy samochód strażacki Nissan Pickup, a nowi członkowie młodzieżowej drużyny pożarniczej złożyli ślubowanie, pasowano także ochotników na członków drużyny.



OSP w Czerncu za długoletnią ofiarną działalność na rzecz ochrony przeciwpożarowej dla dobra społeczeństwa i Rzeczypospolitej Polskiej uhonorowana została Złotym Znakiem Związku Ochotniczych Straży Pożarnych RP, którym udekorowany został sztandar, ufundowany przez mieszkańców wsi Czerniec, a poświęcony przez kapelana strażaków ks. st. kpt. Władysława Kuliga w towarzystwie ks. prałata Józefa Trzópka.

Uroczystości 100-lecia OSP były także okazją do wyróżnienia odznaczeniami oraz odznakami resortowymi i samorządowymi szczególnie zasłużonych strażaków.

„Złoty Znak Związku” nadany przez Zarząd Główny Związku OSP RP otrzymał druha Tadeusz Gurgul.

Brązową Odznakę „Zasłużony dla ochrony przeciwpożarowej”, nadaną przez Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji, otrzymali drhowie: Tadeusz Gurgul oraz Wojciech Piksa.

Złotym medalem „Za zasługi dla pożarnictwa”, nadanym przez prezydium Zarządu Wojewódzkiego OSP RP, zostali odznaczeni drhowie: Witold Ćwikowski, Janusz Klag syn Antoniego, Stanisław Klag, Stanisław Pasiud, Wiesław Ochoda, Tadeusz Piksa (pośmiertnie zmarł 17.08.2010), Henryk Pasiud, Michał Rdzawski.

Srebrnym medalem „Za zasługi dla pożarnictwa”, nadanym przez Prezydium Zarządu Wojewódzkiego OSP RP, zostali odznaczeni drhowie: Tadeusz Brzeczek,



Ryszard Kasprzak, Piotr Kurnyta, Tadeusz Kurnyta, Stanisław Talarczyk, Józef Wójcik, Jan Zbozień.

Brązowym medalem „Za zasługi dla pożarnictwa”, nadanym przez Prezydium Zarządu Wojewódzkiego OSP RP, zostali odznaczeni druhowie: Józef Czech, Władysław Czech, Michał Gurgul, Andrzej Kulig, Michał Kulig, Eugeniusz Twardowski.

Odnaką „Strażak Wzorowy”, nadaną przez Prezydium Zarządu Oddziału Powiatowego OSP RP, zostali odznaczeni druhowie: Grzegorz Bulanda, Tomasz Bulanda, Adam Czech, Jerzy Gromala, Bartłomiej Gurgul, Marek Hybel, Krzysztof Lędźwin, Konrad Piksa, Grzegorz Wiatr.

Starosta Nowosądecki Jan Golonka uhonorował OSP Czerniec wręczając na ręce Prezesa Tadeusza Gurgula najwyższe wyróżnienie Starosty Nowosądeckiego statuetkę **„Złote Jabłko Sądeckie”** jako podkreślenie zasług Czernieckiej straży w ochronie przeciwpożarowej.

„Złotymi Jabłkami Sądeckimi” zostali wyróżnieni druhowie: Zbigniew Czepek, Tadeusz Gurgul, Stanisław Jurkowski, Józef Kasprzak, Jan Pasiud, Władysław Piksa, Wojciech Piksa, Stanisław Pokrzyk, Władysław Rusnak.

„Srebrnymi Jabłkami Sądeckimi” zostali wyróżnieni druhowie: Eugeniusz Baziak, Franciszek Gonciarz, Piotr Kurnyta, Andrzej Rusnak, Stefan Sopata, Zygmunt Wiatr, Jan Zbozień.

Wójt Gminy Łącko Franciszek Młynarczyk wyróżnił strażaków szczególnie zasłużonych dla Gminy Łącko wręczając im odznaki honorowe i dyplomy. Odnaką honorową **„Zasłużony dla Gminy Łącko”** zostali wyróżnieni druhowie: Tadeusz Gurgul, Franciszek Gonciarz, Józef Kasprzak, Piotr Kurnyta, Jan Pasiud, Wojciech Piksa, Stanisław Pokrzyk, Władysław Rusnak, Zygmunt Wiatr.

Dyplomami pamiątkowymi Wójta Gminy i nagrodą książkową zostali wyróżnieni druhowie: Eugeniusz Baziak, Stanisław Jurkowski, Janusz Klag syn Antoniego, Stanisław Klag, Stanisław Pasiud, Tadeusz Piksa, Władysław Piksa, Michał Rdzawski, Władysław Rdzawski, Andrzej Rusnak, Stefan Sopata.

Przewodniczący Rady Gminy Łącko Henryk Czepielik uhonorował OSP Czerniec listem gratulacyjnym w formie gawertonu, który przekazał na ręce Prezesa Tadeusza Gurgula.

Z okazji jubileuszu władze samorządowe powiatu i gminy ufundowały również dodatkowe wyposażenie dla OSP w Czerńcu. Starosta Nowosądecki Jan Golonka przekazał strażakom 15 dresów ćwiczebnych dla najmłodszych członków Młodzieżowej Drużyny Pożarniczej, którzy składali przyrzeczenie w dniu obchodów. Ponadto przekazał w ramach wyposażenia bojowego specjalistyczną pilarkę spalinową. Również Wójt Gminy Łącko Franciszek Młynarczyk wspomógł strażaków przekazując im na wyposażenie wysokowydajną pompę szlamową. Akty wyżej wymienionego sprzętu przyjął Prezes Tadeusz Gurgul.

Patrząc z perspektywy stu lat na przebyty szlak, nasuwa się wiele refleksji, a w sercu budzi się uznanie i cześć dla kilkunastu pokoleń strażaków. Z wdzięcznością wrywają się słowa: Cześć i chwała ludziom szczerze i ofiarnie oddanym społeczeństwu i Ojczyźnie w myśl hasła „Bogu na chwałę, ludziom na pożytek”.

Z historii Szkolnego Zlotu Turystyczno-Krajoznawczego „Młodzież z Chrystusem w III tysiącleciu”

Prof. Gustaw Wuttke (geograf, pedagog, uczeń E. Romera) napisał: ... „Wycieczka to słowo, które jest synonimem przygody, piękna, po szarych dniach codziennej pracy. Wycieczka jest uroczystym czasem odnowy całego organizmu, orzeźwiająca kąpielą po trudach życia...”

Kończy się XXw, zaczyna się III Tysiąclecie. Powstaje pytanie, jak uczcić tak ważne, niepowtarzalne wydarzenie Roku Jubileuszowego 2000. Pomysł zrodził się w szkole nad Dunajcem. Pomysłodawcą tego projektu był Antoni Krzeszowski – nauczyciel geografii w Szkole Podstawowej w Kadczy, którego poparła Rada Pedagogiczna wraz z dyrekcją szkoły. Przedsięwzięcie godne realizacji.

.....złot na szlaku.....

I szkolny zlot turystyczno-krajoznawczy A.D. 2000

Motto I Zlotu brzmiało „*Dzieje kolejnych pokoleń mieszkańców ziemi mogą się stać historią naprawy tego, co wcześniej udało się nam zepsuć*”

Celem zlotu było uczczenie jubileuszu 2000-lecia chrześcijaństwa, a także spotkanie sympatyków turystyki krajoznawczej, propagowanie i popularyzowanie piękna Ziemi Łąckiej oraz rozwijanie postaw patriotyczno-religijnych związanych z tożsamością kultury regionalnej. Opracowano szczegółowy regulamin zlotu.

Nieprzypadkowo wybór miejsca I zlotu padł na miejscowość Czarny Potok.

Sanktuarium Matki Boskiej Bolesnej w Cz. Potoku zostało wtedy wytypowane jako „brama wejścia” w III- Tysiąclecie.

16 maja 2000r. uczestnicy mieli do wyboru 5 tras turystycznych, których metą było sanktuarium czarnopotockie. Tam młodych turystów przywitał ówczesny ks. kanonik – kustosz Józef Słowik. Odprawiona została również Msza Św. W zlocie wzięło udział 411 uczestników z parafii: Czarny Potok, Jazowsko, Obidza. Reprezentowali oni szkoły podstawowe w Brzynie, Czarnym Potoku, Kadczy, Jazowsku, Obidzy i Szczereżu oraz gimnazjaliści z Jazowska.

Dyrektor ZSP w Kadczy S. Szwarkowski wyraził nadzieję, że impreza tego typu na stałe zadomowi się w Gminie Łącko, a od następnego roku obejmie wszystkie szkoły. Wszyscy uczestnicy zlotu otrzymali pamiątkowe plakietki i dyplomy.

.....na przełęczy.....

II zlot ma miejsce na przełęczy Przysłop (832 m.n.p.m.) dnia 7 czerwca 2001r.

Motto: „*przez poznanie do umiłowania*”.

Wchodzimy na przełęcz z rozsianymi wokół zabudowaniami przysiółka Przysłop.

Na wschód wyłania się Skalka z łatką hali na południowym stoku, w prawo od niej rozciąga się płaska wydawałoby się Przehyba z wieżą przekaźnikową.

W tutejszej kapliczce ks. Krzysztof Jaskułka odprawia nabożeństwo czerwcowe dla wszystkich uczestników zlotu.

Kapliczka została wybudowana z inicjatywy Związku Podhalan – Oddział w Szczawnicy.

Tu od lat w dzień 3 Maja odbywają się uroczystości religijno-patriotyczne z okazji Święta Konstytucji. Obok kapliczki pomniki męczeństwa: rodziny Fijasów (spalonej żywcem przez hitlerowców) i partyzantów poległych w walce z Niemcami 21 lutego 1944 r.

W konkursach biorą udział drużyny 4 osobowe, które zmagają się z quizem turystycznym, zadaniami sprawnościowymi (rozbijanie namiotu na czas) piosenką turystyczną, skeczami – „Śmiech na przelęczy”.

.....nad brzegiem Dunajca.....

Jesień, kolorowe liście, snujące się mgły nad Dunajcem towarzyszą nam w miejscowości Opalana dnia 10 października 2002 r. (obok kapliczki.)

Motto III zlotu „mój region, mój mały świat”.

Ciekawym obiektem sakralnym Opalanej jest jej kapliczka na prawym brzegu Dunajca. Wybudowanie tej kapliczki ma ciekawą historię. Jedna z wielu legend głosi: *Przed wielu, wielu laty, kiedy fale powodziowe Dunajca były postrachem okolicznej ludności, w miejscu gdzie obecnie wznosi się kapliczka wody Dunajca przyniosły i tu osadziły drewnianą figurę „Chrystusa u słupa”. Figura prawdopodobnie przytłynęła z okolic Krościenka lub Dębna. Powiadomiono o tym górali właścicieli tej figury. Przyjechali furmanką, aby odebrać porwaną przez powódź figurę Chrystusa. Załadowali na furmankę, ale konie nie mogły pociągnąć tego ciężaru. Górale postanowili, że pewnie jest taka wola Boża aby figura pozostała w Opalanej. Mieszkańcy Opalanej na tę pamiątkę wybudowali tu kapliczkę, a w niej umieścili figurę Chrystusa.* Kapliczka w Opalanej tzw. Gwardianówka wymurowana została w I połowie XIXw. Prostokątna z dobudówką w kształcie małej kruchty. Przy dłuższym boku nad wejściem przyczółek z wnęką, w której jest umieszczony posążek „*Chrystusa frasośliwego*”.

W przyczółku trzy wnęki z rzeźbami (koniec XVIII w.), dach siodłowy z boczną wieżyczką na sygnaturkę. Sklepienie kolebkowe. W ołtarzu krucyfiks, zapewne z I połowy XIX w, obok figura „*Chrystusa u słupa*”.

Kapliczka jest miejscem kultu religijnego i uroczystości wiernych z pobliskich okolic w okresie Wielkiego Tygodnia (Wielki Czwartek).

Po nabożeństwie różańcowym, które prowadził ks. Krzysztof Jaskułka wraz z młodzieżą, odbyły się konkursy, zadania sprawnościowe i śpiewanie piosenek turystycznych.

.....*Pod Górą w Kadczy*.....

Nad lewym brzegiem Dunajca między Gołkowicami a Jazowskiem leży Kadcza (337 m.n.p.m.) wymieniana już w dokumentach z 1280r. (Kod. Małop. II, 145), często zalewana przez Dunajec. Nazwa pochodzenia topograficznego oznacza łąkę pełną zagłębień i dziur z wodą (podobnych do kadzi).

Podczas kolonizacji józefińskiej powstała tu kolonia niemiecka – Kadschau – 1794 r., ale wnet uległa likwidacji.....tyle Encyklopedia Sądecka (str. 137)

Odwiedzić trzeba szczególne miejsce koło Kadczy na wzgórzu, po lewej stronie, koło mostu na Dunajcu znajduje się grodzisko Naszacowice z okresu kultury łużyckiej (V w. p.n.e.) i prapolskiej (IX-XII w n.e). Powierzchnia grodziska na planie owalnym wynosi 6 ha. Składa się z ono z grodu i podgrodzia. Bolesław Chrobry ustanowił tu siedzibę kasztelani sądeckiej. Do dzisiaj zachowały się wały ziemne ok. 3,5 m wysokości, które tworzą wyraźny zarys kolistego kręgu (Dolina Dunajca – przewodnik L. Bochenek).

W tej oto scenerii organizatorzy wyznaczyli metę IV zlotu w dniu 25 września 2003 r. Przysiółek Kadczy Pod Górą – kapliczka pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej wybudowana sposobem konspiracyjnym w latach 80-tych była miejscem nabożeństwa uczestników zlotu. Z konkursowymi zadaniami najlepiej sobie poradzili uczniowie Szkoły Podstawowej w Kadczy.

.....*ponownie w Czarnym Potoku*.....

V zlot turystyczno-krajoznawczy z racji małego jubileuszu postanowiliśmy jeszcze raz zorganizować w gościnnym Czarnym Potoku. A było to w I dekadzie października 2004r.

Po Mszy Św. i uroczystej homilii wygłoszonej przez życzliwego ks. kanonika – kustosa Józefa Słowika w zabytkowym kościele parafialnym pod wezwaniem Świętego Marcina o drewnianej konstrukcji zrębowej jednonawowym zakończonym wielobocznie prezbiterium.

Wewnątrz pozorne sklepienie kolebkowe, w tęczu krucyfiks późnobarokowy z ołtarzem głównym rokokowo-klasycystycznym z 1797r, w nim otoczony lokalną czią obraz Matki Bożej Bolesnej, malowany na desce około 1648r. przez artystę szkoły sądeckiej.

Uczestnicy zlotu przeszli na boisko szkolne, gdzie odbyła się część konkursowa i sprawnościowa zlotu

.....*piszą o nas*.....

Na łamach Gazety Krakowskiej z dnia 7 października 2005r. w tytule „Pobożnie i wesoło” pani redaktor Beata Polakiewicz pisze: *Grupa prawie 100 dziewcząt i chłopców z opiekunami przybyła wczoraj do Brzyny, aby wziąć udział w Zlocie Turystycznym*

„Młodzież z Chrystusem w III tysiącleciu. Jest to doroczna impreza organizowana na terenie gminy Łącko, już od sześciu lat.

Pomysłodawcy

Jej inicjatorem był dawny dyrektor SP w Kadczy Antoni Krzeszowski, który obecnie jest komandorem zlotu. Pałeczkę organizatora przejął po nim Stanisław Szwarkowski, obecny dyrektor placówki i nauczycielka SP w Kadczy Lucyna Majerska.

W poprzednich latach zlot odbywał się w Czarnym Potoku, Obidzy Przystopie, Opalanej, Kadczy Podgórzu i ponownie w Czarnym Potoku.

W tym roku rolę gospodarza pełniła Bogumiła Kołodziej, p.o. dyrektorki SP w Brzynie, wraz z gronem pedagogicznym i Komitetem Rodzicielskim.

Impreza rozpoczęła się w kaplicy pw. Świętego Jana Boboli w Brzynie, dokąd wszyscy przyszli wybranymi przez siebie szlakami i ścieżkami turystycznymi. Odbyło się nabożeństwo różańcowe, które poprowadził i homilię wygłosił ks. Józef Rusnarczyk z Jazowska. Dalsza część imprezy odbyła się na boisku.

Kto sprawniejszy

W konkursach i turniejach wiedzy rywalizowały 10-osobowe drużyny z 8 szkół w gminie: z SP w Brzynie pod opieką Danuty Kamińskiej, SP w Zabrzeży z opiekunką Małgorzatą Bawelkiewicz, SP w Jazowsku z Mirosławą Potoczek. Opiekunami dzieci z SP w Łącku byli siostra Furmańska i ks. Józef Buźniak, SP w Szczereżu pod opieką Danuty Postrożny, SP w Kadczy z Aleksandrą Cebulą, gimnazjaliści z Łącka pod opieką ks. Rafała Słomby i z Jazowska z Mirosławem Hejmejem.

W konkurencji rozbijania namiotu na czas prawie wszystkie zespoły zmieściły się w regulaminowym czasie 2 minut. Pytania quizu turystyczno-przyrodniczego dotyczyły Popradzkiego Parku Krajobrazowego, geografii okolicznych miejscowości, sądeckich uzdrowisk, szlaków turystycznych i przyrody. Zwyciężyło Jazowsko.

Natomiast w konkursie historycznym trzeba było odpowiedzieć np. na pytanie, gdzie jest kaplica szwedzka. W tym konkursie najlepszymi okazały się reprezentacje Gimnazjum w Jazowsku i SP w Kadczy.

Na scenie były też prezentacje artystyczne wszystkich drużyn. W oczekiwaniu na podsumowanie wyników, uczestników bawiły grupy wokalne z Łącka i Jazowska.

Nagrody w postaci dyplomów i główne trofeum – puchar przechodni, wręczał młodzieży wójt Franciszek Młynarczyk, który od początków imprezy, towarzyszy uczestnikom zlotu.

.....nad obidzkim potokiem

W 2006r. VII zlot zawitał do starej wsi Obidza (439 m.n.p.m.), jednej z bardziej interesujących w tym regionie. Można tu jeszcze spotkać oryginalne budownictwo ludowe, pozostałości dawnych wiejskich urządzeń przemysłowych folusze*, młyny.

Wieś położona wzdłuż Potoku Obidzkiego, przez którą przebiega Królewski Szlak Rowerowy oraz szlak rowerowy Gminy Łącko. Stąd można dostać się rowerem na prze-

łącz Przysłop (832 m.n.p.m.) i dalej do Szczawnicy lub przez przysiółki Podwilcze, Kretówki, Lipówki, Jaworzynka, Cebulówka do Zarzecza lub Brzyny. Kraina godna polecenia dla amatorów runa leśnego (szczególnie grzybiarzy).

Jak zwykle program zlotu obejmował Mszę Św. w nowo wybudowanym pięknym kościele, którego proboszczem był ks. Stanisław Zaczyk. Nad brzegiem potoku Obidzkiego w budowanym amfiteatrze odbyły się dalsze zmagania konkursowe uczestników zlotu

* Według „Słownika Wyrazów Obcych” Wł. Kopalińskiego *folusz – pilśniarka, maszyna do folowania, powierzchniowego spilśniania tkanin wełnianych.*

.....*wśród sadów owocowych*

Zaprosili nas uczniowie i Dyrekcja Szkoły Podstawowej w Szczereżu (537 m.n.p.m.) na kolejny już VIII zlot.

Trasy turystyczne przebiegały przez piękne kompleksy sadów jabłoniowo-śliwowych. Po nabożeństwie w tutejszej nowej kaplicy pw. św. Józefa uczestnicy zlotu spotkali się na boisku szkolnym, gdzie odbyły się konkursy i zadania sprawnościowe.

.....*w dorzeczu Dunajca i Czarnej Wody* wyznaczono metę IX zlotu w dniu 9 października 2008r.

Łącko położone na wysokości ok. (370 m.n.p.m.) u ujścia Czarnej Wody do Dunajca, pomiędzy Beskidem wyspowym po lewej stronie a pasmem Radziejowej po prawej. Istnienie tej miejscowości datuje się przed 1227 r.

Łącko jest stolicą karpackiego sadownictwa, centrum sadów „Dni Kwitnących Jabłoni” i jesiennego „Owocobrania”. W tutejszym murowanym zabytkowym kościele parafialnym z lat 1728-1748 pod wezwaniem św. Michała Archaniola i św. Jana Chrzciciela, wśród późnobarokowego wyposażenia wnętrza, uczestnicy wzięli udział w nabożeństwie różańcowym. Następnie uczestnicy przeszli na stadion LKS „Zyndram” w Łącku, gdzie odbyła się dalsza część konkursowa i sprawnościowa. Na koniec imprezy wszyscy uczestnicy zjadali się kiełbaskami z grilla.

.....*w Jazowsku na Orliku*

Orlik gości uczestników jubileuszowego X Szkolnego Zlotu Turystyczno-Krajoznawczego w dniu 7 października 2009 r.

Jazowsko – wieś położona ok. (330 m.n.p.m.) założona przed 1295r. Nazwa pochodzi podobno od jazu na Dunajcu, który wzniesiono tu dla połowu łososi.

Na wzniesieniu w murowanym kościele z 1726r. pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Marii Panny z wyposażeniem późnobarokowym ks. Zygmunt Ogórek wygłosił homilię i odprawił nabożeństwo, w którym licznie uczestniczyli młodzi turyści wraz z opiekunami.

Po nabożeństwie wszyscy uczestnicy zlotu przeszli na kompleks sportowy ORLIK w Jazowsku, na którym odbyły się konkurencje sprawnościowe oraz konkursy. Zorganizowanie 10 zlotów to 10 lat zmagania młodych adeptów turystyki z trasami łatwymi i trudnymi, spotkań z ciekawą historią Ziemi Łąckiej.

W ciągu dziesięciu edycji zlotu wiernymi i stałymi uczestnikami byli uczniowie ze szkół podstawowych: Brziny, Czarnego Potoka, Jazowska, Kadczy, Łącka, Maszkowic, Nowego Sącza (SP nr 20) Kiczni? Przysietnicy k. St. Sącza, Zabrzeży, oraz gimnazjów z Jazowska i Łącka.

Ilość uczestników w I dekadzie zlotów znacznie przekroczyła 1000 osób.

Miał rację dyrektor Stanisław Szwarek, że idea Szkolnego Zlotu Turystyczno-Krajoznawczego „Młodzież z Chrystusem w Trzecim tysiącleciu” na dobre zadomowi w Gminie Łącko. Już 10 lat propaguje się piękno naszej małej ojczyzny. Naszym sprawdzonym przyjacielem, który towarzyszy nam od początku zlotu jest wójt Gminy Łącko Franciszek Młynarczyk.

Nie należy zapominać o tych, którzy przygotowywali imprezy zlotowe, nauczycielki SP w Kadczy: pp A. Cebula, K. Dziedzic, L. Majerska, T. Gancarczyk, z ZSG Jazowsku M. Hejmej, C. Łanik oraz księża: ks. K. Jaskułka, M. Górski, J. Rusnarczyk, Z. Ogórek, K. Orzeł, T. Franczak oraz wszyscy bezimienni sympatycy tej imprezy. Organizatorzy zlotów we współpracy ze sponsorami (m.in. Gminna Komisja ds. Rozwiązywania Problemów Alkoholowych) zapewнили uczestnikom atrakcyjne nagrody rzeczowe (puchary, sprzęt sportowo-turystyczny, pamiątkowe dyplomy, plakietki) oraz wyżywienie.

Dla tych, którzy niebawem wyruszą na górskie szlaki warto więc przypomnieć 8 zasad według Armando Moore „Naucz się od gór”

- Miarą wielkości góry jest jej spokój.
- Góra jest dobrym nauczycielem, bowiem nigdy się nie spieszy.
Jest od zawsze na swoim miejscu i nie toleruje niecierpliwych, powierzchownych i nieroztropnych.
- Kto jest w górach nierozważny i porywczy, ten na pewno przegra.
- W górach każdy krok musi być przemyślany, każde zwycięstwo okupione jest wysiłkiem.
- Jeśli pragniemy uczynić coś prawdziwie wielkiego, góry nauczą nas oderwania się od rzeczy małych.
- Góry uczą nas, że odległości nie mierzy się okiem, ale umiejętnością pokonywania ich; że między podziwianiem szczytu a postawieniem na nim naszej stopy znajduje się jeszcze w środku nasz pot.
- Nauczyć się gór, to nauczyć się chodzić, a co więcej, nauczyć się żyć.
Na to, aby stać się „góralem” trzeba sobie zapracować.



Zlot VI, 2005 r. – Brzyna



Zlot VIII, 2007 rok – Szczereź



Zlot IX, 2008 rok – Łącko



Zlot IX, 2008 rok – Łącko



Zlot X, 2009 rok – Jazowsko (kościół)



Zlot X, 2009 rok – Jazowsko

Związek Podhalan oddział Obidza

Związek Podhalan jest stowarzyszeniem Górali Polskich, którego początki sięgają 1873 roku. W tym roku powstało Galicyjskie Towarzystwo Tatrzańskie, które uważa się za prekursora ruchu góralskiego.

W 1904 roku powstała pierwsza regionalna organizacja Górali – Towarzystwo Związek Górali. Po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku, nastąpiły zmiany w organizacji ruchu góralskiego. Oprócz Związku Górali, powstaje w 1919 roku Związek Podhalan. Podczas IV Zjazdu Związku Podhalan w Nowym Targu, wybrano pierwszy Zarząd Główny, którego prezesem został Jakub Zachemski. Ogromny wpływ na rozwój związków góralskich miało zaangażowanie znanych postaci jak: Tytus Chałubiński, Bronisław Chramiec, Stanisław Witkiewicz, Władysław Orkan.

Zaczęły powstawać oddziały Związku Podhalan nie tylko w Polsce, w 1930 roku powstał Związek Podhalan w Ameryce Północnej. Po II wojnie światowej przez 12 lat nie działała w Polsce, na Podhalu, żadna organizacja góralska. Odrodzenie nastąpiło w 1955 roku, powstał Związek Górali Tatrzańskich. Związek ten w 1959 przybrał nazwę Związku Podhalan i nosi ją do dzisiaj.

Szczególnie szybki rozwój oddziałów ZP nastąpił po przemianach ustrojowych w Polsce, po 1989 roku. Do chwili obecnej powstało 76 oddziałów Związku Podhalan. W 2008 roku prezesem Związku Podhalan został Maciej Motor Grelok. Związek Podhalan oddział Obidza powstał w lutym 2005 roku z inicjatywy sołtysa Obidzy śp. Józefa Sopaty, Stanisława Kozika z Brzyny i Wojciecha Boguckiego z Podegrodzia.

Od samego początku oddział włączył się w życie społeczno – kulturalne Związku Podhalan. Członków oddziału nigdy nie zabrakło podczas uroczystości państwowych i świąt kościelnych i narodowych. Członkowie ZP o/ Obidza wzięli udział w 60 rocznicy /kwiecień 2005r./ wyzwolenia obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, w którym śmierć poniosło ośmiu mieszkańców gminy Łącko. To był też bardzo smutny okres w życiu wszystkich Polaków, zmarł papież Jan Paweł II, Wielki Polak, który szczególną serdecznością i miłością obdarzał Podhale i Górali. Członkowie ZP o/Obidza wzięli udział w modlitwach za zmarłego papieża w Wadowicach, a uroczystą Mszę św. odprawił kapelan ZP ks. prałat Władysław Zązel.

Corocznie w dniu 3 maja członkowie oddziału Obidza biorą udział we Mszy św. w kapliczce na Przysłopie. Miejsce to było widownią tragicznych wydarzeń podczas II wojny światowej. Kapliczkę postawiono w miejscu spalenia domu rodziny Fijasów, w odwecie za pomoc partyzantom. Wydarzenie to upamiętnia coroczne palenie domu i składanie kwiatów pod pomnikiem ku czci zamordowanych.

2 i 3 lipca 2005 odbył się XLII Zjazd Związku Podhalan w Ludźmierzu, udział wzięła także delegacja ZP o/Obidza w składzie: prezes Józef Sopata, wiceprezes Stanisław Kozik, Tadeusz Biel, Ryszard Walkosz, Marek Lizoń.

21 sierpnia 2005 roku odbyła się uroczystość ślubowania i poświęcenia sztandaru Związku Podhalań Oddział Obidza. Dzięki energii, zapobiegliwości i ogromnej pracowitości prezesa Józefa Sopaty, oddział rozwijał się dynamicznie i osiągał w krótkim czasie tak znaczące sukcesy.

Związek Podhalań o/Obidza bierze udział także w tradycyjnych uroczystościach gminnych jak: Święto Kwitnącej Jabłoni (w maju) i Owocobrani (we wrześniu)

Z własnym sztandarem ZP o/ Obidza bierze udział w uroczystościach poświęcenia sztandarów innych oddziałów;

25 września 2005 roku w Dębnie koło Nowego Targu

11 czerwca 2006 roku w Łącku

5 sierpnia 2007 roku w Maniowach

Delegacja Związku Podhalań o/ Obidza bierze także udział w „Zaduszkach Muzykonkich,” organizowanych corocznie w listopadzie, przez oddział w Łącku.

Corocznie w sierpniu, oddział Obidza, bierze udział we Mszy św. w kaplicy na Błyszczu, której organizatorem jest ZP o/Tylmanaowa.

Spotkania opłatkowe, na których występujemy z Bożonarodzeniową Szopką, nie tylko w Obidzy, ale które organizują poszczególne oddziały, są okazją do zacieśniania silnej więzi między członkami Związku Podhalań i wymiany doświadczeń w pracy społecznej i kulturalnej.

Szczególnie serdecznie wspominamy udział naszych członków w uroczystości 25-lecia posługi kapelaństwa Związku Podhalań, ks. Władysława Zązła, które odbyły się w Kamesznicy.

Oddział w Obidzy organizuje nie tylko dla swoich członków, ale i społeczności gminy Łącko różne imprezy kulturalne np. „Powitanie lata”, „Pożegnanie lata”.

28 października 2007 w wieku 40 lat, zmarł prezes Związku Podhalań oddział Obidza śp. Józef Sopata. Na pogrzebie 31 października 2007 roku z ogromnym żalem pożegnali Go członkowie wielu oddziałów, władze Starostwa Nowosądeckiego i gminy Łącko. Wzruszającą mowę wygłosił prezes Związku Podhalań Jan Hamerski. Mszę świętą odprawili: kapelan ZP ks. Jan Kudłacz, ks. Józef Słowik – proboszcz parafii w Czarnym Potoku, ks. Stanisław Zaczyk z Obidzy. W ostatniej drodze na wieczną wartę odprowadziła śp. Józefa Sopatę, muzyka góralska Rodzinnej Kapeli Wojciecha Boguckiego.

Po śmierci prezesa Józefa Sopaty, na nowego prezesa Związku Podhalań o/Obidza wybrano w 2008 roku, Stanisława Jasińskiego.

Nowy prezes ZP o/Obidza, kontynuuje pracę swego poprzednika dla dobra całej góralskiej, i nie tylko, społeczności.

Oprócz tradycyjnych, corocznych, uroczystości dochodzą coraz to nowe inicjatywy.

Organizowany jest od 2008 roku festyn z okazji „Dnia Dziecka”, młodzi druhowie z OSP prezentują swoje umiejętności, dzieciaki biorą udział w konkursach i zabawach.

W 2008 roku, 3 sierpnia, we mszy św. na Błyszczu uczestniczył kardynał Stanisław Dziwisz, oraz delegacje wielu oddziałów ZP, w tym także Obidza.

14 czerwca 2009 roku członkowie ZP o/Obidza, ze swoim sztandarem, uczestniczyli w uroczystości sprowadzenia Figury Matki Boskiej Ludźmierskiej do Łącka. Uroczystość ta dobyła się z inicjatywy Parafii Rzymsko-Katolickiej w Łącku i ZP o/Łącko.

Nie zabrakło także delegacji z Obidzy na XXII Dożynkach Podhalańskich, które połączone były z obchodami 775 lecia lokacji Ludźmierza, odbyły się 6 września 2009 roku.

Członkowie Związku Podhalan o/Obidza wybudowali we własnym zakresie i z własnych środków, przy niewielkim wsparciu Gminy Łącko, Amfiteatr. Obecnie ZP o/ Obidza finalizuje wykup gruntu na którym znajduje się Amfiteatr. Inwestycja ta w 90% jest finansowana ze środków własnych ZP o/ Obidza. Amfiteatr będzie służył nie tylko członkom Związku Podhalan, ale całej społeczności sołectwa Obidza.



Sp. Józef Sopata – I prezes ZP o/Obidza



Poświęcenie sztandaru. 21.08.2005 r.



Pamiątkowe zdjęcie z władzami



Przysłop – Płonący domek



Stanisław Jasiński (z lewej)



*ZP Obidza w Wadowicach 2005 rok.
Pomnik Ojca św. Jana Pawła II*



ZP Obidza w Wadowicach 2005 rok. Delegacja przed kościołem.



ZP Obidza w Wadowicach 2005 rok. Delegacja po złożeniu kwiatów.

Fotografie z Kroniki ZP o/Obidza

W dniu 2 lipca 2010 roku w Miasteczku Galicyjskim w Nowym Sączu odbyło się Forum Prasy Sądeckiej. Forum przygotowali: Almanach Muszyński, Almanach Sądecki „Civitas Christiana” oddział w Nowym Sączu, Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu, Polskie Towarzystwo Historyczne – oddział w Nowym Sączu.

Honorowy Patronat objął Leszek Zegzda – wicemarszałek Województwa Małopolskiego, Jan Golonka – Starosta Nowosądecki, Ryszard Nowak – Prezydent Nowego Sącza.

Patronat Naukowy: Instytut Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Patronat Medialny: Oddział Nowosądecki Dziennika Polskiego.

Obrady Forum Prasy Sądeckiej otworzył Robert Ślusarek – Dyrektor Muzeum okręgowego w Nowym Sączu i Stanisław Pażucha – Prezes Oddziału Małopolskiego Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana”

Słowo wstępne wygłosili: Jan Golonka i Ryszard Nowak.

Wykład Inauguracyjny „Zarys problematyki regionalnej w ujęciu historycznym” wygłosił prof. dr. hab. Feliks Kiryk.

Krótkie wystąpienia na temat „Prasa lokalna na Sądeczyźnie – wczoraj i dziś” wygłosili Leszek Migrała – redaktor naczelny Almanachu Sądeckiego i Bożena Mściwujewska-Kruk, redaktor naczelna Almanachu Muszyny.

Panel „Prasa regionalna a otoczenie” wprowadzenie i moderowanie dyskusji dr Ryszard Filas, adiunkt w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej UJ. W panelu tym uczestniczyło kilkunastu przedstawicieli prasy lokalnej.

Panel „Przyszłość prasy regionalnej” prowadził i moderował dr. Zbigniew Bajka, adiunkt w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej UJ. W panelu tym wzięli udział przedstawiciele prasy regionalnej z Limanowej, Gorlic, Grybowa, Nowego Sącza, Starego Sącza i Łącka.

Łącko reprezentowała redaktor naczelna Almanachu Łąckiego, Jadwiga Jastrzębska.

Oba panele podsumował i wygłosił wykład końcowy „Znaczenie piśmiennictwa regionalnego w umacnianiu tożsamości społeczności lokalnej” ks. dr. hab. Michał Drożdż z Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie.

Forum Prasy Sądeckiej towarzyszyła przygotowana przez Martę Treit, z-ca Kierownika Działu Informacyjno-Bibliograficznego Sądeckiej Biblioteki Publicznej im. Józefa Szujskiego w Nowym Sączu, wystawa „Prasa sądecka”. Na wystawie nie zabrakło wydawanego od 2004 roku „Almanachu Łąckiego”. W Forum Prasy Sądeckiej wzięli udział następujący przedstawiciele prasy sądeckiej i periodyki podejmujące tematykę sądecką: *Almanach Karpacki Płaj*, *Almanach Łącki*, *Almanach Muszyny*, *Almanach Nowotarski*, *Almanach Sądecki*, *Almanach Ziemi Limanowskiej*, *Besiada*, *Bethania*, *Głos Nadpopradzia*, *Krynicky Zdroje*, *Kurier Grybowski*, *Kurier Starosądecki*, *Magury*, *Nasz Beskid*,

Nasze Spotkania, Prace Pienińskie, Rocznik Ruskiej Bursy, Rocznik Sądecki, Sądeczanin, Zeszyty Sądecko-Spiskie, Znad Popradu.

Integralną częścią Forum Prasy Sądeckiej było wręczenie dorocznej Nagrody im. Szczęsnego Morawskiego. Laudację w imieniu jury wygłosił Leszek Zakrzewski, Prezes Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego w Nowym Sączu. Nagrodę tę, za najlepszą książkę dotyczącą Sądeczyny wydaną w 2009 roku „Nowosądecka lista katyńska II”, otrzymał Jerzy Giza*.

Kończąc obrady Forum Prasy Sądeckiej postanowiono, iż będzie to impreza cykliczna, przedstawiciele prasy regionalnej postanowili spotykać się co roku, by wymieniać się doświadczeniami.

*Jerzy Giza (pedagog, publicysta historyczny, działacz niepodległościowy) urodził się w Nowym Sączu 17.04.1957 roku. Ojciec Tadeusz, matka Jadwiga z domu Kucz. Jerzy Giza jest wnukiem gen. Józefa Gizy, absolwentem I LO im. Jana Długosza w Nowym Sączu i Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie. W latach 1980-1989 działał w opozycyjnych środowiskach krakowskich i nowosądeckich. Jerzy Giza jest publicystą historycznym i biografistą, opublikował blisko 300 życiorysów. W „Almanachu Sądeczim” ukazało się kilkadziesiąt artykułów, jest autorem kilku książek.

Niektóre publikacje:

Nowosądecka lista katyńska (1991)

Sądecy Generałowie w służbie polskiej i obcej (1993)

Sądecy Kawalerowie Virtuti Militari 1918-1920 (1999)

Nowosądecka lista katyńska II (2009)



Wystawa „Prasa Sądecka”



Wystawa „Prasa Sądecka”



Uczestnicy Forum



Uczestnicy Forum. Od prawej: prof. B. Faron i B. Kolcz



Uczestnicy Forum. Od lewej: Leszek Migrata, Ryszard Kruk, Ryszard Filas

*Uczestnicy panelu –
Prasa regionalna a otoczenie*



*Pierwszy z lewej Ryszard Nowak – prezydent
Nowego Sącza*

Uczestnicy Forum



Jerzy Giza z rodziną i nagrodą

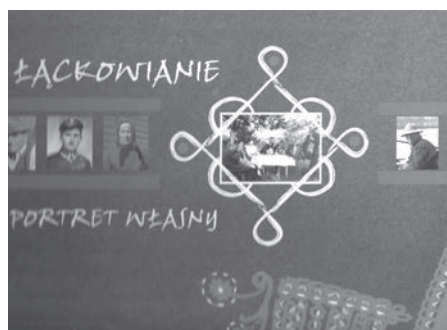
Fot. Jerzy Leśniak

W roku 2010 w różnych publikatorach, ukazało się kilka recenzji o wydawanych przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej wydawnictwach.

W Roczniku Sądeckim 2010 (t. XXXVIII) na stronach 466-468, ukazała się recenzja prof. Bolesława Farona, dwóch albumów fotograficznych wydanych przez Towarzystwo: *Ziemia Łącka w fotografii XIX i XX wieku* i *Łąckowanie portret własny*.

Fragment recenzji:

„...W obu albumach *Ziemia łącka w fotografii XIX i XX wieku* oraz *Łąckowanie, Portret własny* zarejestrowano życie mieszkańców od końca XIX w. do lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Najwięcej zachowano tutaj fotografii portretowych, zdjęć rodzinnych, z uroczystości kościelnych, zgromadzeń różnych stowarzyszeń, czy wycieczek mieszkańców Łącka do Krakowa, Wieliczki czy Zakopanego. Stanowiąc one będą doskonały materiał do badań etnograficznych nad strojami z okolic Łącka. Na podstawie tego materiału można poznać przemianę krajobrazu, zarówno zmiany w architekturze jak i w uprawie roli...”



W lipcowym numerze *Sądeczania* z 2010 (miesięcznik niezależny, redaktor naczelny Henryk Szewczyk) ukazała się z kolei recenzja ostatniego, 12 numeru „Almanachu Łąckiego”.

Fragment recenzji:

Wartościowe teksty pomieszczono w najnowszym numerze (12) „Almanachu Łąckiego”...Wrażenie robią unikatowe zdjęcia banderii konnych i „ludu Maszkowic na grodzisku”, a także bogaty zapis jubileuszu grunwaldzkiego z udziałem znanych postaci z tamtych czasów, min. znanego w Łącku doktora Henryka Chwaliboga i proboszcza ks. Jana Piaskowego, prekursora zakładania sadów owocowych w tym regionie. Najnowszy „Almanach” łączy czasy pradawne ze współczesnością...

20-lecie Samorządu Terytorialnego w Gminie Łącko

Pierwsze wolne wybory samorządowe do rad gmin zarządzane przez Prezesa Rady Ministrów Tadeusza Mazowieckiego odbyły się 27 maja 1990 roku.

W bieżącym roku mija więc 20-lecie działalności Samorządu Terytorialnego.

Gmina jest jego podstawową jednostką, której zadania określa szczegółowo ustawa z dnia 8 marca 1990 roku o samorządzie gminnym.

Realizacja zadań odbywa się za pośrednictwem organów: organem stanowiącym i kontrolnym jest Rada Gminy zaś wykonawczym Wójt Gminy.

Wybierani radni przed przystąpieniem do wykonywania mandatu składają ślubowanie: „Wierny Konstytucji i Prawu Rzeczypospolitej, ślubuje uroczyście obowiązki radnego sprawować godnie, rzetelnie i uczciwie, mając na względzie dobro mojej gminy i jej mieszkańców”.

Skład Rady Gminy w Łącku na przestrzeni 20 lat funkcjonowania przedstawia się następująco:

1990-1994

1. Golonka Jan – Kadcza - Przewodniczący Rady Gminy
2. Strzałkowski Marek - Łącko
3. Strączek Stanisław - Łącko
4. Mozdyniewicz Mieczysław - Łącko
5. Łazarz Henryk - Łącko
6. Koszut Stanisław – Czarny Potok
7. Gańko Ryszard - Jazowsko
8. Trzajna Bronisław - Jazowsko
9. Majerski Jan – Łazy Brzyńskie
10. Niezgoda Jadwiga - Obidza
11. Jasiński Stanisław – Obidza
12. Baziak Władysław - Zabrzeż
13. Drabik Stanisław – Zabrzeż
14. Drabik Ignacy - Zarzecze
15. Czepielik Henryk – Zagorzyn
16. Więclawek Jan – Wola Kosnowa
17. Duda Władysław – Wola Piskulina
18. Czepelak Zbigniew - Czerniec
19. Wojtas Jan - Maszkowice
20. Leszko Czesław - Maszkowice
21. Majerski Stanisław - Brzyna
22. Duda Edward - Kicznia
23. Bawelkiewicz Antoni - Szczereż

1994-1998

1. Golonka Jan – Kadcza - Przewodniczący Rady Gminy
2. Myjak Stanisław - Łącko
3. Strączek Stanisław - Łącko
4. Wawrzyniak Bożena – Łącko –rezygn. 1995 – wybrany Magdziarczyk Stanisław
5. Rusnarczyk Kazimierz - Łącko
6. Koszut Stanisław – Czarny Potok
7. Bugajski Fryderyk - Jazowsko
8. Klimek Jan - Jazowsko
9. Kozik Stefan – Łazy Brzyńskie
10. Niezgoda Jadwiga - Obidza
11. Jasiński Stanisław - Obidza
12. Cebula Stanisław - Zabrzeż
13. Gałysa Piotr - Zabrzeż
14. Drabik Ignacy – Zarzecze
15. Czepielik Henryk - Zagorzyn
16. Duda Stanisław – Wola Kosnowa
17. Ruciński Jan – Wola Piskulina
18. Czepelak Zbigniew - Czerniec
19. Cebula Jan - Maszkowice
20. Sajdak Józef - Brzyna
21. Faron Antoni - Kicznia
22. Bober Wojciech - Szczereż

1998 -2002

1. Klimek Józef – Łącko - Przewodniczący Rady Gminy
2. Myjak Stanisław - Łącko
3. Rusnarczyk Kazimierz - Łącko
4. Banach Piotr - Łącko
5. Potoniec Kazimierz – Czarny Potok
6. Warzecha Zdzisław - Jazowsko
7. Klimek Jan - Jazowsko
8. Jasiński Stanisław - Obidza
9. Tokarczyk Stanisław - Obidza
10. Wojtas Jerzy - Zabrzeż
11. Ścianek Władysław - Zabrzeż
12. Czepielik Henryk - Zagorzyn
13. Duda Stanisław – Wola Kosnowa
14. Kwit Roman – Wola Piskulina
15. Jarek Zbigniew - Maszkowice
16. Gurgul Tadeusz - Czerniec
17. Kozik Jan - Brzyna
18. Faron Antoni - Kicznia
19. Bober Stanisław - Szczereż
20. Chronowski Zbigniew - Kadcza
21. Kozik Stefan – Łazy Brzyńskie
22. Drabik Ignacy - Zarzecze

2006-2010

1. Czepielik Henryk – Zagorzyn - Przewodniczący Rady Gminy
2. Grabiec Stefan - Łącko
3. Rusnarczyk Kazimierz - Łącko
4. Wąchała-Gawełek Bernadetta - Łącko
5. Wojtas Jerzy – Zabrzeż
6. Kłag Janusz - Czerniec
7. Wnęk Stanisław - Kicznia
8. Bober Stanisław - Szczereż
9. Duda Stanisław – Wola Kosnowa
10. Cebula Jan - Maszkowice
11. Klimek Jan - Jazowsko
12. Chronowski Zbigniew - Kadcza
13. Sopata Józef –Obidza zmarł 2007 r. - wybrany Kozik Stefan
14. Jasiński Stanisław - Obidza
15. Kozik Jan - Brzyna

2002-2006

1. Klimek Józef – Łącko - Przewodniczący Rady Gminy
2. Rusnarczyk Kazimierz - Łącko
3. Prostko Wiesław - Łącko
4. Wojtas Jerzy - Zabrzeż
5. Tokarz Józef - Zarzecze
6. Faron Antoni - Kicznia
7. Czepielik Henryk - Zagorzyn
8. Bober Stanisław - Szczereż
9. Duda Stanisław – Wola Kosnowa
10. Cebula Jan - Maszkowice
11. Klimek Jan - Jazowsko
12. Chronowski Zbigniew - Kadcza
13. Kozik Stefan – Łazy Brzyńskie
14. Jasiński Stanisław - Obidza
15. Kozik Jan - Brzyna



W sierpniu 2010 roku ukazał się 1 numer PRZEGLĄDU SĄDECKIEGO. Jest to Biuletyn Informacyjny Starostwa Powiatowego w Nowym Sączu. Projekt ten powstał przy współfinansowaniu ze Środków Unii Europejskiej w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego.

PRZEGLĄD **Sądecki**

Nr 1 | sierpień 2010

BIULETYN INFORMACYJNY STAROSTWA POWIATOWEGO W NOWYM SĄCZU

» z życia powiatu

Starostwo bez barier
Aby umożliwić osobom niepełnosprawnym dostęp do usług świadczonych przez pracowników Starostwa Powiatowego i ułatwić załatwianie spraw urzędowych w budynku Starostwa przy ul. Jagiellońskiej 51 w Nowym Sączu, zamontowano specjalny dźwig - platformę, dzięki której osoby na wózkach inwalidzkich bez problemów dostaną się na parter. Właśnie na parterze znajdują się wydziały nadzającej odwiezanie: Wydział Komunikacji, Wydział Ochrony Środowiska, Rolnictwa i Leśnictwa, Kancelaria Administracyjna i Wydział Spraw Społecznych.
Koszt prac to ponad 94 tysiące złotych. Montaż podziemia został sfinansowany przez Unię Europejską z Europejskiego Funduszu Społecznego.

Podpisuje porozumienie w sprawie odbudowy zuchowca, Olszowy, Włodziszka, Białogórskich, Kluczykowie, Świdnia, Starostwo Nowosądecki Jan Golonka, Starosta Nowosądecki Andrzej Kozłowski, Starosta Powiatu Nowosądecki Marek Biał.

Powiat odbudowuje aby przesunąć rezerwę w wysokości blisko 2 mln zł na dofinansowanie prac przy przebudowie zuchowca, Olszowy, Włodziszka, Białogórskich, Kluczykowie, Świdnia.



Starosta Nowosądecki
Jan Golonka

Szanowni Czytelnicy!

Oddajemy do Państwa ręk pierwszy numer Przeglądu Sądeckiego – gazety będącej elementem komunikacji władz powiatu nowosądeckiego z mieszkańcami. Stworzenie tego pisma stało się możliwe dzięki środkom Unii Europejskiej z Europejskiego Funduszu Społecznego, jakimi został wsparty realizowany przez Starostwo Powiatowe w Nowym Sączu i Wyszłą Szkołę

Biznesu-NUU, program „Profesjonalny urzędnik”. W tym roku ukazał się pierwszy numer „Przeglądu”, a w przyszłym kolejne cztery.

W tej gazecie przagniemy Państwu przedstawić najistotniejsze działania samorządu powiatowego, pracę Starostwa Powiatowego i innych powiatowych instytucji. Czekamy również na Państwa opinie na temat przedstawianych problemów, sposobów ich rozwiązywania i innych ważnych dla Mieszkańców Sądeckich spraw.

Pierwszy numer „Przeglądu Sądeckiego” poświęcamy głównie drogom regionu. Powiat od dwunastu lat systematycznie je remontuje, odbudowuje i odnawia. Niestety, niemal każdego roku część wykonanych prac przepada przez katastrofalne powodzie i osuwiska.

W kolejnych numerach gazety będziemy się skupiać na problemach edukacji, pomocy społecznej, ochrony środowiska, rozwoju turystyki, rolnictwa i samorządowej wizji rozwoju powiatu. Mam nadzieję, że nasze czasopismo nakłoni Państwa do dyskusji na tematy ważne dla powiatu i podzielić się z nami Waszymi propozycjami ich rozwiązań.

Jan Golonka

Straty w gminie Łącko spowodowane przez klęski żywiołowe w 2010 roku

W dniach 16.05.2010 do 5.06.2010 w wyniku obfitych opadów atmosferycznych, na terenie gminy Łącko doszło do powodzi i obsunięć ziemi. Komisja Wojewódzka ds. szacowania szkód w gospodarstwach rolnych i działach specjalnych produkcji rolnej po uprzednim zgłoszeniu indywidualnym przez rolników, na podstawie wizji lokalnej dokonanej w terenie stwierdziła, iż w wyniku niekorzystnego zjawiska atmosferycznego:

- powodzi i obsunięcia ziemi powstały szkody w 21 gospodarstwach (w tym uszkodzenie stodoły),
- nawałnego deszczu – 13 gospodarstw.

Od 16.05.2010 r. do 04.06.2010 r. na terenie naszej gminy miały miejsce intensywne opady deszczu w wyniku których nastąpiły zatopienia pól uprawnych, oraz osunięcia ziemi. Najwięcej szkód spowodowały



Powódź – Dunajec w Jazowsku. Fot. Wincenty Tokarz

deszcze w dniach 3-4.06.2010 r. Stąd rolnicy zgłosili szkody w wyniku powodzi która miała nasilenie w dniach 03-04.2010 r., na terenie Gminy Łącko miały miejsce gwał-

towne ulewy, które spowodowały zatopienia pól (widoczne lustra wody), oraz osunięcia ziemi.



*Osuwisko – droga z Jazowska na Łazy Brzyńskie.
Fot. Wincenty Tokarz*

Przez niekorzystne zjawisko atmosferyczne należy rozumieć suszę, grad, deszcz nawałny, ujemne skutki przezimowania, przymrozki wiosenne, powódź, huragan, piorun, obsunięcie się ziemi lub lawinę, która spowodowała szkody powyżej 30% średniej rocznej produkcji w gospodarstwie z 3 lat poprzedzających rok wystąpienia n.z.a., a w przypadku produkcji zwierzęcej i środków

trwałych szkody stanowiące zagrożenie dalszego funkcjonowania poszczególnych gospodarstw rolnych i działów specjalnych produkcji rolnej.

Powyższe dane ujmują straty, które były oszacowane przez Komisję Wojewódzką. Szkody wystąpiły oczywiście u większej ilości rolników ale straty nie przekraczały 30% średniej rocznej produkcji w gospodarstwie z 3 lat poprzedzających rok wystąpienia n. z. a.

Dotkliwe straty powstały także w infrastrukturze komunalnej gminy Łącko. Zniszczonych zostało 25,4 km dróg – straty to 2.288.000 zł, 1 most – straty 30.000 zł, 2 przepusty – straty 15.000 zł.

Zniszczone zostały drogi w Obidzy, Czerńcu, Zabrzeży, Kiczni, Woli Kosnowej, Zagorzynie, Jazowsku, Łazach Brzyńskich, Zarzeczcu, Maszkowicach, Woli Piskulinie,



Osuwisko w Obidzy. Fot. Wincenty Tokarz

Czarnym Potoku, Szczereżu, Brzynie, Kadczy. W Zabrzeży został zniszczony most na potoku Kamienica dł. 55 m, do tartaku Kluczni. Zniszczone zostały także dwa przepusty rurowe w Maszkowicach (do Babika), oraz w Obidzy (do Krakówka). Łącznie straty w infrastrukturze komunalnej gminy wyniosły 2.333.000 zł.

W wyniku intensywnych opadów deszczu na terenie Gminy Łącko w maju, czerwcu i sierpniu 2010 r. doszło do lokalnych podtopień i uaktywnienia się osuwisk. W maju i czerwcu ucierpiało 36 rodzin, którym Ośrodek Pomocy Społecznej w Łącku wypłacił zasiłki w łącznej kwocie 56.000 zł (pomoc z budżetu państwa 45.500 zł). Szczególnie poszkodowane zostały 3 rodziny, które straciły domy w wyniku osuwisk. Długotrwałe opady deszczu spowodowały uaktywnienie się na terenie Gminy kilkunastu osuwisk. W sierpniu i wrześniu okazało się, że kolejne dwa zamieszkałe budynki są zagrożone całkowitym zniszczeniem w wyniku osuwiska. Szczególnie dotkliwe skutki dla Gminy Łącko przy-



Osuwisko – droga z Jazowska na Łazy Brzyńskie. Fot. Wincenty Tokarz

Obidzy, Czerńcu, Zabrzeży, Kiczni, Woli Kosnowej, Zagorzynie, Jazowsku, Łazach Brzyńskich, Zarzeczcu, Maszkowicach, Woli Piskulinie, Czarnym Potoku, Szczereżu, Brzynie, Kadczy. W Zabrzeży został zniszczony most na potoku Kamienica dł. 55 m, do tartaku Kluczni. Zniszczone zostały także dwa przepusty rurowe w Maszkowicach (do Babika), oraz w Obidzy (do Krakówka).

Łącznie straty w infrastrukturze komunalnej gminy wyniosły 2.333.000 zł.

W wyniku intensywnych opadów deszczu na terenie Gminy Łącko w maju, czerwcu i sierpniu



Osuwisko w Obidzy. Fot. Wincenty Tokarz

niosły nawałnice 15 i 16 sierpnia 2010 r. W miejscowości Kadcza lokalny potok zalał 14 budynków (szczególnie ucierpiały 4 budynki), niszcząc podwórka i okoliczne pola. Natomiast w Maszkowicach doszło do zalania osiedla romskiego, w którym podtopieniu uległo 28 mieszkań. Łącznie ucierpiało 47 rodzin z terenu gminy. Ponownie konieczne było uruchomienie pomocy socjalnej. Ośrodek Pomocy Społecznej w Łącku dostarczał do poszkodowanych rodzin pomoc rzeczową w formie artykułów spożywczych. Dodatkowo OPS w Łącku pośredniczył w dostarczeniu pomocy do gminy przez Caritas i Polski Czerwony Krzyż. Niezwłocznie złożony został do Małopolskiego Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie wniosek o pomoc finansową dla poszkodowanych 47 rodzin. Po uzyskaniu w październiku br. dotacji na ten cel, OPS w Łącku wypłacił poszkodowanym zasiłki w łącznej kwocie 63.600 zł. W październiku br. jedna rodzina, która straciła dom w wyniku osuwiska po uzyskaniu zasiłku z budżetu państwa w wysokości 100 tys. zł mogła zakupić budynek, który dotychczas wynajmowała.

Gmina Łącko poniosła także wydatki związane z finansowaniem służb ratowniczych (130.000 zł), oraz wydatki związane ze sprzątnięciem i uporządkowaniem terenów objętych powodzią (50.000 zł).



Park rekreacyjno-wypoczynkowy i poczekalnia autobusowa



Przy zajeździe autobusowym w Łącku, obok samorządowego przedszkola i siedziby gminy, w samym centrum wsi, wybudowano park rekreacyjno-wypoczynkowy i budynek poczekalni autobusowej. Inwestycja ta była realizowana w miesiącach styczeń-sierpień 2010 roku.

Miejsce do tej pory zaniedbane i będące „oazą” głośnych spotkań, zostało zamienione w spokojne i piękne. Wypoczywać mogą wszyscy, dla dzieci jest plac zabaw. Alejki wysadzone drzewkami i krzewami z ławeczkami, zachęcają do wypoczynku. Dwie fontanny dają ukojenie, a w upalne dni przyjemny chłodek. Park jest po prostu piękny i niczym nie ustępuje innym tego rodzaju obiektom w Unii Europejskiej.

Obiekt jest monitorowany i kontrolowany przez policję w Łącku, by zapobiec zniszczeniu przez wandalów, którzy od czasu do czasu dają znać o sobie (zniszczone elewacje, kosze na śmieci itp.).

Tuż przy parku wybudowany został budynek poczekalni autobusowej, czysty, schludny i co najważniejsze z pionem sanitarnym.

Mieszkańcy, szczególnie ci, którzy codziennie dojeżdżają do szkoły i pracy, cieszą się i są bardzo dumni, bowiem nawet Stary Sącz nie posiada takiego dworca autobusowego.

Inwestorem była gmina Łącko, zaś cały projekt współfinansowany przez Unię Europejską w ramach Małopolskiego Regionalnego Programu Operacyjnego na lata 2007-2013 „Fundusze Europejskie dla Małopolski”.

Całkowity koszt inwestycji wyniósł – **1.778.734,76 zł** w tym wysokość dotacji to – **1.245.114,33 zł**.

Wkład finansowy gminy Łącko – **533.620,43 zł**.

Oficjalne otwarcie i poświęcenie obiektu nastąpiło 10.11.2010 roku.

Redakcja Almanachu Łąckiego

- 19.05.2010 Zmarła śp. Grażyna Pietrusiewicz (1951 – 2010) członek TMZŁ, wnuczka Stanisława Puta.
- 17.06.2010 W Domu Parafialnym w Łącku odbyło się przedstawienie teatralne pt. „Kudła” na podstawie baśni Stanisława Dzikowskiego „Leniwa Dziewczyna”. Spektakl przygotowali podopieczni WTZ z Czarnego Potoka i młodzież z Zespołu Szkół św. Kingi w Łącku. godzina 16.00. Przedstawienie teatralne zostało zrealizowane w ramach projektu „Razem możemy więcej”
- 18-20.06.2010 VIII Świętojańskie Dni Młodych obchodzono pod hasłem *Bądźmy Świadcami miłości*. W programie tegorocznych obchodów znalazły się min. zawody sportowe, spotkania religijne, „marsz życia” na Szczerzeż, koncerty, kabarety, konkursy. Wystąpił min. zespół klerycycki „Michael” „Moja Rodzina”, „New Life m”, „40 i 30 na 70”, kabaret „Elita”, zespół góralski „Ciupaga”. Podczas trwania dni rozdawano pamiątki dla młodych, by przypominały o powołaniu chrześcijańskim. Organizatorem VIII Świętojańskich Dni Młodych jest Stowarzyszenie Wolontariat św. Ojca, ks. Tomasz Franczak oraz młodzież Dekanatu Łącko.
- 20.06.2010 Odbyła się I tura wyborów na prezydenta RP. W związku z nie uzyskaniem wymaganej większości głosów przez jednego z 10 zarejestrowanych przez Państwową Komisję Wyborczą kandydatów, do II tury przeszli Bronisław Maria Komorowski i Jarosław Kaczyński.
- 23.06.2010 ponad 40 osób udało się z pielgrzymką śladami chrześcijaństwa i kultury antycznej do Turcji. Podczas tej wycieczki zwiedzili min. Troję, Didim, Selczuk, Efez, Milet, Hierapolis, Konyi, Tars, Ankarę i Istambuł.
- 26.06.2010 około 50 członków parafialnego Klubu Seniora „Michał” uczestniczyło w pielgrzymce do Sanktuarium Matki Bożej pocieszenia w Pa-sierbcu.
- 26-27.06.2010 I Międzynarodowe Regaty UKS w Slalomie i Sprincie Kajakowym odbyły się na torze kajakowym w Zabrzeży-Wietrznicach. Współorganizatorem dwudniowych zawodów byli LUKS Wietrznice, Klub Sportowy „Start”, Urząd Gminy w Łącku, Starostwo Powiatowe w Nowym Sączu.
- 27.06.2010 Uroczysta msza św. z okazji 25 lecia objęcia probostwa w Łącku przez ks. prałata Józefa Trzópka. Z tej okazji wśród wielu składających życzenia, byli także przedstawiciele Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej.

- 02.07.2010 Forum Prasy Sądeckiej w Nowym Sączu, w „Miasteczku Galicyjskim”. Wśród wielu zaproszonych gości była też Jadwiga Jastrzębska, prezes TMZŁ i redaktor „Almanachu Łąckiego”.
- 04.07.2010** **W drugiej turze wyborów na Prezydenta RP zwyciężył Bronisław Maria Komorowski.**
W Amfiteatrze na Jeżowej odbył się koncert charytatywny „Pomóżmy wstać Dawidowi”/Dawid Duda z Łącka/. Podczas koncertu trwała loteria i aukcja przedmiotów i prac podarowanych na ten cel przez twórców. Zebrano 5.683.13 zł i 50 euro, pieniądze przekazano na konto Dawida w fundacji Sursum Corda.
- 09.07.2010 Promocja kolejnego, XXXVIII tomu Rocznika Sądeckiego. Ukazał się także kolejny tomik w Biblioteczce Rocznika, Macieja Bileka „Dzieje aptek w powiecie nowosądeckim do 1951 roku”
- 18.07.2010 Obchody 600 lecia Bitwy pod Grunwaldem na Rynku w Łącku. Odbyły się pokazy walki na miecze, koncert muzyki i tańca średnio-wiecznego w wykonaniu zespołu Terra Vagantica. Można było także wybić okolicznościową, pamiątkową monetę, pierwszą wybił wójt Franciszek Młynarczyk. Nie zabrakło potraw kuchni staropolskiej. Wiele ciekawych konkursów dla publiczności; posługiwanie się mieczem, przymierzanie zbroi, praca w warsztacie tkackim.
- 01.08.2010 w 66 rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego, o godzinie „W”-17.00 rozległy się w Łącku i okolicy syreny. Zebrani pod Pomnikiem Józefa Piłsudskiego w Łącku, członkowie Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej, minutą ciszy oddali hołd powstańcom Warszawy, zapalili znicze i złożyli wiązanek biało-czerwonych róż. W tej skromnej uroczystości wzięła udział Maria Urbaniec-Downarowicz z Wrocławia ps. „Myszka”, która podczas powstania była łączniczką batalionu „Zośka”. Przez kolejne 63 dni, do 2 października 1944 roku, powstańcy stawiali zacięty opór wojskom hitlerowskim. Hitlerowcy po poddaniu się powstańców zamienili Warszawę w gruzy, powstańców wywieziono do obozu w Pruszkowie, a ludność cywilną wypędzono z miasta.
- 06.08.2010** **Zaprzysiężenie Bronisława Marii Komorowskiego na Prezydenta RP na specjalnym posiedzeniu Zgromadzenia Narodowego, które składa się z Sejmu RP i Senatu RP. Na zaprzysiężenie zostali zaproszeni wszyscy żyjący, dotychczasowi prezydenci, łącznie z gen. Wojciechem Jaruzelskim, który na zaprzysiężenie nie przybył.**
- 07.08.2010 ministranci ze Szczereża wraz z ks. Pawłem Lewandowskim wyjechali na wycieczkę do Zakopanego w nagrodę za sumienne służenie do mszy świętej.
- 09-23.08.2010 na terenie gminy Łącko przeprowadzono obowiązkowy obchód przed Powszechnym Spisem Rolnym 2010.

- 15.08.2010 W 90 rocznicę „Bitwy Warszawskiej” członkowie Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej złożyli kwiaty i zapalili znicz pod Pomnikiem Józefa Piłsudskiego w Łącku.
- 22.08.2010 Obchody w Łącku XX-lecia Samorządu Terytorialnego oraz XXXlecia powstania NSZZ Solidarności RI. Obchody rozpoczęła msza święta, następnie uroczystości przeniosły się do Amfiteatru na Jeżowej. Podczas uroczystej sesji Rady Gminy wręczono odznaczenia i dyplomy pracownikom samorządowym i działaczom Solidarności. W obchodach min. wzięli udział: Jan Golonka, Franciszek Młynarczyk, Henryk Czepielik, Jan Sikoń, Władysław Piksa, Henryk Łazarz. Okolicznościowy gawerton otrzymał prałat Józef Trzópek, proboszcz parafii łąckiej. Część artystyczną uroczystości uświetniła Orkiestra Dęta im. Tadeusza Moryto z Łącka i „Mali Zagorzynianie”.
- 29.08.2010 Jubileusz 100lecia Ochotniczej Straży Pożarnej w Czerncu. Nadbrygadier Wiesław Leśniakiewicz objął honorowym patronatem te obchody. W skład Komitetu Honorowego weszli: Leszek Zegzda – v-ce Marszałek Województwa Małopolskiego, Jan Golonka – Starosta Nowosądecki, Franciszek Młynarczyk – wójt gminy Łącko, Jan Dziedzina – v-ce Przewodniczący Rady Powiatu Nowosądeckiego, Zbigniew Czepelak – Dyrektor Wydziału Edukacji, Kultury i Sportu Starostwa Powiatowego w Nowym Sączu, dh Antoni Bienias – Prezes Zarządu ZOSP RP w Nowym Sączu, st. Brygadier Piotr Konar – z-ca Małopolskiego Komendanta P.S.P. brygadier Janusz Basiaga – komendant Miejski P.S.P. w Nowym Sączu, dh Stanisław Myjak – Prezes Zarządu Gminnego Z.O.S.P. w Łącku, dh Andrzej Rozmus – Komendant Gminny Z.O.S.P. w Łącku.
W Amfiteatrze na Jeżowej odbył się koncert charytatywny „Pożegnaj wakacje z sercem”, którego współorganizatorem był Wolontariat Ojca Pio. Dochód z tego koncertu przeznaczono na pomoc dla Dawida Dudy. Zebrano 6.340 zł.
- 01.09.2010 Obchody 71 rocznicy wybuchu II wojny światowej. Pod pomnikiem Józefa Piłsudskiego w Łącku delegacje złożyły kwiaty i zapaliły znicze.
- 04.09.2010 Finał wojewódzkiego konkursu na temat znajomości zagadnień Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013 w Karniowicach. Finał odbył się podczas Międzynarodowej Wystawy Rolniczej Agropromocja 2010. W konkursie tym 1miejsce zajęła Monika Faron z Łącka/ pracownik Urzędu Gminy w Łącku/.
- 05.09.2010 Pod przewodnictwem prałata Józefa Trzóпка grupa parafian z Łącka udała się na pielgrzymkę rolników na Jasną Górę, wzięli udział w Ogólnopolskich Dożynkach.
- 01.09.-31.10.2010 **Powszechny Spis Rolny 2010.**

- 25.09.2010 Na stadionie Orlik w Jazowsku rozdano puchary i dyplomy drużynom, które wzięły udział w Wakacyjnej Lidze Piłki Nożnej w miesiącach lipiec i sierpień. W zawodach wzięło udział 7 drużyn.
- 10.10.2010 W Kościele Parafialnym w Łącku odbył się koncert z okazji X Dnia Papieskiego. X Dzień Papieski w tym roku obchodzony jest pod hasłem „Odważa świętości”. Tego dnia odbywa się także kwesta na rzecz Fundacji „Dzieło nowego tysiąclecia”, która wspiera stypendiami ubogą młodzież. W koncercie wystąpiła Orkiestra Reprezentacyjna Straży Granicznej pod dyrekcją ppłk. Stanisława Strączka oraz chór im. Jana Pawła II pod dyrekcją Stanisława Wolaka.
- 17.10.2010 IX koncert charytatywny „Miłosierdzie” pod patronatem ks. prałata Józefa Trzópka, organizowany przez TMZŁ, odbył się w Kościele Parafialnym w Łącku. Motto tegorocznego koncertu *Człowiek jest wielki nie przez to co ma; nie przez to czym jest, lecz przez to czym dzieli się z innymi – Jan Paweł II*. W koncercie wystąpili: dr Renata Jonakowska-Olszowska – mezzosopran i mgr Zbigniew Szewczyk – organy. W programie min. utwory Jerzego Fryderyka Haendla, Domenico Scarlattiego, Cesara Francka, Franciszka Szuberta, oraz uczennice: Marzena Dąbrowska i Kamila Baziak z Zespołu Szkolno-Gimnazjalnego w Łącku – recytacja wierszy ks. Janusza Stanisława Pasierba, z t. „Wiersze wybrane” Warszawa 1988 rok. Pieśniadze zebrane podczas tego koncertu zostaną przekazane na stypendia dla uczniów Zespołu Szkół im. św. Kingi w Łącku. Zebrano 548.51 zł.
- 20.10.2010 Koncert Chopinowski w Remizie OSP w Łącku. Organizatorem Szkoła Muzyczna I stopnia w Łącku.
- 02.11.2010 Msza święta za zmarłych członków Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej w Kościele Parafialnym w Łącku
- 11.11.2010 Dzień Niepodległości – uroczysta akademie pod pomnikiem Józefa Piłsudskiego w Łącku. W 1918 roku Polska, po 123 latach niewoli odzyskała niepodległość. Część artystyczną przygotowali uczniowie Zespołu Szkół im. Św. Kingi w Łącku.
- 21.11.2010 Wybory samorządowe – I tura. W gminie Łącko zarejestrowały się cztery komitety wyborcze:
1. Komitet Wyborczy Wyborców Wspólnota Samorządowa Gminy Łącko – pełnomocnik komitetu Tadeusz Andrzej Zaremba
 2. Komitet Wyborczy Wyborców Łącki Ruch Samorządowy – pełnomocnik komitetu Krzysztof Młynarczyk
 3. Komitet Wyborczy Wyborców Łącka Inicjatywa Samorządowa – pełnomocnik komitetu Urszula Bogumiła Kaim
 4. Komitet Wyborczy Wyborców Nasze Łącko – pełnomocnik komitetu Wojciech Rusnarczyk
- 05.12.2010 Wybory samorządowe II tura
- 06.12.2010 Wydanie kolejnego, 13 numeru „Almanachu Łąckiego”

SPROSTOWANIA

W „Almanachu Łackim” nr.12 na str.121, podpis pod zdjęciem powinien brzmieć:
Projekt konkursowy krzyża na Placu Piłsudskiego w Warszawie.

LISTY

Głownie 23.08.2010.

Szanowna Pani !

Z wielkim smutkiem i bólem prosię Panię powiadomić, że w dniu 26.04.br. zmarł mój mąż Stanisław Siłkowski. Mąż po otrzymaniu od Pani listu z 4.3.2010. w prasie chciałby napisać jeszcze wspomnienie o swoim stałym prof. Siostraku Siłowskim i chciał aby ten tekst ukazał się w „Almanachu Łackim”. O czym pisałem do redakcji w dniu 8.2.2010.

W związku z powyższym prosiłem siebie pisać wspomnienie do Pani z prośbą o umieszczenie go w „Almanachu”. Myślę, że mój skrawek tego bardzo i z góry dziękuję Pani serdecznie także za pomoc i porównanie.

Wanda Siłowska

Ze wzruszeniem uczestniczyłam w obchodach 66 rocznicy powstania warszawskiego w Łącku.

Usłyszałam głos syreny, który, jak w całej Polsce, odezwał się o godz. 17-ej . Pod pomnikiem marszałka Józefa Piłsudskiego została złożona wiązanka biało czerwonych róż i zapalono znicze.

Inicjatorką i organizatorką krótkiej uroczystości była Pani Jadwiga Jastrzębska, prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej, za co składam Jej serdeczne podziękowania.

Maria Urbaniec – Downarowicz, ps. „Myszka”, uczestniczka powstania warszawskiego – łączniczka batalionu „Zośka”

Łącko dn. 1 sierpnia 2010 r.



| | |
|--------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----------|
| 1. Od redakcji | str. 3 |
| 2. Grzegorz Olszewski – O Brzynie, Łazach Brzyńskich i Obidzy, czyli o południowym rejonie gminy Łącko | str. 4 |
| 3. Wincenty Tokarz – Moja Brzyna | str. 10 |
| 4. Piotr Kołodziej – Turystyczne atrakcje Brzyny | str. 14 |
| 5. Piotr Wierzbicki – Wzmianki źródłowe o zniszczeniach Łącka i okolic na przełomie XVII i XVIII wieku | str. 16 |
| 6. Wywiad przeprowadzony z dr Marcinem Przybyłą z Instytutu Archeologii UJ prowadzącym badania archeologiczne na „Górze Zyndrama” w Maszkowicach | str. 19 |
| 7. Rozalia Kulasik – Zarzeczenie na Rusinach | str. 23 |
| 8. Barbara Faron – O służebnej, która bogaczką została; biogram | str. 28 |
| 9. Broniek z Obidzy o sobie | str. 38 |
| 10. Jadwiga Jastrzębska – Stefan Kozik – sołtys Łazów Brzyńskich | str. 43 |
| 11. Stanisław Sitowski – Profesor Ludwik Sitowski | str. 47 |
| 12. Urszula Dara, Józef Słowik – Antoni Paluch (1927 – 2008) | str. 51 |
| 13. ks. Henryk Majkrzak SCJ – Jubileusz 25 – lecie święceń kapłańskich; Wspomnienia | str. 55 |
| 14. Władysław Wadowski – Pamiętnik 1940 – 1944 (część I) | str. 78 |
| 15. Krzysztof Chwalibóg – Historia rodziny łąckich Chwalibogów – część III | str. 110 |
| 16. Bolesław Faron – Powroty Bartka Talarczyka | str. 124 |
| 17. Piękno naszej ziemi – Brzyna fot. Andrzej Urbaniec | str. 132 |
| 18. Zatrzymane w kadrze | str. 133 |
| 19. Andrzej Urbaniec – Z domowego archiwum | str. 137 |
| 20. Wincenty Tokarz – Solidarność | str. 139 |
| 21. Sylwia Gurgul – Obchody 100-lecia Ochotniczej Straży Pożarnej w Czerncu | str. 142 |
| 22. Antoni Krzeszowski – Z historii Szkolnego Złotu Turystyczno-Krajoznawczego „Młodzież z Chrystusem w III tysiącleciu” | str. 145 |
| 23. Stanisław Jasiński – Związek Podhalan oddział Obidza | str. 152 |
| 24. Jadwiga Jastrzębska – Forum Prasy Sądeckiej | str. 158 |
| 25. Jadwiga Jastrzębska – O wydawnictwach Towarzystwa | str. 162 |
| 26. Anna Kurzeja – 20-lecie Samorządu Terytorialnego w Gminie Łącko | str. 163 |
| 27. Starostwo Powiatowe w Nowym Sączu – Przegląd Sądecki | str. 165 |
| 28. Jolanta Cebula, Daniel Biel, Piotr Faron – Straty w gminie Łącko spowodowane przez klęski żywiołowe w 2010 roku | str. 166 |
| 29. Park rekreacyjno-wypoczynkowy i poczekalnia autobusowa | str. 169 |
| 30. Kalendarium | str. 170 |
| 31. Listy, polemiki, sprostowania | str. 174 |
| 32. Spis treści | str. 176 |